



JOHN
GRISHAM

Theodore Boone

Oskarżony

JOHN GRISHAM

Theodore Boone

Oskarżony

Z angielskiego przełożył

LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI



2013. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THEODORE BOONE: THE ACCUSED

Copyright © Boone & Boone LLC 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz
2012

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2012

Redakcja: Beata Słama
Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski
Zdjęcie na okładce: Kryvenok Anastasiia/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-025-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Przypisy](#)

Rozdział 1

Oskarżonym był miejscowy bogacz nazwiskiem Pete Duffy, a przestępstwem, o które go oskarżono, było morderstwo. Zdaniem policji i prokuratury Duffy udusił swoją śliczną żonę w ich eleganckim domu, stojącym na wysokości szóstego dołka na polu golfowym, na którym w dniu jej śmierci oskarżony rozgrywał samotną partię golfa. W razie wyroku skazującego Duffy'emu groziło spędzenie reszty życia w więzieniu. W razie uniewinnienia miał opuścić salę rozpraw jako wolny człowiek. Sprawy tak się jednak potoczyły, że ława przysięgłych nie uznała go ani za winnego, ani za niewinnego.

To był jego drugi proces. Pierwszy – cztery miesiące temu – zakończył się zaskakującą decyzją sędziego Gantry'ego, który uznał, że kontynuowanie procesu byłoby niewłaściwe. Unieważnił go więc i odesłał wszystkich do domu – w tym także Pete'a Duffy'ego, który wcześniej wpłacił kaucję i pozostał na wolności. W sprawach o morderstwo oskarżonego na ogół nie stać na wpłacenie kaucji i przebywanie na wolności, ponieważ jednak Duffy miał furę pieniędzy i dobrych adwokatów, od chwili znalezienia ciała żony przez policję i postawienia mu zarzutu morderstwa pozostawał wolny jak ptak. Widywano go jadającego w ulubionych restauracjach, chodzącego na mecze drużyny baseballowej Stratten College,

modlącego się w kościele (częściej niż dotąd) i oczywiście z zapalem grającego w golfa. Wydawało się, że przed pierwszym procesem nie przejmują się sądem i grożącym mu wyrokiem wieloletniego więzienia, jednak w obliczu drugiego procesu, podczas którego miał się pojawić nowy świadek oskarżenia, był podobno o wiele bardziej przejęty.

Nowym świadkiem miał być Bobby Escobar, dziewiętnastoletni nielegalny imigrant, który w dniu morderstwa pani Duffy pracował na polu golfowym.

Escobar zeznał, że widział, jak pan Duffy wchodził do domu mniej więcej w porze śmierci żony i po pewnym czasie pośpiesznie wyszedł, by podjąć przerwana grę w golfa. Z różnych powodów Bobby Escobar nie ujawnił się wcześniej i gdy wreszcie zgłosił się na policję, pierwszy proces już trwał. Usłyszawszy o nowym świadku, sędzia Gantry unieważnił postępowanie. Powołanie Bobby'ego na świadka w drugim procesie spowodowało, że większość śledzących proces Duffy'ego mieszkańców Strattenburga uznała, że tym razem oskarżony nie uniknie wyroku skazującego. Właściwie trudno było znaleźć kogoś, kto by wierzył, że Pete Duffy nie zabił żony.

Podobnie jak trudno było znaleźć kogoś, kto by nie chciał się znaleźć na sali sądowej. Procesy o morderstwo w miejskim sądzie nie zdarzały się często (właściwie w całym okręgu Strattenburg morderstwa należały do rzadkości), więc gdy o ósmej rano otworzono drzwi sądu, czekał pod nimi zbity tłum. Trzy dni wcześniej wybrano ławę przysięgłych i teraz wszystko było gotowe do rozpoczęcia dramatu sądowego.

O ósmej czterdzieści pan Mount przywołał ósmą klasę do porządku i przystąpił do sprawdzania listy obecności. Cała szesnastka uczniów była obecna. Na sprawy bieżące przeznaczone było tylko dziesięć minut, po czym chłopcy mieli się udać na lekcję hiszpańskiego z madame Monique.

Panu Mountowi się śpieszyło.

– Dobra, panowie – zaczął – jak wiecie, dziś zaczyna się druga odsłona procesu Pete’a Duffy’ego. Pozwolono nam uczestniczyć w pierwszym dniu pierwszego procesu, ale jak wiecie, moją prośbę o uczestniczenie w drugim procesie odrzucono.

Paru chłopców zaczęło gwizdać i buczeć.

– Cisza! – Pan Mount uniósł ręce. – Jednak nasza szanowna pani dyrektor wyraziła zgodę na zwolnienie Theo na pierwszy dzień procesu. Podzielisz się z nami wrażeniami z sali sądowej, Theo.

Theodore Boone zerwał się z miejsca i wzorem adwokatów, których zachowanie znał i podziwiał, powolnym krokiem wyszedł na środek klasy. W rękę trzymał bloczek z żółtymi kartkami, zupełnie jak prawdziwy prawnik. Stał obok stołu pana Mounta, chwilę odczekał i potoczył wzrokiem po kolegach, jakby był adwokatem szykującym się do wystąpienia przed ławą przysięgłych.

Oboje rodzice Theo byli adwokatami i chłopiec praktycznie dorastał w ich kancelarii i na salach sądowych, zamiast jak jego rówieśnicy z ósmej klasy gimnazjum w Strattenburgu biegać za piłką, uczyć się gry na gitarze i robić to wszystko, co trzynastolatki zwykle robią. Spędzał czas, podglądając ukochane prawo w jego praktycznym działaniu i głównie o nim rozmawiał, więc klasa bez oporów przyjmowała jego osąd we wszystkich dyskusjach na tematy prawnicze. W kwestiach prawnych Theo nie miał żadnej konkurencji,

w każdym razie nie w ósmej klasie pana Mounta.

– No cóż – zaczął – uczestniczyliśmy wszyscy w pierwszym dniu pierwszego procesu cztery miesiące temu, więc znany wam jest scenariusz i główni aktorzy tego spektaklu. Prawnicy po obu stronach pozostają ci sami, zarzuty nie uległy zmianie, pan Duffy pozostaje panem Duffym. Zmienił się skład ławy przysięgłych i oczywiście nowością będzie to, co powie naoczny świadek, który nie zeznawał w pierwszym procesie.

– Winny! – prychnął siedzący w głębi klasy Woody. Kilku chłopców chrząknęło na znak poparcia.

– Dobra, głosujemy – zarządził Theo. – Kto uważa, że Pete Duffy jest winny?

Czternaście rąk bez wahania wystrzeżiło w górę. Chase Whipple, szalony naukowiec, zawsze mający odmienne zdanie niż większość, jako jedyny trzymał ręce skrzyżowane na piersi.

Drugim niegłosującym był Theo, którego taka jednomyślność klasy bardzo poruszyła.

– To bzdura! Jak możecie przesądzać o winie przed rozpoczęciem procesu? Zanim usłyszeliście zeznania świadka, zanim w ogóle cokolwiek się wydarzyło? Rozmawialiśmy przecież o domniemaniu niewinności. W naszym systemie prawnym zakłada się, że oskarżony jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Pete Duffy wejdzie dziś na salę rozpraw jako człowiek niewinny i takim pozostanie do chwili przesłuchania wszystkich świadków i zapoznania się ławy przysięgłych z wszystkimi dowodami. Na tym polega domniemanie niewinności, pamiętacie?

Stojąc z boku, pan Mount obserwował występ Theo. Już wielokrotnie miał okazję to robić. Chłopak był naturalnym talentem

i prawdziwą gwiazdą Dyskusyjnego Klubu Ósmych Klas, nad którym pan Mount sprawował pieczę z ramienia dyrekcji szkoły.

Theo mówił dalej, a w jego głosie słychać było oburzenie pochopnym osądem kolegów.

– I istnieje jeszcze coś takiego, jak dowodzenie ponad wszelką wątpliwość, pamiętacie? Co jest z wami, chłopaki?

– Winny! – prychnął znowu Woody, wywołując chichoty.

Theo wyczuł, że sprawa jest przegrana.

– Dobra, dobra – westchnął. – Mogę już iść?

– Jasne. – Pan Mount skinął głową. Rozległ się głośny dzwonek i cała szesnastka ruszyła do drzwi. Theo puścił się biegiem po korytarzu i wpadł do sekretariatu panny Glorii, która właśnie rozmawiała przez telefon. Panna Gloria lubiła Theo, bo jego matka prowadziła przed sądem jej pierwszą sprawę rozwodową, a sam Theo udzielił jej nieoficjalnej porady prawnej w sprawie brata, którego przyłapano na jeździe po alkoholu. Chłopiec wziął od niej druczek zwolnienia z lekcji z podpisem pani Gladwell, dyrektorki szkoły, i już go nie było. Zegar nad biurkiem panny Glorii pokazywał dokładnie 8:47.

Theo rozpiął łańcuch, którym jego rower był przypięty do stojaka koło masztu, owinął go wokół kierownicy i pędem odjechał. Wiedział, że jeśli zgodnie z przepisami będzie trzymał się ulic, dotarcie do sądu zajmie mu piętnaście minut, ale jeśli pojedzie na skróty i przemknie paroma przejściami dla pieszych, przeskoczy kilka podwórek i zignoruje po drodze dwa znaki STOP, dotrze do sądu w niecałe dziesięć minut. Akurat dziś nie miał chwili do stracenia. Wiedział, że sala rozpraw będzie pękać w szwach i będzie miał szczęście, jeśli uda mu się znaleźć miejsce siedzące.

Przemknął przejściem dla pieszych – dwa razy wyrzuciło go w powietrze – i przeciął podwórko przy domu mężczyzny, którego znał jako niesympatycznego starucha. Facet na co dzień chodził w uniformie i starał się sprawiać wrażenie, że naprawdę reprezentuje siły prawa i porządku, podczas gdy w rzeczywistości był tylko pracującym w niepełnym wymiarze czasu ochroniarzem. Nazywał się Buck Boland (albo Buc Buck, jak go niektórzy przezywali za plecami) i Theo widywał go w okolicach sądu. Przemykając przez jego podwórko, Theo usłyszał za plecami wściekły wrzask: „Won mi stąd, smarkaczu!”. Skręcił w lewo i kątem oka dostrzegł, że Buc rzuca w niego kamieniem. Kamień spadł na ziemię całkiem blisko, ale Theo tylko mocniej nacisnął pedały.

Niewiele brakowało, pomyślał. Chyba trzeba będzie znaleźć jakiś inny skrót.

Dziewięć minut po wyjeździe ze szkoły Theo podjechał do przystanku koło gmachu sądu, przypiął rower do stojaka, wbiegł do środka i szerokimi schodami popędził na górę do wejścia na salę rozpraw sędziego Gantry’ego. Pod drzwiami stał gęsty tłumek osób pragnących się dostać na miejsca dla publiczności, a także kilku reporterów telewizyjnych z kamerami i paru policjantów, którzy z marsowymi minami próbowali utrzymać porządek. Najbardziej zniechęconym przez Theo przedstawicielem prawa w całym Strattenburgu był stary gderliwy policjant nazwiskiem Gossett i jak na ironię to właśnie on wypatrzył chłopca.

– A ty, Theo, czego tu szukasz? – burknął.

Powinno być oczywiste, czego szukam, pomyślał chłopiec. Bo niby po cóż innego miałbym przychodzić pod salę rozpraw, w której za chwilę rozpocznie się najgłośniejsza sprawa sądowa w historii okręgu.

Ale wiedział, że mędrkowanie na nic się nie zda.

Theo pomachał zwolnieniem ze szkoły i powiedział przymilnym tonem:

– Mam zwolnienie od pani dyrektor, proszę pana. Będę się przysłuchiwał rozprawie.

Gossett wyszarpnął mu druczek z dłoni i obrzucił rozeźlonym wzrokiem. Można by pomyśleć, że osobiście zastrzeli Theo, jeśli tylko z papierkiem będzie coś nie tak. Theo miał już na końcu języka: „Jeśli ma pan trudności, to chętnie panu przeczytam”, ale i tym razem postanowił się nie wychylać.

– To zwolnienie ze szkoły, nie przepustka na wejście. Masz przepustkę od sędziego Gantry’ego?

– Tak, proszę pana.

– Pokaż.

– Nie na piśmie, proszę pana. Sędzia Gantry osobiście pozwolił mi przysłuchiwać się rozprawie.

Gossett zrobił jeszcze groźniejszą minę i zdecydowanie pokręcił głową.

– Przykro mi, Theo – oświadczył. – Sala jest nabita. Nie ma ani jednego wolnego miejsca. Nikogo nie wpuszczamy.

Theo wziął swoje zwolnienie i zrobił taką minę, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Cofnął się spod drzwi, obrócił na pięcie i ruszył w głąb długiego korytarza. Upewniwszy się, że Gossett go nie widzi, skręcił i przez wąskie drzwi wyszedł na służbową klatkę schodową, z której zwykle korzystali urzędnicy sądowi i obsługa techniczna. Zszedł na parter i ruszył ciemnym wąskim korytarzem biegnącym pod główną salą rozpraw, po czym bez wahania wkroczył do pomieszczenia socjalnego, w którym pracownicy sądu spotykali się

na kawie, pączkach i plotkach.

– No proszę, witaj, Theo – rzuciła śliczna Jenny, zdecydowana faworytka Theo spośród zatrudnionych w sądzie.

– Witaj, Jenny – odparł z uśmiechem, ani na chwilę się nie zatrzymując. Przeszedł przez pokój na zapleczu i wyszedł na drugą stronę, gdzie znajdowały się kolejne służbowe schody. W dawnych czasach doprowadzano nimi skazańców z aresztu przed groźne oblicze sędziego, teraz jednak były prawie nieużywane. Gmach sądu pełen był tajemnych przejść i wąskich klatek schodowych, które Theo znał jak własną kieszeń.

Wszedł na salę wejściem obok ławy przysięgłych. Wypełniał ją nerwowy gwar publiczności, oczekującej na mające się tu rozegrać dramatyczne wydarzenia. W tłumie kręcili się umundurowani porządkowi, wymieniając uwagi i roztaczając atmosferę surowości. Główne wejście było zakorkowane tłumem starających się dostać do środka widzów. W trzecim rzędzie za stanowiskiem obrony po lewej stronie sali Theo dostrzegł znajomą twarz.

Twarz należała do stryjka Ike'a, który trzymał obok siebie wolne miejsce dla swojego ulubionego (i jedyne) bratanka. Theo przecisnął się i usiadł na wolnym miejscu obok Ike'a.

Rozdział 2

Ike Boone też był kiedyś adwokatem i nawet dzielił biuro z rodzicami Theo. Trójka adwokatów jakoś sobie radziła z niełatwym funkcjonowaniem pod jednym dachem aż do chwili, gdy Ike zadarł z prawem i wpadł w tarapaty. I to bardzo poważne. Tak poważne, że stanowa Rada Adwokacka pozbawiła go prawa do wykonywania zawodu adwokata. Obecnie zajmował się księgowością i pełnił funkcję doradcy podatkowego dla kilku małych firemek w Strattenburgu. Praktycznie nie miał rodziny i był nieszczęśliwym i zgorzkniałym starszym panem. Lubił się uważać za samotnika i niepokodzonego z życiem buntownika, nosił się jak hippis i wiązał długie siwe włosy w koński ogon. Dziś także miał na sobie typowy strój: stare sandały na bose stopy, sprane dżinsy i czerwony T-shirt pod kraciastą kurtką z wystrzępionymi mankietami.

– Dzięki, Ike – szepnął Theo, siadając na wolnym miejscu.

Ike uśmiechnął się bez słowa. Siedział po prawej ręce Theo, po lewej chłopiec miał atrakcyjną panią w średnim wieku, której nigdy wcześniej nie widział. Rozejrzał się po sali i dostrzegł wśród publiczności kilku znajomych prawników. Rodzice wprawdzie stwierdzili, że są zbyt zajęci, żeby tracić czas na przysłuchiwanie się rozprawie, ale Theo wiedział, że po cichu bardzo się nią interesują. Mama Theo była wziętą adwokatką od spraw rozwodowych i miała

mnóstwo klientek, tata zajmował się obsługą prawną handlu nieruchomościami i nigdy nie bywał w sądzie. Theo miał zamiar zostać wybitnym prawnikiem procesowym i nie mieć nigdy do czynienia z rozwodami i nieruchomościami. No, ewentualnie wybitnym sędzią, jak jego przyjaciel Henry Gantry. Nie mógł się zdecydować, ale do podjęcia ostatecznej decyzji zostało mu jeszcze dużo czasu. Miał dopiero trzynaście lat.

Ława przysięgłych była pusta, ale to go nie zdziwiło. Uczestniczył jako widz w wielu rozprawach i wiedział, że przysięgłych wprowadza się na salę dopiero wtedy, gdy wszystko jest gotowe do rozpoczęcia. W chwili gdy na umieszczonym nad ławą sędziowską ogromnym kwadratowym zegarze pojawiły się cyfry 8:59, boczne drzwi się otworzyły i na salę wkroczyła ekipa prokuratorska, jak zwykle owiana atmosferą uroczystej powagi. Przewodził jej Jack Hogan, weteran walki z przestępczością w Strattenburgu. Podczas pierwszego procesu przed czterema miesiącami Theo z niekłamanym podziwem obserwował jego profesjonalizm i przez kilka tygodni po rozprawie rozważał, czy zostać prokuratorem – kimś, do kogo całe miasto w razie jakiejś strasznej zbrodni zwraca się z nadzieją. Hoganowi towarzyszyła grupka młodszych prokuratorów i detektywów. Razem stanowili imponującą ekipę.

Stanowisko obrony po przeciwnej stronie sali pozostawało puste. Przy stole nie było nikogo z liczego grona obrońców procesowych Pete'a Duffy'ego. Tuż za stanowiskiem obrony, w pierwszym rzędzie ław dla publiczności, Theo dojrzał Omara Cheepe'a i jego pomocnika Paco – dwóch mięśniaków Duffy'ego, którzy węszyli i rozrabiali. Cyfry na zegarze pokazały pełną godzinę, na miejscach dla publiczności nie było gdzie szpilki wetknąć i Theo pomyślał, że to

dziwne, iż na sali jest reprezentowana i gotowa do działania tylko jedna strona. Sędzia Gantry znany był z punktualności, ale na sali nadal nic się nie działo. Zegar pokazał 9:05, potem 9:10 i skonsternowana publiczność w milczeniu wpatrywała się w przeskakujące cyferki. Wreszcie o 9:15 drzwi się otworzyły, na salę weszła ekipa obrońców i usiadła przy stole obrony. Przewodził jej mecenas Clifford Nance, cieszący się renomą adwokat procesowy, którego zatroskana i pobladła twarz wskazywała, że jest zdenerwowany. Przechylił się przez barierkę i powiedział coś do Omara Cheepe'a i Paco, a oni zareagowali tak, jakby stało się coś złego.

Na sali wciąż brakowało Pete'a Duffy'ego, który powinien siedzieć obok Nance'a przy stole obrony.

Omar Cheepe i Paco wyszli z sali.

O 9:20 urzędnik sądowy krzyknął:

– Wszyscy wstać, sąd idzie!

W tym momencie drzwi za ławą sędziowską otworzyły się i powiewając połami czarnej sędziowskiej togi, na salę wkroczył sędzia Henry Gantry.

Urzędnik znów krzyknął:

– Uwaga, uwaga, Sąd Karny Dziesiątego Okręgu pod przewodnictwem szacownego sędziego Henry'ego Gantry'ego rozpoczyna posiedzenie! Niech się ujawnią wszyscy mający związek ze sprawą! Niechaj Bóg błogosławi temu sądowi!

– Proszę siadać – zarządził sędzia Gantry i wszyscy, choć nie zdążyli jeszcze dobrze wstać, usiedli.

Sędzia przeniósł wzrok na Nance'a i zaczerpnął głęboko powietrza. Spojrzenia wszystkich pobiegły jego śladem i mecenas Nance jeszcze

bardziej zbladł. Po długiej chwili milczenia sędzia wreszcie przemówił:

– Mecenasiu Nance, gdzie jest oskarżony Peter Duffy?

Clifford Nance wstał powoli, głośno odchrząknął i gdy wreszcie przemówił, jego głęboki głos zabrzmiał chrapliwie i niezbyt pewnie.

– Nie wiem, Wysoki Sądzie. Pan Duffy miał się stawić w moim biurze dziś o siódmej rano, żeby wziąć udział w naradzie przedprocesowej, jednak się nie pojawił. Nie zadzwonił, nie przysłał faksu ani e-maila, ani SMS-a do mnie lub kogokolwiek w mojej kancelarii. Dzwoniliśmy do niego wielokrotnie, ale nikt nie odebrał. Pojechaliśmy do niego do domu, ale nie zastaliśmy nikogo. Teraz usilnie go poszukujemy, ale wygląda na to, że zniknął.

Theo słuchał słów obrońcy z niedowierzaniem, jak zresztą wszyscy obecni na sali.

Z miejsca podniósł się jeden z policjantów.

– Wysoki Sądzie, czy mogę?

– Proszę – rzekł sędzia Gantry.

– Nikt nas o tym nie zawiadomił. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, moglibyśmy rozpocząć poszukiwania.

– To rozpocznijcie je teraz – prychnął poirytowanym tonem sędzia. Najwyraźniej nieobecność Pete'a Duffy'ego niemile go zaskoczyła. Walnął młotkiem i oznajmił: – Ogłaszam godzinną przerwę. Proszę powiadomić przysięgłych, żeby jakoś sobie umilili oczekiwanie. – Wstał i zniknął za drzwiami pokoju sędziowskiego.

Przez jakiś czas na sali trwało pełne napięcia milczenie, jakby publiczność oczekiwała, że lada chwila drzwi się otworzą i stanie w nich Pete Duffy.

Potem zaczęły narastać szepty i cichy gwar, kilka osób wstało

i zaczęło się kręcić po sali. Nikt jednak nie wychodził, nie chcąc ryzykować utraty miejsca. Przecież Pete Duffy na pewno lada chwila się zjawi, przeprosi za spóźnienie, zrzuci winę na złapaną gumę czy coś w tym rodzaju i proces się rozpocznie.

Minęło dziesięć minut. Theo patrzył, jak reprezentujący strony prawnicy wstają od stołów, tworzą grupki i naradzają się ściszonymi głosami. Jack Hogan i Clifford Nance stoją razem z zatroskanymi minami i z pochylonymi głowami porównują notatki.

– Co o tym sądzisz, Ike?

– Wygląda na to, że prysnął.

– Co to znaczy?

– Może znaczyć wiele różnych rzeczy. Jako zabezpieczenie kaucji Duffy zastawił część swoich nieruchomości, więc jeśli się nie pojawi, jego kaucja przepadnie, a on straci majątek. Oczywiście jeśli naprawdę zwiął, to się tym specjalnie nie przejmie, bo i tak już zawsze będzie musiał żyć w ukryciu. Będzie ścigany przez prawo tak długo, aż go złapią.

– A złapią go?

– Zwykle łapią. Jego twarz będzie wszędzie: w internecie, na afiszach z podobiznami poszukiwanych, które wywieszają na pocztach i w komisariatach w całym kraju. Trudno jest takiemu człowiekowi uniknąć schwytania, choć znane są przypadki słynnych zbiegów, których nigdy nie złapano. Tacy ludzie zwykle uciekają z kraju i zaszywają się w Ameryce Południowej czy gdzieś. Ale to mnie dziwi. Nie sądziłem, że Pete Duffy się na to odważy.

– Odważy?

– Pewnie. Zastanów się, Theo. Facet zabija żonę i szczęśliwie wykręca się z pierwszego procesu, bo sędzia go unieważnia. Wie, że

coś takiego drugi raz się nie zdarzy i że czeka go spędzenie reszty życia w więzieniu. Na jego miejscu na pewno zaryzykowałbym ucieczkę. Pewnie ma gdzieś schowaną grubszą forszę. Załatwił sobie lewe papiery na nowe nazwisko, może jakiś kumpel mu w tym pomógł. Znajac Duffy'ego, nie zdziwiłbym się, gdyby była w to zamieszana jakaś młoda kobieta. Według mnie to całkiem sprytnie posunięcie.

Ike mówił to takim tonem, jakby chodziło o wspaniałą przygodę, ale Theo miał wątpliwości. Zerkał na puste krzesło przy stole obrony i w miarę jak cyfry na zegarze zbliżały się do dziesiątej, ogarniało go coraz większe zdumienie. Czy Pete Duffy rzeczywiście złamał warunki kaucji, uciekł z miasta i postanowił wieść życie człowieka ściganego?

Do sali wrócili Omar Cheepe i Paco i wdali się w szeptankę z Cliffordem Nance'em. Sądząc po nerwowym potrząsaniu głowami, ściągniętych gniewnie twarzach i gorączkowych szeptach nie mieli dla obrońcy dobrych wiadomości. Pete Duffy zapadł się pod ziemię.

Urządник skrzyknął prawników obu stron i poprowadził do gabinetu sędziego na kolejną naradę. Grupka policjantów stojących obok ławy przysięgłych zabawiała się opowiadaniem kawałów. Gwar na sali przybierał na sile, dowodząc rosnącego zniecierpliwienia publiczności.

– Zaczyna mnie to trochę nudzić, Theo – powiedział Ike. Kilka osób już zrezygnowało i ruszyło do wyjścia.

– Ja chyba jeszcze zostanę – odrzekł Theo. Mógł tylko wrócić z pustymi rękami do szkoły i przemęczyć się przez resztę lekcji. Zwolnienie z podpisem pani dyrektor pozwalało mu przebywać poza szkołą do trzynastej i bez względu na przebieg wydarzeń miał zamiar w pełni to wykorzystać.

– Wpadniesz po południu? – spytał Ike. Był poniedziałek, a zgodnie ze zwyczajem obowiązującym w rodzinie Boone’ów Theo miał obowiązek odwiedzać biuro Ike’a w każdy poniedziałek po południu.

– Jasne.

– To do zobaczenia. – Ike się uśmiechnął i wstał.

Po jego odejściu Theo postanowił rozważyć wszystkie plusy i minusy. Oczywiście był rozczarowany, że nie będzie świadkiem rozpoczęcia najgłośniejszej sprawy karnej w najnowszej historii Strattenburga i nie usłyszy utarczek Jacka Hogana i Clifforda Nance’a, biorących się za bary niczym dwaj gladiatorzy. Ale czuł też ulgę, że Bobby Escobar nie będzie musiał wskazywać oskarżycielskim palcem Pete’a Duffy’ego. Theo miał istotny udział w tym, że podczas trwania pierwszego procesu sędzia Gantry dowiedział się o istnieniu Bobby’ego i wiedział, że zwróciło to na niego uwagę obrońców Duffy’ego, a szczególnie jego dwóch mięśniaków, Omara Cheepe’a i Paco. Theo wolałby pozostać w cieniu.

I dlatego w miarę upływu czasu coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nagłe zniknięcie Pete’a Duffy’ego wcale nie jest takie złe, przynajmniej dla niego. Z egoistycznego punktu widzenia mógł się z tego cieszyć.

Dwaj mężczyźni siedzący za Theo zaczęli się spierać na temat decyzji sądu o kaucji dla Duffy’ego.

– Jestem gotów się założyć, że Gantry dostał swoją dolę – mówił gorącym szeptem pierwszy. – Gdyby odmówił wyznaczenia kaucji, to Duffy czekałby za kratkami na drugi proces jak każdy oskarżony o morderstwo. Dla takich nie wyznacza się kaucji. Gantry uległ, bo Duffy śpi na forsie.

– Nie sądzę – oponował jego sąsiad. – Dlaczego miał nie pozwolić

oskarżonemu na wpłacenie kaucji i wyjście na wolność? Przecież do chwili udowodnienia winy jest niewinny, nie? Dlaczego wsadzać człowieka za kratki, zanim zostanie skazany? Za morderstwo czy za cokolwiek. Kaucja za Duffy'ego wynosiła milion dolarów. Zastawił swoje nieruchomości i nikomu to nie przeszkadzało. Przynajmniej do teraz.

Theo był skłonny podzielić zdanie drugiego z mężczyzn.

– Do teraz? – zachnął się pierwszy. – W tym cała rzecz. Kaucja ma gwarantować, że oskarżony stawi się przed sądem. No i proszę! Nie ma go! Zniknął bez śladu, zwiął, zapadł się pod ziemię. Już nigdy go nie zobaczymy. Tylko dlatego, że Gantry zgodził się na kaucję.

– Znajdą go.

– Założę się, że nie. Pewnie jest już w Meksyku i siedzi u jakiegoś chirurga plastycznego, który zbił majątek na zmienianiu oczu i nosów baronom narkotykowym. Założę się, że nigdy Duffy'ego nie znajdą.

– A ja się założę o dwadzieścia dolców, że w ciągu trzydziestu dni trafi za kratki.

– Stoi, dwadzieścia dolców.

Drzwi pokoju sędziowskiego się otworzyły i urzędnicy sądowi stanęli na baczność. Z gabinetu rządkiem wyszli reprezentanci obu stron i usiedli przy swoich stołach. Widzowie pośpiesznie wrócili na miejsca i na sali zapadła cisza.

– Można usiąść – burknął urzędnik.

Sędzia Gantry zajął miejsce za stołem sędziowskim, walnął młotkiem i oznajmił:

– Cisza! Proszę wprowadzić przysięgłych.

Zegar pokazywał jedenastą. Sędziowie przysięgli wyszli z sali posiedzeń i zaczęli zajmować miejsca na ławie. Gdy wszyscy już

siedzieli, sędzia Gantry spojrzał surowo na Clifforda Nance'a i spytał:

– Mecenasiu Nance, gdzie jest oskarżony?

Nance wstał wolno.

– Nie wiem, Wysoki Sądzie. Od dwudziestej drugiej trzydzieści wczoraj nie możemy nawiązać z nim kontaktu.

Sędzia Gantry przeniósł wzrok na Jacka Hogana.

– Prokuratorze Hogan?

– Nie mamy wyjścia, Wysoki Sądzie, musimy wnioskować o unieważnienie rozprawy.

– A ja nie mam wyjścia i muszę się zgodzić. – Sędzia Gantry odwrócił głowę w stronę ławy przysięgłych. – Proszę państwa, wygląda na to, że oskarżony Peter Duffy zniknął. Przebywał na wolności za kaucją w oczekiwaniu na rozprawę, ale cóż, najwyraźniej się nie doczekał. Biuro szeryfa prowadzi poszukiwania, zawiadomiono też FBI. Bez oskarżonego nie możemy kontynuować. Przepraszam państwa za wszelkie niedogodności i raz jeszcze dziękuję za gotowość służenia społeczeństwu. Sędziowie przysięgli są wolni.

Jedna z przysięgłych z ociąganiem podniosła rękę.

– Panie sędzio, a jeśli go znajdą dziś po południu albo jutro? – zapytała.

Sędzia Gantry wyglądał na zaskoczony tym pytaniem.

– No cóż, pewnie będzie to zależało od okoliczności. Bo jeśli, na przykład, złapią go na granicy przy próbie nielegalnego wyjazdu z kraju, to zostanie tu sprowadzony i usłyszy dodatkowe zarzuty. To na pewno wpłynęłoby na jego strategię obrony, więc miałby prawo zażądać przesunięcia terminu. Ale można też przyjąć, że zostanie odnaleziony gdzieś niedaleko i poda powody swojej nieobecności. W takim przypadku unieważnię kaucję, wsadzę go za kratki

i wyznaczę możliwie jak najszybszy nowy termin.

To wyjaśnienie rozwiało wątpliwości przysięgłej i Theo.

– Zamykam posiedzenie sądu – oznajmił sędzia i raz jeszcze stuknął młotkiem.

Theo zwlekał z wyjściem z sali i opuścił ją dopiero wtedy, gdy urzędnik sądowy zaczął gasić światła. Nie bardzo miał dokąd pójść, wsiadł więc na rower i popedałował w stronę szkoły. Dwie przecznice dalej obok pojawił się czarny jeep Cherokee, szyba po stronie pasażera zjechała w dół i w oknie ukazała się śniada twarz Paco. Mężczyzna nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął.

Theo przyhamował i samochód go wyprzedził. Ciekawe, dlaczego za nim jechali?

Na tyle go to wzburzyło, że postanowił wrócić na skróty przez alejki dla pieszych i podwórka. Jechał, co chwila oglądając się za siebie, gdy nagle tuż przed jego rowerem wyrósł potężny mężczyzna i chwycił za kierownicę.

– Ej ty, smarkaczu! – wrzasnął prosto w twarz Theo.

Znów Buc Buck, znów ziejący ogniem i gotowy do walki.

– Mówiłem, że masz się tu nie kręcić – warknął, nie puszczając kierownicy.

– Dobrze, dobrze, przepraszam. – Theo bał się, że staruch go uderzy.

– Coś ty za jeden? – syknął Buck.

– Theodore Boone. Niech pan puści rower.

Buck miał na sobie źle dopasowany liche drelich z naszywką na rękawie ALL-PRO SECURITY. W kaburze przy pasie tkwił groźnie wyglądający pistolet.

– Masz przestać kręcić się po moim podwórku, jasne?

– Jasne – bąknął Theo.

Buck puścił rower i Theo pognał przed siebie. Nikt do niego nie strzelił i chłopiec nagle z przyjemnością pomyślał o powrocie do szkoły, gdzie czuł się bezpieczny.

Rozdział 3

Theo zameldował się w sekretariacie i zwrócił druczek zwolnienia. Jego klasa na czwartej godzinie lekcyjnej miała chemię i Theo nie chciał się spóźnić. Mimo to, zamiast do pracowni chemicznej, poszedł kawałek dalej korytarzem w stronę pokoju pana Mounta. Miał szczęście, bo drzwi były otwarte na oścież, a wychowawca siedział przy biurku i z kanapką w ręku oglądał lokalne wiadomości na ekranie laptopa.

– Siadaj – zaprosił go i Theo usiadł na jedynym wolnym krześle w pokoju.

– Pewnie pan już wie – zagadnął.

– No pewnie. Tylko o tym mówią. – Pan Mount przesunął nieco laptop, żeby Theo też mógł spojrzeć na ekran. Miejscowy szeryf rozmawiał z grupką dziennikarzy, informując ich, że jak dotąd nie natrafiono na żaden ślad Duffy’ego. Przeszukano jego dom, ale niczego nie znaleziono. Oba jego samochody – osobowy mercedes i SUV marki Ford – stały zamknięte w garażu. Najwyraźniej niedzielne popołudnie Duffy spędził samotnie, grając w golfa, i jego pomocnik od noszenia kijów towarzyszył mu aż do końca gry. Duffy pojechał wózkiem golfowym w stronę swojego domu na wysokości szóstego dołka, co zwykle robił po rozegraniu ostatniej partii.

0 dwudziestej drugiej trzydzieści przeprowadził rozmowę

telefoniczną z Cliffordem Nance'em i według relacji tego ostatniego umówił się w biurze na siódmą rano w poniedziałek, by odbyć długą naradę przedprocesową z całą ekipą obrońców.

Pete Duffy mieszkał około trzech kilometrów na wschód od miasta w zbudowanym niedawno osiedlu o nazwie Waverly Creek – ekskluzywnym kompleksie mieszkalno-rekreacyjnym z trzema polami golfowymi, który miał zapewniać mieszkańcom maksimum prywatności. Wjazdu i wyjazdu przez całą dobę strzegli ochroniarze przy bramach, a liczne kamery monitoringu rejestrowały każdy ruch. Dzięki temu szeryf mógł być pewny, że Pete Duffy nie opuścił w nocy terenu osiedla przez żadną z bram.

– Ale do osiedla prowadzi też kilka żwirowych traktów i zapewne Duffy z jednego z nich skorzystał – wyjaśnił szeryf. Widać było, że pytania reporterów już go trochę irytują.

Potwierdził, że na razie nie wiadomo, jak Pete Duffy uciekł. Może pieszo, może rowerem, skuterem albo quadem, może wózkiem golfowym. Do tej pory nie udało się tego ustalić. W każdym razie nie wiadomo, żeby Duffy miał skuter, motocykl lub inny tego typu pojazd, który wymaga rejestracji.

W odpowiedzi na liczne i powtarzające się pytania szeryf wyjaśnił, że po pierwsze, nic nie wiadomo o współniku, który mógłby pomóc Duffy'emu w ucieczce; po drugie, nie znaleziono listu pożegnania, który mógłby sugerować skok z mostu czy inne dramatyczne targnięcie się na życie; po trzecie, nie ma śladów wskazujących na udział osób trzecich, które z jakiegoś powodu chciałyby nie dopuścić do stanięcia Duffy'ego przed sądem; i po czwarte, jak dotąd nie natrafiono na świadka, który widziałby Duffy'ego po opuszczeniu przez niego pola golfowego z torbą pełną kijów.

W końcu szeryf miał dość i przeprosił zebranych, że musi ich zostawić. Obraz kamery powrócił do studia, w którym dwójka prowadzących przystąpiła do podsumowania informacji uzyskanych od szeryfa.

– No to co się z nim stało? – spytał pan Mount, żując kęs kanapki.

– Nie wierzę, żeby postanowił uciekać w środku nocy pieszo przez las – powiedział Theo. – A jak pan sądzi?

– Musiał mieć współnika. Duffy jest mieszcuchem, las nie jest jego środowiskiem naturalnym i nie potrafiłby w nim przeżyć. Jestem pewny, że wymknął się z domu po północy, kiedy wszyscy sąsiedzi spali, i odjechał rowerem, żeby nie narobić hałasu. Jednym z traktów przejechał kilometr lub dwa do miejsca, gdzie czekał na niego współnik. Wrzucili rower do bagażnika lub do skrzyni pick-upa i spokojnie odjechali. W sądzie miał się pojawić dopiero o dziewiątej, więc wystartowali z przewagą siedmiu czy ośmiu godzin.

– Pan się naprawdę tym pasjonuje, prawda? – powiedział z uśmiechem Theo.

– Pewnie. A ty nie?

– Oczywiście, tylko nie przemyślałem tego aż tak szczegółowo. No to gdzie jest teraz?

– Gdzieś daleko. Gliny nie mają pojęcia, czym Duffy i jego współnik się poruszają, więc do czasu natrafienia na nowe poszlaki są bezpieczni. Mogą być gdziekolwiek.

– Myśli pan, że ich złapią?

– Coś mi mówi, że nie. To może się okazać ucieczką doskonałą, szczególnie że ma współnika.

Pan Mount miał trzydzieści kilka lat i zdaniem Theo był najfajniejszym nauczycielem z całej szkoły. Jego ojciec był sędzią,

starszy brat adwokatem, a on sam często przebąkiwał o rzuceniu pracy w szkole i rozpoczęciu studiów prawniczych. W szkole prowadził Dyskusyjny Klub Ósmych Klas, a Theo był jego gwiazdą. To spowodowało, że nawiązali niemal koleżeńskie stosunki. Oglądali teraz wiadomości na laptopie, a w głowach obu trybiki aż furczały, produkując najdziwsze teorie dotyczące zniknięcia Duffy'ego. Jak naprawdę udało mu się uciec?

– Omówimy to chyba jutro na WOS-ie – podsumował Theo.

– Chyba żartujesz. Przez następne dwa dni całe miasto nie będzie mówiło o niczym innym.

Rozległ się dzwonek i Theo nagle nabrał ochoty, żeby sobie pójść. Przerwa na lunch trwała zaledwie dwadzieścia minut i nie było chwili do stracenia. Korytarze błyskawicznie zapełniły się uczniami pięciu ósmych klas, którzy wypadli z sal i ruszyli hurmem do szafek i dalej do stołówki.

Gimnazjum w Strattenburgu kilka lat wcześniej przeszło gruntowną modernizację i jedną z najbardziej docenianych zmian stanowiły nowe szafki dla uczniów. Były szerokie i głębokie, zrobione z drewna, w odróżnieniu od poprzednich hałaśliwych puszek z blachy, które od dziesięcioleci szpeciły korytarze. Dodatkowym udogodnieniem było to, że uczniowie nie musieli nosić kluczy. Każda szafka była zaopatrzona w elektroniczny szyfrator, podobny z wyglądu do klawiatury telefonu, i miała przyciski oznaczone literami i cyframi. Wystarczyło wprowadzić pięć – lub sześciocyfrowy kod i drzwi się otwierały.

Na cześć ukochanego psa Theo zdecydował się na słowo ASESOR, co przekładało się na kod cyfrowy 273767. Otworzył szafkę i natychmiast wyczuł, że coś jest nie w porządku. Brakowało kilku

rzeczy. Theo od czasu do czasu miewał ataki astmy i musiał mieć pod ręką inhalator. Zawsze nosił w kieszeni jeden i miał paczkę trzech zapasowych w szafce. Inhalatory zniknęły, podobnie jak jego niebiesko-czerwona bejsbolówka Minnesota Twins, którą nosił, gdy padał deszcz. Brakowało też dwóch czystych zeszytów. Książki były na miejscu, ułożone w stertę jedna na drugiej. Theo zamarł na chwilę ze wzrokiem wlepionym we wnętrze szafki, upewniając się, że nie śni, po czym rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś (może złodziej?) go obserwuje. Jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Poprzekładał książki, przejrzał zawartość szafki i doszedł do wniosku, że się do niej włamało. Został obrabowany!

Wcześniej zdarzały się drobne kradzieże, jednak nowe szafki z nowoczesnymi zamkami praktycznie je wyeliminowały. Theo spojrzął w głąb korytarza, gdzie pod sufitem, nad dużym elektronicznym zegarem, tkwiła kiedyś kamera monitorująca. Teraz ze ściany sterczał tylko pusty wspornik. Kamerę zdjęto, bo szkoła właśnie przechodziła modernizację całego systemu monitorowania z nagrywaniem wideo.

Theo nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Jeśli zgłosi kradzież, godzinę lub więcej spędzi w gabinecie pani dyrektor na wypełnianiu formularzy i opisywaniu całego zdarzenia. Co gorsza, potem będzie musiał uporać się z setkami wścibskich pytań przyjaciół i kolegów. W drodze do stołówki postanowił dać sobie czas na przemyślenie tego, co się stało. Przede wszystkim jednak musi dojść, jakim cudem ktoś poznał jego kod i otworzył szafkę. A kradzież może zgłosić jutro.

Za dwa dolary kupił porcję spaghetti, chleb i butelkę wody. Usiadł przy stoliku z Chase'em i Woodym i rozmowa szybko zeszła na Duffy'ego i jego zniknięcie. Rozmawiając, Theo nie mógł się oprzeć

pokusie rozejrzenia się po sali. W tłumie jedzących lunch ósmoklasistów nikt nie miał na głowie jego bejsbolówki Twinsów. O ile wiedział, tylko on jeden w całym Strattenburgu był kibicem tej drużyny.

Podczas cichej nauki pod okiem pana Mouna Theo przekazał krótką relację z porannych wydarzeń w sądzie, po czym wszyscy obejrzeni lokalne wiadomości. Wyglądało na to, że sprawa Duffy'ego zdominowała życie miasta. Nadal nie natrafiono na żaden ślad zbiega i agent FBI wygłosił nawet do lokalnej społeczności apel o pomoc. Jak dotąd nie było żadnych poszlak co do okoliczności zniknięcia Duffy'ego. Dużo mówiono o milionie dolarów, które oskarżony wpłacił, aby pozostać na wolności, to zaś z kolei wywołało szereg komentarzy na temat jego finansów. Były wspólnik Duffy'ego w interesach oświadczył, że dobrze go zna, i wspomniał, że jego dawny partner „...zawsze ma kupę forsy...” poutykaniej w różnych sekretnych miejscach. Ta uwaga wywołała wielkie poruszenie wśród reporterów.

Po lekcjach Theo jeszcze raz przejrzał szafkę i uznał, że wszystko poza tymi kilkoma drobiazgami jest na miejscu. Nie zginęło nic więcej. Zastanowił się nad zmianą kodu, ale postanowił z tym poczekać. Zmiana kodu nie była taka prosta, bo kody szafek rejestrowano w sekretariacie pani dyrektor. Szkoła zastrzegła sobie prawo – jeśli okoliczności to uzasadniały – do zajrzenia w każdej chwili do dowolnej szafki, choć dochodziło do tego bardzo rzadko. Co najmniej raz nie domknął szafki i następnego dnia zaskoczony stwierdził, że ktoś ją domknął, ale nie zablokował. Takie rzeczy zdarzały się dość często wśród siódmo – i ósmoklasistów, bo mechanizm blokujący wymagał wciśnięcia przycisku ZAMKNIJ

i przytrzymania go przez pełne trzy sekundy. Dwunasto – i trzynastolatki zwykle bardzo się śpieszą albo myślą o czymś innym i zapominają o odczekaniu trzech sekund.

Theo wyszedł ze szkoły i zanim dotarł do stojaka z rowerami, pomyślał, że wprawdzie ktoś buszował w jego szafce, ale się do niej nie włamał. Musiał zostawić ją otwartą. Przyrzekł sobie, że na przyszłość będzie ostrożniejszy.

Po chwili pojawił się następny problem. Theo rozpiął łańcuch, owinął go jak zwykle wokół kierownicy i wysunął rower ze stojaka. Od razu wyczuł, że w przednim kole nie ma powietrza. Ukucnął, obejrzał dokładnie oponę i znalazł na niej ślad. Ktoś ją przebił.

Theo miał za sobą niefortunną serię przygód z oponami. W ciągu minionych trzech miesięcy najechał na dwa gwoździe, kawałek szkła z potłuczonej butelki i ostry kawałek metalu. Dwukrotnie uszkodził też przednią oponę przez nieostrożną jazdę. Ojciec nie był tym wszystkim zachwycony i gdy przy kolacji pojawiał się temat nowej opony, sytuacja robiła się napięta.

Tyle że to ostatnie przebicie nie było przypadkowe. Ktoś celowo przeciął oponę jakimś ostrym narzędziem.

Odczekał, aż koledzy odjadą, i rozpoczął upokarzające prowadzenie roweru ulicami, które nagle zrobiły się bardzo długie. Szedł, zastanawiając się, kto mógł zrobić mu coś takiego, i starając się odnieść tę przykrość do całego dnia, który od początku toczył się nie najlepiej. Podniecenie wizytą na sali sądowej już opadło; Omar Cheepe i Paco śledzili go w drodze z sądu do szkoły; Buc Buck o mało nie uderzył go kamieniem, a potem przyłapał po raz drugi, ktoś okradł jego szkolną szafkę, a teraz jeszcze to – przebito mu oponę w rowerze, co poważnie uszczupli jego oszczędności.

Theo nie mógł się powstrzymać od zerkania na boki. Był niemal pewny, że ktoś go obserwuje.

Sklep i serwis rowerowy Gila mieścił się przy wąskiej uliczce w samym centrum, trzy kwartały od gmachu sądu. Pełno tam było małych rodzinnych sklepów i punktów usługowych: pralnia, sklep z obuwem, punkt fotograficzny, piekarnia, punkt ostrzenia noży, którego właściciel był winny Ike'owi pieniądze za obsługę podatkową, kilka sklepów spożywczych. Theo szczyił się tym, że zna osobiście wszystkich właścicieli, ale Gil należał do jego faworytów. Był niskim przysadzistym mężczyzną z dużym brzuchem, częściowo zakrytym grubym roboczym fartuchem pokrytym warstwą błota i smaru. Gil sprzedawał rowery i uwielbiał je naprawiać. Jego sklep zawsze był zavalony rowerami wszelkich odmian, wielkości i maści. Mniejsze wisały na hakach przymocowanych do sufitu, wielkie szpanerskie górale stały w oknach wystawowych.

Theo wprowadził rower do środka z głową spuszczoną pod ciężarem poniesionych porażek. Gil z kubkiem kawy w ręku siedział na taborecie w głębi sklepu.

- Proszę, proszę – parsknął. – I kogo my tu widzimy?
- Cześć, Gil. Znowu złapałem gumę.
- Co się stało? – Gil dźwignął się ze stołka i podszedł bliżej.
- Wygląda na sabotaż.

Gil uniósł rower za kierownicę i obrócił przednie koło. Przyjrzał się śladowi na oponie i aż gwizdnął.

- Komuś się naraziłeś? – zapytał.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Chyba nieduży scyzoryk. W każdym razie na pewno celowo. Nic z tym nie zrobię, Theo. Musisz sprawić sobie nową.

– Tego się bałem. Ile?

– Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie. Osiemnaście dolców.

Mam wysłać rachunek tacie?

– Nie, tata ma już dość mnie i moich opon. Sam zapłacę. Ale nie uzbieram od razu osiemnastu dolarów.

– Ile możesz zapłacić teraz?

– Mogę dziesięć jutro, resztę za jakieś dwa tygodnie. Mogę ci nawet podpisać weksel.

– Myślałem, że jesteś prawnikiem.

– W pewnym sensie.

– No to musisz się jeszcze trochę poduczyć. Trzeba mieć skończone osiemnaście lat, żeby móc podjąć prawomocne zobowiązanie finansowe. Dotyczy to również wystawiania weksli.

– Jasne, jasne, przecież wiem.

– Ograniczmy się do staromodnego uścisku rąk. Dziesięć dolców jutro, reszta za dwa tygodnie. – Gil wyciągnął brudną pulchną dłoń i Theo ją uścisnął.

Piętnaście minut później pędził już Park Street, szczęśliwy z powodu odzyskanej swobody, ale i nękany niepokojem, co ten pechowy dzień jeszcze przyniesie. Myślał też intensywnie, o której ze swoich porażek powinien opowiedzieć rodzicom. Im był dalej od okradzonej szafki w szkole, tym cała sprawa wydawała mu się mniej istotna. Poniesione straty były irytujące, ale jakoś sobie z tym poradzi. Zupełnie czym innym była jednak przebita opona, bo w tym przypadku posłużono się ostrym narzędziem.

Zbliżał się do kancelarii prawniczej Boone i Boone, gdy zmroziła go nagła myśl: a jeśli okradzenie szafki i przebicie opony są dziełem tej samej osoby?

Rozdział 4

Kancelaria Boone i Boone była jedną z mniejszych przy cichej uliczce pełnej biur prawnych, księgowych i projektowych. W czasach gdy Theo nie było jeszcze na świecie, wszystkie domy stojące przy tym odcinku Park Street były budynkami mieszkalnymi.

Theo wprowadził rower po schodkach do wejścia, oparł o ścianę w jego zwykłym miejscu i zerknął na boki, upewniając się, że nikt nie obserwuje jego ani roweru. Za drzwiami wejściowymi zaczynało się królestwo Elsy Miller, głównej sekretarki, niekiedy zarządzającej całą firmą. Elsa była dziarską nadaktywną kobietą, która mogłaby być babcią Theo – zresztą często tak się zachowywała.

Na widok Theo jak zawsze zerwała się zza biurka i zgmiotła go w potężnym uścisku, pociągając za płatek ucha i mierzwiąc mu włosy, ale na szczęście nie obsypując pocałunkami. Elsa zdawała sobie sprawę, że trzynastoletni chłopcy nie lubią być przez nikogo całowani. Za to przez cały czas napaści – bo Theo tak odbierał powitanie Elsy – nie przestawała trajkotać.

– Theo! Jak ci minął dzień? Nie jesteś głodny? Czy ta koszula pasuje do spodni? Odrobiłeś już lekcje? Słyszałeś, że Pete Duffy skoczył z mostu?

– Skoczył z mostu? – powtórzył Theo, robiąc krok do tyłu i wyzwalając się z objęć Elsy.

– Tak mówią. To tylko jedna z wersji, ale całe miasto aż kipi od plotek.

– Byłem w sądzie, kiedy się nie pojawił – oznajmił z dumą chłopiec.

– Byłeś?

– Byłem.

Wycofanie się Elsy na pozycje było równie nagłe jak atak, dzięki czemu Asesor mógł skoczyć i pomachać ogonem na powitanie. Pies spędzał całe dnie w biurze, obwąchiwał każdego klienta, spał gdzie popadło i zawsze rozglądał się za czymś do zjedzenia. Zwykle czekał na Theo na fotelu w jego pokoju albo na niewielkim legowisku u nóg Elsy. Uznawano, że pilnuje firmy, ale tak naprawdę to, co robił, nie miało z pilnowaniem nic wspólnego.

– W kuchni są pierniczki z orzechami – oznajmiła Elsa.

– Kto je upiekł?

Pytanie było jak najbardziej uzasadnione. Pierniczki Elsy były jadalne, o ile ktoś przymierał głodem. W przeciwieństwie do ciasta przynieszonego czasem przez Dorothy, sekretarkę ojca, którego nie dawało się przełknąć, a które wyglądem przypominało zaprawę murarską i smakowało jak błoto. Nawet Asesor nie wykazywał nim zainteresowania.

– Ja upiekłam, Theo. Są pyszne.

– Twoje zawsze są pyszne – zapewnił Theo i ruszył w głąb korytarza.

– Mama jest w sądzie, a tata wyszedł na miasto. Dopina sprawę sprzedaży pewnej nieruchomości! – zawołała za nim Elsa. Do jej obowiązków służbowych należało pilnowanie kalendarza całego personelu, szczególnie pana i pani Boone, co nie było trudne, bo to ona umawiała wszystkie ich spotkania. Elsa jednak potrafiła też podać

dokładny harmonogram zajęć Dorothy i Vince'a, asystenta pani Boone. Po dodaniu do listy Theo i Asesora można było uznać, że Elsa wie wszystko o wszystkich: ich spotkaniach, służbowych lunchach i kawach, wizytach u lekarza, protokołach zeznań, terminach pożyczek, datach urodzin, planach urlopowych, rocznicach, a nawet pogrzebach. Kiedyś wręczyła Dorothy kartkę z kondolencjami z powodu śmierci jej ojca, co do dnia trzy lata po dacie jego pogrzebu.

Ogólny plan dnia rodziny Boone'ów przewidywał, że po pierwsze, Theo prosto po szkole wraca do biura, gdzie, po drugie, melduje się u Elsy, mężnie znosząc jej powitania, po czym, po trzecie, zagląda do gabinetu mamy na szybkie „cześć” i po czwarte, idzie na górę z nieodstępującym go na krok Asesorem, by złożyć ojcu krótką relację z wydarzeń dnia, następnie, po piąte, zamienia kilka słów z Dorothy i, po szóste, kilka dalszych z Vince'em, by, po siódme, dotrzeć wreszcie do swojego pokoju na tyłach biura i przystąpić do odrabiania lekcji, co miał obowiązek skończyć do kolacji. Oczywiście jeśli wypadało mu coś ekstra, na przykład wykonywanie zadań na odznakę sprawnościową lub kibicowanie kolegom grającym w nogę lub kosza, zwalniano go ze ścisłego przestrzegania tego regulaminu. Był w końcu tylko chłopcem, dzieckiem rodziców, którzy rozumieli potrzeby zdrowego trzynastolatka.

Theo zamknął drzwi swojego pokoju i wyjął z plecaka laptop. Włączył i sprawdził najnowsze wiadomości w sprawie Duffy'ego. Nie było słowa o skoku z mostu, ale Theo to nie zdziwiło. Elsa była znana ze skłonności do koloryzowania.



Trudno mu było skupić się na nauce, ale po dwóch godzinach wszystkie zadania domowe były z grubsza odrobione. Elsa sprzątała już swoje biurko i szykowała się do wyjścia. Oboje państwo Boone wciąż byli zajęci na mieście i jeszcze nie wrócili. Theo dokładnie obejrzał swój rower, upewniając się, że wandal nie poczynił nowych szkód. Nie znalazł niczego niepokojącego i ruszył przed siebie, goniony zawzięcie przez Asesora.

Biuro Ike'a mieściło się na pierwszym piętrze starego domu należącego do pary Greków. Na parterze działał ich niewielki sklep spożywczy z działem garmazeryjnym i gabinet stryjka na górze był przesiąknięty wonią pieczeni baraniej z cebulką. Dla kogoś z zewnątrz było to trudne do zniesienia, choć tak naprawdę pachniało dość przyjemnie. Ike zajmował to biuro od wielu lat i chyba w ogóle tego zapachu nie czuł.

Siedział właśnie za długim, zawalonym papierami biurkiem, popijając piwo z butelki i słuchając sączącego się z głośników Boba Dylana. Theo wszedł bez pukania i opadł na stary zakurzony fotel.

– Jak się ma mój ulubiony bratanek? – spytał Ike, dokładnie jak co tydzień. Theo był jego jedynym bratankiem, czyli hi, hi!

– Doskonale – odparł Theo. – Trochę zawiedziony dzisiejszym sądem.

– No, rzeczywiście dziwne. Przez cały dzień nastawiałem uszu, ale niczego nie usłyszałem.

Ike został zdegradowany z pozycji szanowanego adwokata do statusu pozbawionego uprawnień adwokackich ekscentrycznego hippisa i utrzymywał kontakty z półświatkiem przestępczym Strattenburga, od którego sporo można się było dowiedzieć. W jednym z klubów pokerowych grywał z byłymi policjantami

i prawnikami, w innym zadawał się z byłymi przestępcami, takimi jak on. Prawie zawsze potrafił dotrzeć do plotki i przyjrzeć się jej z bliska, nim zaczęła zataczać szersze kręgi.

– To jaką masz teorię? – zwrócił się do bratanka.

Theo wzruszył ramionami, jakby nie miał wątpliwości.

– To proste, Ike. Krótco po północy Pete Duffy wskakuje na rower, jedzie parę kilometrów żwirowym traktem, spotyka się ze współnikiem, wrzucają rower do bagażnika samochodu albo na pakę pick-upa i odjeżdżają. – Theo wyrecytował wszystko płynnym, pewnym siebie głosem, jakby przy tym był. Skończył i w duchu pogratulował przenikliwości panu Mountowi.

Ike zmrużył oczy i zastanawiał się przez chwilę.

– Kto ci to wszystko powiedział? – spytał w końcu, marszcząc czoło.

– Nikt. Ale myślę, że to oczywiste. Bo jak inaczej to wytłumaczyć?

Ike poskrobał się po brodzie i przyjrzał chłopcu ponad biurkiem. Wierzył w dojrzałość i miejski spryt bratanka, ale to wyjaśnienie wyglądało podejrzanie, jak wykute na pamięć.

– I jestem gotów się założyć, że nigdy go nie znajdą – dodał Theo. – Jestem pewny, że Duffy miał to od dawna zaplanowane i teraz jest gdzieś daleko, z kupą forsy i nowymi papierami w kieszeni.

– Tak myślisz?

– Jasne, Ike. Wystartował z ośmiogodzinnym wyprzedzeniem, a w dodatku policja nie ma pojęcia, czym się porusza. Więc nie wiedzą, czego szukać.

– Chcesz coś do picia? – spytał Ike, obracając się z fotelem. Znajdująca się w kredensie za jego plecami niewielka lodówka była zwykle dobrze zaopatrzona.

– Nie, dziękuję – powiedział Theo.

Ike wyjął następną butelkę piwa, zdjął kapsel i upił łyk. Theo wiedział, że jego stryj pije zdecydowanie za dużo. Słyszał na ten temat wiele rozmów w kancelarii Boone i Boone, a także w kręgach sądowych. Wielokrotnie też dochodziło go stwierdzenie, że „Ike Boone walczy z butelką”, i czuł, że jest w tym sporo prawdy. Ale sam nigdy nie był tego świadkiem. Ike był rozwiedziony i miał minimalny kontakt z dziećmi i wnukami. Mieszkał sam i zdaniem Theo był starym przegranym samotnikiem.

– Ciągłe masz czwórkę z chemii? – zainteresował się Ike.

– Daj spokój, Ike. Musimy rozmawiać o stopniach? Mam dość uwag rodziców. A poza tym mam piątkę minus, nie czwórkę.

– A co u rodziców?

– Wszystko w porządku. Mama kazała ci przekazać zaproszenie na kolację dziś wieczorem u Robilia.

– To miło z jej strony. – Ike machnął ręką nad papierami zawalającymi biurko i wypowiedział kwestię, którą Theo niemal codziennie słyszał od rodziców. – Mam za dużo pracy.

Ale mi nowina, pomyślał. Z przyczyn, których nie potrafił zrozumieć, stosunki między rodzicami a Ikiem były napięte, a on nie mógł zrobić nic, żeby to zmienić.

– Kolacja nie trwa długo – bąknął tylko.

– Przekaż Marcelli moje podziękowania.

– Przekażę.

Theo często zwierzał się Ike'owi i mówił mu rzeczy, których nie powiedziałby rodzicom. Przez chwilę zmagął się z myślą, czy opowiedzieć mu o serii pechowych zdarzeń tego dnia, ale ostatecznie zrezygnował. Zawsze będzie mógł to zrobić później i poprosić o radę.

Pogadali trochę o futbolu i baseballu i po półgodzinie Theo i Asesor

wyszli. Rower stał dokładnie tam, gdzie go zostawił, w obu kołach było powietrze. Wsiadł i ruszył w drogę powrotną, a pies za nim. Zastał oboje rodziców w biurze i zgodnie z codziennym rytuałem pokrótce zrelacjonował swój dzień.

Marcella Boone nie przepadała za gotowaniem i często była zbyt zajęta, by chociaż się do tego przymierzyć. Woods Boone był mizernym kucharzem, za to kochał jeść. W rezultacie już od wczesnego dzieciństwa Theo wszyscy troje korzystali ze wspaniałej różnorodności, jaką oferowały etniczne restauracje w Strattenburgu. W poniedziałki zwykle jadali we włoskiej restauracji Robilia. We wtorki była zupa i kanapka w schronisku dla bezdomnych, co trudno uznać za wykwintne jedzenie. Odbijali sobie w środy, kupując chińszczyznę na wynos w jednej z trzech ulubionych knajpek. W czwartki pan Boone przywoził do domu danie dnia z tureckich delikatesów. W piątki zawsze była ryba w krzykliwym libańskim bistro U Maloufa, w soboty wybierali którąś z wielu lubianych restauracji, przy czym wyboru dokonywało zawsze jedno z nich, a pozostała dwójka bez szemrania go akceptowała. Dopiero w niedziele pani Boone obejmowała rządy w kuchni, wypróbowując kolejne przepisy na pieczonego kurczaka. Rezultaty nie zawsze zapierały dech w piersiach.

Dokładnie o dziewiętnastej rodzina Boone'ów wkroczyła do restauracji Robilia i została zaprowadzona do ulubionego stolika.

Rozdział 5

Wtorek rano. Nie było to takie, bo pierwszy wtorek miesiąca oznaczał, że Theo i około pięćdziesięciu skautów z drużyny 1440 Hufca Old Bluff szło do szkoły w skautowskich koszulkach i barwnych chustach na szyjach. Kierownictwo nie zgodziło się, żeby chłopcy nosili na terenie szkoły pełny uniform skautowski. W szkole obowiązywały pewne zasady dotyczące ubrania, ale nie były jasno sprecyzowane ani kategorycznie przestrzegane, i mundurek skautowski nie stanowiłby ich naruszenia. Komitet szkolny wychodził jednak z założenia, że jeśli zezwoli na terenie szkoły na mundurki skautowskie – choćby tylko przez jeden dzień w miesiącu – otworzy furtkę dla wszelkiego rodzaju niechcianych ubiorów. Obawiano się dresów sportowych, strojów do karate, kostiumów teatralnych, a nawet ubiorów o charakterze religijnym w rodzaju szat buddyjskich czy muzułmańskich burek. Odbyły się długie dyskusje i gdy wreszcie osiągnięto kompromis, Theo i pozostali skauci uznali, że i tak mieli szczęście, uzyskując zgodę komitetu na noszenie raz w miesiącu częściowego uniformu.

Theo wziął szybki prysznic, umył zęby, obudowane grubym aparatem korekcyjnym i przez to prawie niewidoczne, i włożył skautowską koszulkę z emblematem hufca na pagonach, niebiesko-białym numerem drużyny i odznakami Tropicielea i Ratownika Życia na piersi. Dokładnie rozprostował wszystkie zagniecenia i wygładził

koszulę pod paskiem dżinsów, po czym ostrożnie założył na szyję pomarańczową chustę i ściągnął oficjalną skautowską obrączką. Gdyby miał na sobie pełny mundur, mógłby się też pochwalić szarfą ze sprawnościami, z której był dumny, bo właśnie ostatnio zdobył dwudziestą drugą i dwudziestą trzecią odznakę za astronomię i grę w golfa. Liczył, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeszcze przed rozpoczęciem dziewiątej klasy zdobędzie stopień Orła. Jego celem – poza uzyskaniem tytułu Skauta Orlego – było zdobycie co najmniej trzydziestu pięciu odznak sprawnościowych, które ozdobią jego szarfę, równiutko naszyte przez mamę.

Sypiający pod łóżkiem Theo Asesor już od pół godziny wiercił się niecierpliwie, znudzony czekaniem. Chciał jak najszybciej wyjść na dwór i cicho skamlał. Theo raz jeszcze poprawił chustę, zaaprobował swoje odbicie w lustrze, wziął plecak i zbiegł po schodach.

Na chwilę w ogóle zapomniał o sprawie Pete'a Duffy'ego.

Jego mama – kobieta nienależąca do tryskających energią rannych ptaszków – siedziała przy kuchennym stole z kubkiem kawy i gazetą.

– Dzień dobry, Theo. Ale milutko wyglądasz.

– Dzień dobry – odrzekł Theo i pocałował mamę w czoło. Nienawidził, kiedy mama używała takich określeń. Otworzył drzwi i Asesor wyprysnął na dwór. Na stole przy krześle czekał już codzienny poranny zestaw – pudło płatków śniadaniowych, karton mleka, miseczka, łyżka i szklanka soku pomarańczowego.

– Wciąż ani śladu po Duffym – powiedziała mama, nie podnosząc oczu znad gazety.

– Nie znajdą go. – Theo powtórzył opinię wielokrotnie wypowiedzianą przy kolacji.

– Nie byłabym taka pewna. W dzisiejszych czasach niełatwo jest

ukryć się przed FBI. Dysponują taką nowoczesną techniką. – Ten argument też już padł przy kolacyjnym stole. Theo nasypał płatków do miski, zalał mlekiem i otworzył drzwi, by wpuścić Asesora, który w porze śniadania nigdy nie miał za dużo czasu na spacer. Theo wsypał też trochę płatków do psiej miski, zalał mlekiem i pies z zapałem przystąpił do chrupania.

Nie odrywając wzroku od gazety, pani Boone powiedziała:

– To dziś po południu masz zbiórkę, tak?

Nie, mamusiu, dziś jest Halloween.

Nie, mamusiu, moje wszystkie pozostałe koszule są brudne.

Nie, mamusiu, próbuję ci tylko namieszać w głowie, żebyś pomyślała, że dziś jest pierwszy wtorek miesiąca, i pomyliła sale rozpraw.

Mógłby odpowiedzieć na wiele złośliwych sposobów, ale był dobrym skautem i szanował starszych. Był też dobrym synem i nie chciał drażnić mamy wymądrzaniem się.

– Tak, mamusiu – powiedział.

– Kiedy jedziecie na następny obóz? – spytała, powoli przewracając stronę.

– W przyszły piątek. Nad jezioro Marlo. – Drużyna 1440 spędzała co najmniej jeden weekend w miesiącu w warunkach obozowych i wyjazdy te należały do ulubionych przygód Theo.

W domu Boone'ów w każdym pomieszczeniu znajdował się chociaż jeden zegar, co dowodziło niezbitcie, że mieszkają tu ludzie dobrze zorganizowani. Zegar w kuchni pokazywał siódmą pięćdziesiąt pięć, Theo zawsze kończył śniadanie o ósmej. Asesor siorbnął ostatni łyk, Theo zaniósł obie miski do zlewu i opłukał. Schował mleko i sok pomarańczowy do lodówki i pobiegł na górę do swojego pokoju,

gdzie potupał przez chwilę, by narobić trochę hałasu. Nie umywszy zębów po raz drugi, zbiegł na dół, wpadł do kuchni i cmoknął mamę w policzek.

– Lecę do szkoły! – zawołał.

– Masz pieniądze na lunch?

– Zawsze.

– Lekcje odrobione?

– Jasne. Do zobaczenia po szkole.

– Tylko uważaj, Teddy. I pamiętaj, żeby się uśmiechać.

– Uśmiecham się, mamusiu.

– Kocham cię, Teddy.

Już przez ramię rzucił: „Ja ciebie też, mamusiu”, i wypadł z domu.

Pogłaskał psa po głowie, wsiadł na rower i pedałując, prychnął z odrazą: „Teddy”. Było to rodzinne zdrobnienie jego imienia, szczerze go nie znosił. „Milutki chłopczyk Teddy!”. Pomachał panu Nunnery’emu, sąsiadowi, który całe dni spędzał, siedząc nieruchomo na ganku.

Jadąc ulicami Strattenburga, Theo przypomniał sobie wczorajszy incydent na podwórzu Buca Bucka i postanowił od teraz trzymać się ulic i przestrzegać przepisów. Przez chwilę myślał też o sprawie Duffy’ego i atrakcjach, których został pozbawiony, bo oskarżony postanowił dać nogę. Jadąc pustawymi ulicami Strattenburga, Theo myślał o całym mnóstwie spraw. O swojej szkolnej szafce i czy ktoś jeszcze w niej grzebał. O przebitej oponie i czy może się to powtórzyć. O Omarze Cheepe i Paco i czy wciąż go jeszcze śledzą.

Klasa aż huczała od najświeższych plotek o Duffym. Wszyscy chłopcy prześcigali się, wygłaszając różne opinie i kreśląc różne scenariusze wydarzeń, zasłyszane od rodziców wieczorem przy

stołach. Według jednej wersji Duffy'ego widział niedaleko wiejski listonosz, według innej Duffy'ego zamordowali baronowie narkotykowi, wedle jeszcze innej Duffy siedział cały i zdrowy w Argentynie. Theo słuchał opowieści kolegów, ale się nie włączał. Był wystarczająco szczęśliwy, że znalazł swoją szafkę w stanie nienaruszonym.

Rozległ się dzwonek i chłopcy wyszli z klasy, by rozpocząć kolejny koszmarny dzień zajęć.



Drużyna 1440 odbywała zbiórki w podziemiach budynku należącego do oddziału VFW – Veterans of Foreign Wars¹. Na górze starzy żołnierze spotykali się przy codziennej partii bezika, kanasty i kufu piwa; skauci mieli zbiórki na dole w każdy pierwszy i trzeci wtorek miesiąca.

Drużynowym był ekszołnierz korpusu marines, który lubił być nazywany majorem Ludwigiem lub w skrócie Majorem. (Czasem nazywano go też Narwańcem, ale tylko za jego plecami i jedynie gdy było pewne, że tego nie usłyszy). Major Ludwig miał około sześćdziesiątki i prowadził drużynę 1440 tak, jakby szykował oddział marines do akcji. Był zawziętym biegaczem, twierdził, że jest w stanie wykonać pięćset siadów i pompek przed śniadaniem i wciąż dopingował swoich chłopców, by jeszcze dalej płynęli, jeszcze mocniej wiosłowali, jeszcze dłużej maszerowali i generalnie wszystko robili jeszcze lepiej. Kontrolował indywidualne karty postępów i oczekiwał, że każdy członek jego drużyny zdobędzie stopień Orła. Nie tolerował złego zachowania i gdy tylko któryś z chłopców zaczynał się opuszczać, Major natychmiast zawiadamiał rodziców.

Umiał wrzeszczeć jak prawdziwy sierżant podczas musztry, ale potrafił też zachować odpowiednie proporcje między dyscypliną i zabawą. Lubił się wydzierać, ale lubił się też śmiać. Chłopcy go uwielbiali.

Czasami, kiedy Theo przestawał na chwilę marzyć o tym, że zostanie słynnym prawnikiem procesowym lub mądrym i sprawiedliwym sędzią, rozważał w duchu pomysł zostania zawodowym drużynowym skautów, jak Major. Niestety realizacja pomysłu wiązała się z pewnymi problemami, praca drużynowego skautów była bowiem ochotnicza.

Dokładnie o szesnastej Major przywołał drużynę do porządku i w dużym pomieszczeniu zapadła cisza. Drużyna 1440 dzieliła się na pięć zastępów: Pantery, Grzechotniki, Traperzy, Guźce i Sokoły. Każdy zastęp miał zastępowego i zastępcę i liczył dziewięciu lub dziesięciu skautów. Theo był zastępowym w zastępie Sokołów. Wyprężeni jak struny pod groźnym spojrzeniem Majora, skauci złożyli przysięgę wierności sztandarowi i wyrecytowali słowa skautowskiej przysięgi i maksymy. Wszyscy usiedli i Major przystąpił do realizacji precyzyjnie obmyślonemu planu zbiórki, w którego ramach zastępowi kolejno raportowali nowe sprawności zdobyte przez członków, wyniki zbiórki funduszy i przede wszystkim przygotowania do zbliżającego się obozu nad jeziorem Marlo. Drużyna obejrzała piętnastominutowe wideo na temat opatrywania skaleczeń, po czym przystąpiła do zajęć praktycznych z wiązania węzłów. Major oświadczył, że jest bardzo rozczarowany ich ślamazarnym splątywaniem, zaciskaniem i rozplątywaniem węzłów i że na obozie oczekuje dużo lepszych wyników. Sam ćwiczył te umiejętności latami i był prawdziwym mistrzem od węzłów prostych i ósemek, jednak – co najbardziej

imponowało chłopcom – potrafił też bezbłędnie wykonywać bardziej skomplikowane węzły palowe czy knagowe.

Jak zwykle półtoragodzinna zbiórka nie wiadomo kiedy dobiegła końca i punktualnie o siedemnastej wyszli z budynku. Większość uczestników rozjechała się na rowerach i gdy Theo wsiadł na swój, okazało się, że ma problem.

W tylnym kole nie było powietrza.



Gdy zdyszany i spocony od pchania roweru przez blisko dziesięć kwartałów dotarł do sklepu Koła Gila, jego właściciel właśnie zamykał.

– Proszę, proszę – powiedział Gil, wycierając ręce w szmatę, która zawsze zwisała mu z kieszeni fartucha. – Mój ulubiony klient.

Theo zbierało się na płacz. Był nie tylko zziębnięty, ale i przygnębiony koniecznością kupna następnej opony, i nie na żarty wystraszony, że ktoś naprawdę na niego nastaje. Gil pokręcił tylnym kołem, zatrzymał je i przytknął palec do przecięcia.

– Chyba ten sam nóż co wczoraj na przednim kole – stwierdził. – To w szkole ci to zrobili?

– Nie, pod budynkiem VFW podczas zbiórki skautów.

– A więc ktoś cię śledzi, tak?

– Nie wiem, Gil. Co mi radzisz?

– Powiedziałeś o tym rodzicom?

– Nie wie nikt poza tobą.

Gil wziął klucz i zabrał się do zdejmowania tylnego koła.

– Na twoim miejscu zacząłbym od powiedzenia rodzicom, potem pomyślałbym o pójściu na policję. W szkole też ktoś powinien o tym

wiedzieć. Założę się, że nie jesteś jedynym uczniem, któremu tak dziurawią opony.

– Ktoś inny też się do ciebie zgłaszał?

– Od paru tygodni nie, ale to nie jest jedyny sklep rowerowy w mieście. Choć oczywiście najlepszy, jeśli chcesz znać moje obiektywne zdanie. Hi, hi! – Gil parsknął śmiechem, lecz Theo nie potrafił się zmusić nawet do uśmiechu.

– Osiemnaście dolarów? – spytał.

– Od wczoraj nic się nie zmieniło.

– Chyba lepiej pogadam z tatą.

– Myślę, że to dobry pomysł.



Woody Boone siedział w gabinecie na spotkaniu z innym prawnikiem, Marcella Boone przyjmowała w swoim klientkę w sprawie rozwodowej. Elsa rozmawiała przez telefon, Dorothy i Vince byli na mieście. Tylko Asesor wiernie na niego czekał i obaj udali się do pokoju Theo na tyłach biura. Chłopiec opróżnił plecak i po chwili biurko – dawny stolik do kart – ugięło się pod ciężarem książek, zeszytów i laptopa. W głowie mu jednak aż huczało i nie było mowy o skupieniu się na odrabianiu lekcji.

Dlaczego ktoś przebija mu opony i okrada jego szafkę? Nie miał żadnych tego typu wrogów, jeśli nie liczyć Omara Cheepe'a i Paco, a oni mają teraz poważniejsze zmartwienia. Zresztą ci zawodowi bandyci, prawdziwi profesjonaliści nie zawracaliby sobie głowy uczniakami. Poza tym jak by się dostali do szkoły przez nikogo niezauważeni? Niemożliwe. No i dlaczego mieliby kraść trzy inhalatory i bejsbolówkę Twinsów? Nie wyobrażał też ich sobie

kręcących się przy stojaku na rowery i czekających na okazję przebicia mu opony lub podążających za nim na zbiórkę.

Theo podejrzewał, że złodziejaskiem musi być ktoś ze szkoły. Ale kto i dlaczego? Siedział zamyślony, gdy jego świat dosłownie eksplodował.

Z pokoju prowadziły drzwi na plac za domem, gdzie znajdował się parking dla pracowników i klientów kancelarii Boone i Boone. Ich górna część była oszklona czterema szybami. Nagle jedna z nich rozpadła się z hukiem od uderzenia dużym kamieniem, zasypując wszystko odłamkami szkła – regał z książkami, biurko, podłogę. Asesor zerwał się na nogi i zaczął głośno ujadać. Theo odruchowo osłonił głowę rękami na wypadek, gdyby w drodze był następny kamień. Odczekując chwilę, starał się uspokoić oddech, po czym poderwał się zza biurka. Szarpnął za klamkę i otworzył drzwi, ale na dworze nie było nikogo. Pies zbiegł ze schodków i okrążył parking, ale też nikogo nie wytropił.

Kamień był wielkości piłki tenisowej i leżał obok legowiska Asesora. Elsa wbiegła do pokoju, krzycząc: „Theo, co ty, na litość boską...?!”, potem jednak dojrzała wybitą szybę i zmieniła ton.

– Nic ci nie jest? – spytała zatroskana.

– Chyba nie. – Theo wciąż jeszcze czuł dreszcze na plecach.

– Co się tu stało?

– Ktoś wybił szybę. – Theo schylił się, podniósł kamień i oboje zaczęli go oglądać.

W drzwiach stanęła pani Boone.

– Co tu się dzieje? – spytała.

Zaraz potem zjawił się pan Boone i powtórzył pytanie. Przez chwilę wszyscy oglądali zniszczenia, drapiąc się z niedowierzaniem po

głowach. Elsa znalazła odłamek szkła we włosach Theo, ale nie miała żadnych skaleczeń.

- Zadzwoń na policję – zdecydował pan Boone.
- Myślę, że trzeba – zgodziła się pani Boone.
- Masz pomysł, kto to mógł zrobić? – spytała Elsa.
- Nie – odrzekł Theo.

Rozdział 6

Dalszy ciąg dnia też nie zapowiadał się spokojnie. Ponieważ pani Boone prowadziła wiele spraw rozwodowych, zawsze reprezentując żony, jej gabinet był czasami miejscem dramatycznych scen rodzinnych. Ledwo opadł kurz w pokoju Theo i pan Boone ruszył do sali konferencyjnej, by zadzwonić na policję, gdy od wejścia do biura dobiegły podniesione głosy. Przy drzwiach krzyczała jakaś para, a ich kłótnia szybko zamieniała się w pełnowymiarową awanturę. Kobieta była pani Treen, nowa klientka kancelarii Boone i Boone, mężczyzną jej mąż. Małżeństwo miało na głowie dom pełen dzieci i problemów i pani Boone próbowała namówić oboje, by zamiast do sądu udali się do poradni małżeńskiej i spróbowali uratować swój związek. Według pani Treen mąż zaczął ostatnio zachowywać się agresywnie, dochodziło do rękoczynów i nie można było już z nim wytrzymać.

Mężczyzna stojący przed biurkiem Elsy istotnie wyglądał na agresywnego i wściekle warczał na żonę.

– Wybij sobie z głowy cholerne rozwody! Po moim trupie! – Był przysadzisty, masywnie zbudowany, z brodą, z oczu strzelały mu złe błyski. Pani Boone, Elsa i Theo weszli do holu recepcyjnego i zamarli bez ruchu.

Pan Boone podszedł do Treenów.

– Odetchnijmy głębiej i zachowajmy spokój – powiedział. Pani

Treen odsunęła się od męża i stanęła obok pani Boone. Elsa i Theo zrobili krok do tyłu, nie odrywając od nich wzroku.

– Nie mogę tak dłużej żyć. Mam dość poszturchiwania i bicia. Zabieram dzieci i odchodzę, Roger, i nie możesz mnie powstrzymać.

– Nigdy w życiu cię nie uderzyłem – burknął mężczyzna, ale nikt z obecnych mu nie uwierzył. Wyglądał na awanturnika, który gotów jest rzucić się na każdego.

– Kłamiesz, Rogerze – parsknęła żona.

– Może lepiej przejdźmy do mnie do gabinetu – zaproponowała spokojnie pani Boone.

– On ma przy sobie broń – rzuciła pani Treen i wszyscy zeszywnieli. – Trzyma w kieszeni splotkę. – Oczy zebranych powędrowały ku spodniom Treena i rzeczywiście w jednej z kieszeni rysował się złowieszczy kształt.

– Wracaj do samochodu, Karen – warknął Treen. Jego oczy jeszcze bardziej rozbłysły, mięśnie szczęk stężały. Nikt rozsądny nie miałby ochoty znaleźć się z kimś takim w jednym samochodzie.

– Nie – odparła jego żona. – Nie będziesz już wydawał mi rozkazów.

– Jestem zmuszony poprosić pana o opuszczenie biura – powiedział zdecydowanym tonem pan Boone.

Treen uśmiechnął się zjadliwie i położył rękę na prawej kieszeni.

– A może mi się nie chce – prychnął.

– To będę musiał zadzwonić na policję.

Nikt nie drgnął i zapadło długie milczenie. Przerwała je pani Boone:

– Mam pomysł. Przejdźmy do sali konferencyjnej tylko we czworo. Napijemy się kawy i spokojnie porozmawiamy. – Pani Boone była specjalistką od negocjowania ugód rozwodowych, spędziła wiele

godzin w salach sądowych i rozumiała potrzebę kompromisu. Łagodny ton i bijący od niej spokój nieco obniżyły temperaturę buzujących emocji.

Znaleźli się w impasie. Pan Treen nie miał zamiaru opuścić biura, pani Treen nie chciała z nim wyjść. I nikt nie życzył sobie konfrontacji z uzbrojonym awanturnikiem. Pierwszy pękł Treen i to trochę rozładowało sytuację. Przymrużył oko i powiedział:

- No dobra, pogadajmy.
- Zaraz zrobię kawę – wtrąciła szybko Elsa.

Treenowie i Boonowie przeszli do sali konferencyjnej i zamknęli za sobą drzwi. Elsa i Theo nie byli pewni, czy powinni sami zadzwonić na policję, czy poczekać na pana Boone'a. Theo martwił się o rodziców – siedzą zamknięci z agresywnym, rozchwianym emocjonalnie awanturnikiem, w dodatku uzbrojonym. A jeśli znów się wścieknie? Jeśli nagle usłyszą zza drzwi odgłos strzałów? Theo uznał, że powinien natychmiast zadzwonić na policję.

Jednak Elsa była innego zdania. Treen zgodził się porozmawiać o swoich problemach małżeńskich.

Jeśli teraz zjawi się policja i aresztuje go za posiadanie broni, coś w nim może pęknąć. Wścieknie się na pewno i następnym razem zrobi coś dużo gorszego. Elsa była przekonana, że jej szefostwo potrafi sobie z nim poradzić, a może nawet załagodzić przynajmniej niektóre punkty zapalne w małżeństwie Treenów.

I dlatego zamiast na policję Elsa zadzwoniła do zakładu szklarskiego świadczącego usługi przez całą dobę.

Mijały minuty, a z sali konferencyjnej nie dochodziły nie tylko strzały, ale nawet podniesione głosy. Theo trochę to uspokoiło, ale pamiętając wydarzenia całego pechowego dnia, wciąż był spięty.

Oboje z Elszą postanowili obfotografować jego pokój, aby później przedstawić zdjęcia policji. Zmiotli szkło i schowali kamień jako dowód rzeczowy. Szklarz przyjechał już po zmroku i zabrał się do wstawiania wybitej szyby.



Zwykle we wtorki wieczorem Boone'owie szli do schroniska dla bezdomnych przy Highland Street znajdującego się kilka przecznic od ich domu, gdzie jako wolontariusze uczestniczyli w rozdawaniu posiłków i pomagali na różne sposoby. Pani Boone wraz z trzema koleżankami uruchomiła biuro bezpłatnych porad prawnych dla maltretowanych kobiet, które uciekły z domów i zamieszkały w schronisku. Prawniczki rozmawiały też z kobietami bezprawnie eksmitowanymi z domów i mieszkań, a także z tymi, którym odmówiono pomocy społecznej. W tym czasie Theo dawał korepetycje dzieciom bezdomnych.

Spotkanie z Treenami przeciągało się w nieskończoność i Theo postanowił nie czekać i pojechać do schroniska bez nich. Wiedział, że rodzice później do niego dołączą, choćby tylko po to, by coś przekazać. Po wydaniu posiłków zawsze zjadali po misce zupy i kanapce i dopiero wtedy zabierali się do zadań prawnych. Theo umierał z głodu i miał dość bezczynnego siedzenia w biurze. Rzucił Elsie „do widzenia”, wskoczył na rower i ruszył do schroniska. Było już po kolacji, ale w kuchni znalazły się jakieś resztki.

Jego najnowszym zadaniem były korepetycje z matmy dla braci Koback. Russ miał osiem lat, Ben siedem i od dwóch miesięcy mieszkali z matką w schronisku. Pani Boone zajmowała się prawnymi aspektami sytuacji pani Koback i choć Theo nie znał szczegółów,

wiedział, że rodzinę spotkała jakaś tragedia. Pan Koback poniósł śmierć gdzieś daleko i w okolicznościach, o których się nie mówiło. Rodzina straciła wszystko i przez kilka pierwszych tygodni mieszkała w porzuconej ciężarówce.

W ramach prac społecznych na stopień Skauta Orlego Theo chciał zorganizować akcję pomocy: grupa nastoletnich wolontariuszy – na tyle dorosłych, by posiadać prawa jazdy – miała wziąć pod opiekę bezdomne dzieci w ramach czegoś w rodzaju programu Big Brother/Big Sister. Miał też w planie budowę jeszcze jednego schroniska, w którym znaleźliby miejsce bezdomni wciąż jeszcze mieszkający w namiotach i pod mostami, ojciec ostrzegł go jednak, że realizacja takiego pomysłu będzie kosztowała miliony.



Bracia Koback jak zwykle byli małomówni i zachowywali się niemal wstydliwie. W swoim młodym życiu przeżyli wiele niepowodzeń i nieszczęść i mama powiedziała mu, że zostali głęboko zranieni i potrzebują pomocy. Podczas zmagania z podręcznikiem do matmy Theo udało się przywołać na ich buzie kilka bladych uśmiechów. Ich matka siedziała obok i obserwowała synów, próbując – jak podejrzewał Theo – też poduczyć się matematyki. W każdym razie wiedział, że kobieta ma trudności z czytaniem.

Każda wizyta w schronisku uświadamiała Theo, jakie ma szczęście. Niecały kilometr od jego bezpiecznej przystani mieszkali ludzie tacy jak Kobackowie, śpiący na pryzkach i jedzący żywność darowaną przez Kościoły i instytucje charytatywne. Przyszłość Theo można było dość łatwo przewidzieć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, skończy liceum i rozpocznie naukę w college'u (jeszcze się nie

zdecydował w którym), a po studiach na wydziale prawa zostanie prawnikiem. W przeciwieństwie do niego bracia Koback nie byli nawet pewni, gdzie będą mieszkali za rok. Schronisko przy Highland Street pozwalało „przyjaciołom” na roczny pobyt, oczekując, że w tym czasie znajdą sobie pracę i stałe miejsce zamieszkania. To znaczyło, że Kobackowie i wszyscy inni są tu tylko tymczasowo.

O dwudziestej pierwszej wolontariusze opuszczali schronisko. Theo pożegnał się z Benem, Russem i ich matką i wyszedł z piwnicy. Nie dostrzegł nigdzie rodziców, postanowił więc wrócić do biura w nadziei, że znajdzie tam wszystkich całych i zdrowych. O tej porze prawie nie było ruchu i jechało mu się dobrze i szybko. Nie zważał też zbyt na przepisy drogowe, przeskakując krawężniki, mknąc po chodniku i ignorując znaki STOP. Jazda na dwóch nowych, porządnie napompowanych oponach była bardzo przyjemna.

Na skrzyżowaniu Main i Farley drogę zablokowały mu dwa stojące na światłach samochody, przeskoczył więc krawężnik i wjechał na chodnik. Wykonał dość ryzykowny skręt na poślizgu, wjechał w Main i zderzył się z innym rowerzystą, którym okazał się policjant Stu Peckinpaw, szczupły siwowłosy posterunkowy w mundurze, od kilkudziesięciu lat patrolujący śródmiejskie ulice Strattenburga. Wszystkie dzieci w mieście go znały i starały się schodzić mu z drogi.

Theo, cały, zdrowy i nawet niepoobijany, podniósł się i otrzepał spodnie.

– Przepraszam – bąknął wystraszony. Był niemal pewny, że gliniarz zabierze go na komisariat.

Peckinpaw oparł rower o słupek i zdjął kask.

– Jak ty się nazywasz, chłopcze? – zapytał takim tonem, jakby podejrzewał, że Theo może być seryjnym mordercą.

– Theo Boone. – W ciągu minionych lat parokrotnie zetknął się z posterunkowym, ale było to ich pierwsze spotkanie twarzą w twarz.

– Znam to nazwisko – rzekł policjant, dając Theo okazję do wypowiedzenia ulubionej kwestii.

– Tak, proszę pana. Moim tatą jest Woods Boone, a mamą Marcella Boone. Kancelaria prawna Boone i Boone.

– Coś kojarzę. Więc skoro rodzice są prawnikami, to ty też powinieneś znać przepisy, nie?

– Chyba tak.

– Przepisy miejskie zabraniają jazdy rowerem po chodniku o każdej porze dnia i nocy, bez żadnych wyjątków. Nie wiedziałeś o tym?

– Wiedziałem, proszę pana.

Peckinpaw patrzył na Theo takim wzrokiem, jakby za chwilę miał wyciągnąć kajdanki i skuć mu rękę.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, proszę pana.

– To jedź do domu i trzymaj się z daleka od chodników.

– Tak, proszę pana. Dziękuję.

O policjancie mówiło się, że głośno szczeka, ale nie gryzie i rzadko karze nieletnich rowerzystów mandatami. Lubił krzyczeć i grozić, ale wolał unikać papierkowej roboty. Theo odjechał, czując ulgę, że tak łatwo wyplątał się z tarapatów, ale jednocześnie dumając, co jeszcze wydarzy się w tym feralnym dniu. Zabrzęczał jego telefon komórkowy i Theo stanął, żeby odebrać. Dzwoniła mama, powiedziała, żeby wracał prosto do domu. Spotkanie z Treenami zakończyło się sukcesem.

Gdy wszedł do kuchni, rodzice właśnie zasiadali do jedzenia rozmrożonej pizzy. Oboje wyglądali na wyczerpanych. Spytali Theo

o jego wizytę w schronisku, ale chyba byli zbyt zmęczeni, by wdawać się w dłuższą rozmowę. Theo był ciekaw, co po jego odjeździe wydarzyło się w sprawie Treenów, ale rodzice szybko zasłonili się tajemnicą adwokacką i zakończyli temat. Nigdy nie rozmawiali z nim o sprawach swoich klientów. Nigdy. Problemy klienta i jego rozmowy z adwokatem były objęte ścisłą tajemnicą. Pani Boone powiedziała tylko, że udało się osiągnąć porozumienie i Treenowie zwrócą się o pomoc do poradni małżeńskiej.

Theo miał do omówienia z rodzicami wiele spraw. Dwie przebite opony, kradzież ze szkolnej szafki, teraz jeszcze wybita szyba w jego pokoju w biurze. Ktoś się na niego wziął i Theo chciał o tym wszystkim z nimi porozmawiać. Ale wymagało to dłuższej rozmowy, a rodzina Boone'ów, łącznie z Asesorem, była już gotowa iść do łóżek. Ojciec Theo, adwokat z definicji unikający konfliktów, wyglądał na wyczerpanego trzygodzinnymi negocjacjami z Treenami, mamę rozboleła głowa. Mimo to Theo postanowił wciągnąć ich do rozmowy, ponieważ potrzebował ich pomocy i rady, jednak gdy otwierał usta, żeby zacząć mówić, przerwał mu dzwonek telefonu. Dzwoniła pani Treen, znów roztrzęsiona.

W tej sytuacji Theo i Asesor udali się na górę i poszli spać.

Rozdział 7

Następnego dnia, w środę, Theo popędził jak co rano do szkoły, pamiętając o unikaniu skrótów i chodników. Nie udało mu się porozmawiać z rodzicami przy śniadaniu, bo tata jak zwykle wyszedł wcześniej na sesję plot przy porannej kawie, mama wyskoczyła z domu już spóźniona. Theo i Asesor sami w milczeniu zjedli śniadanie.

Nagłówki w gazecie informowały, że nie natrafiono na żaden ślad Pete'a Duffy'ego. Złodzieje obrabowali sklep komputerowy przy Main Street. Dwóch studentów college'u Stratten aresztowano za cybernetyczne nękanie. Ani słowa o wandalu, który wybił szybę w kancelarii prawniczej Theo Boone'a, policja nie została bowiem jeszcze powiadomiona.

Theo cieszył się, że już jest środa. Będzie na pewno lepsza od wtorku.

Jednak na drugiej lekcji, geometrii, środa okazała się o wiele gorsza od wtorku. Z głośnika na ścianie odezwał się skrzekliwy głos panny Glorii, sekretarki pani dyrektor:

– Panno Garman, czy Theo Boone jest dziś obecny?

W tym momencie Theo przebywał myślami na obozie nad jeziorem Marlo i na dźwięk swojego nazwiska poderwał głowę tak gwałtownie, jakby ktoś wymierzył mu klapsa.

– Jest obecny – odrzekła panna Garman.

– Proszę go przysłać do sekretariatu.

Theo zerwał się na nogi i wypadł z klasy.

W gabinecie siedziało dwóch mężczyzn i na widok wchodzącego Theo pani dyrektor zrobiła taką minę, jakby zobaczyła ducha.

– Theo, ci panowie są z policji i chcą z tobą porozmawiać. – Żaden z mężczyzn nie wstał, żaden się nie uśmiechnął. Niższy, starszy, nazywał się Vorman i Theo widywał go w sądzie, a dokładnie mówiąc, jakieś dwa miesiące temu przysłuchiwał się jego zeznaniom na sali rozpraw. Drugiego, detektywa Hamiltona, Theo nigdy wcześniej nie widział.

– Theo – zaczął Hamilton – chcielibyśmy zadać ci kilka pytań.

W gabinecie nie było więcej wolnych krzeseł, więc Theo oparł się plecami o ścianę i próbował się domyślić, czego ci dwaj mogą chcieć. Jego pierwsza myśl dotyczyła wybitej szyby, ale szybko ją porzucił. Taki drobny występki nie wymagałyby zaangażowania aż dwóch detektywów.

– Dobrze – bąknął.

– Czy wczoraj wieczorem byłeś może w mieście? – spytał Hamilton.

Theo nie spodobał się ani jego ton, ani zmarszczona groźnie twarz. Zestawione razem wyraźnie wskazywały, że policjant podejrzewa go o jakieś nieczne czyny. Theo przeniósł wzrok na panią Gladwell, która nerwowo stuknęła palcami o biurko. Popatrzył na detektywa Vormana zapisującego coś w notesie.

– Tak, wczoraj wieczorem byłem w schronisku dla bezdomnych przy Highland Street.

– A byłeś też może na Main Street? – chciał wiedzieć Hamilton.

– Dlaczego pan o to pyta?

To wyraźnie zirytowało obu gliniarzy.

– Ja tu jestem od zadawania pytań, Theo. A ty tylko na nie odpowiadasz. – Hamilton wypowiedział to jak zły aktor ze złego serialu telewizyjnego.

– Masz odpowiadać na pytania – dodał groźnym tonem Vorman.

– Nie, nie byłem w centrum – odrzekł powoli Theo. – Byłem tylko w schronisku i stamtąd wróciłem rowerem do domu.

– A spotkałeś może posterunkowego Stu Peckinpawa? – spytał Hamilton.

– Tak. Przypadkiem na niego wpadłem, ale nikomu nic się nie stało.

– I gdzie to było?

– Na Main Street. Na rogu Main i Farley.

– Więc jednak byłeś w centrum, prawda?

– Przejeżdżałem tamtędy rowerem.

Obaj policjanci wymienili spojrzenia. Pani Gladwell zaczęła jeszcze szybciej obstukiwać biurko.

– Na Main Street, dwie przecznice od Farley, znajduje się sklep komputerowy – powiedział Hamilton. – Nazywa się Big Mac's Systems. Znasz go może?

Theo pokręcił głową. Ale pamiętał tę nazwę z porannych nagłówek. To tam się wczoraj włamano.

– Mają w nim pecety, laptopy, drukarki, oprogramowanie, jak wszyscy – dodał Vorman. – Ale także najnowsze tablety, SmartPady, czytniki e-książek, a nawet telefony komórkowe. Nigdy nie byłeś w tym sklepie, Theo?

– Nie, proszę pana.

– Masz laptop?

– Tak, proszę pana. Jupiter Air z trzynastocalowym ekranem.

Dostałem go na Gwiazdkę.

– I gdzie jest teraz?

– W moim plecaku w klasie.

– Zostawiasz go czasem w szkolnej szafce? – zapytał Hamilton.

– Czasem. A co?

– Jeszcze raz, Theo, my tu zadajemy pytania.

– Rozumiem, wydaje mi się, że panowie myślą, iż zrobiłem coś złego. A jeśli tak, to chcę wezwać prawnika.

Gliniarze uznali to za zabawne. Trzynastolatek domaga się prawnika. Całymi dniami użerali się z różnymi opryszkami i kryminalistami i wszyscy zawsze domagali się obecności prawników. Pewnie smarkacz ogląda za dużo telewizji.

– Chcielibyśmy zajrzeć do twojej szafki – powiedział Hamilton.

Theo wiedział, że nie należy godzić się na jakiegokolwiek przeszukanie. Czy to w domu, czy w samochodzie, w biurze, w kieszeniach, nawet w szkolnej szafce. Nigdy nie gódź się na przeszukanie. Jeśli policja uzna, że istnieje uzasadnione podejrzenie przestępstwa, może się zawsze zwrócić do sędziego o wydanie nakazu lub pisemnej zgody i na tej podstawie dokonać przeszukania. Theo wiedział jednak, że nie zrobił nic złego i jak wszyscy niewinni chciał to policji udowodnić. Wiedział też, że władzom szkoły wolno zajrzeć do szafki bez jego zgody.

– Jasne – powiedział z lekkim ociąganiem i zarówno obaj policjanci, jak i pani dyrektor nie mogli nie zauważyć, że się zawahał. Wszyscy czworo wyszli z gabinetu i ruszyli pustym korytarzem. Za piętnaście minut rozlegnie się dzwonek i zaroj się tu od uczniów, i wszyscy zobaczą Theo w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn w ciemnych garniturach. W ciągu paru sekund cała szkoła się dowie,

że policja ma coś do Theo. Zatrzymali się przed szafką i chłopiec się rozejrzył. Korytarz był pusty.

– Kiedy ją ostatnio otwierałeś? – zapytał Hamilton.

– Dziś rano po przyjściu do szkoły. Około ósmej trzydzieści.

– A więc jakieś dwie godziny temu?

– Tak, proszę pana.

– Zauważyłeś wtedy coś szczególnego?

– Nie, proszę pana. – Theo chciał nawet napomknąć, że ktoś buszował w jego szafce w poniedziałek, ale nagle zaczęło mu się śpieszyć. Aż cierpł na myśl, że koledzy mogą go zobaczyć przy szafce w towarzystwie dwóch gliniarzy i pani dyrektor.

– Otwórz – polecił Hamilton.

Theo wklepał kod i pociągnął drzwiczki. Z szafki niczego nie zabrano, natomiast z całą pewnością coś do niej włożono. Oparte o stertę książek stały trzy płaskie przedmioty, których Theo nigdy wcześniej nie widział.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegł Hamilton. Stał nad Theo i dyszał w czubek jego głowy. Vorman i pani dyrektor ścieśnili się i przez parę sekund nikt nie wyrzekł ani słowa.

– Widzisz tu coś szczególnego, Theo? – odezwał się w końcu Hamilton.

Chłopcu zaschło w gardle i zdołał tylko sapnąć.

– Tak, proszę pana. Ale to nie moje.



Płaskimi przedmiotami okazały się tablety Linx 0-4, najpopularniejsze i najlżejsze komputery osobiste, które ostatnio zrobiły furorę. Miały zdumiewającą grafikę, olbrzymią pamięć, milion

aplikacji i cenę trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Linx 0-4 był tańszy, a jednocześnie znacznie bardziej wszechstronny od aktualnego konkurenta. Detektyw Vorman założył lateksowe rękawiczki i obchodząc się z tabletami jak z najcenniejszymi klejnotami, zaniósł je do gabinetu pani Gladwell i położył na biurku. Potem zadzwonił do Big Maca i wezwał go do szkoły, żeby dokonał identyfikacji skradzionego sprzętu.

– Proszę zadzwonić do mojej mamy – zwrócił się Theo do pani dyrektor. – Albo do taty, obojętnie.

– Chwileczkę – sprzeciwił się Hamilton. – Mamy jeszcze kilka pytań.

– Nie odpowiem na żadne pytania – oświadczył Theo. – Życzę sobie obecności moich rodziców.

– Jeśli Theo mówi, że nie ukradł tych tabletów, to ja mu wierzę – wtrąciła się dyrektorka.

– To bardzo miłe z pani strony – powiedział Hamilton.

– Skąd wiedzieliście, że są w mojej szafce?

– Raz jeszcze, młody człowieku, przypominam, że to my zadajemy pytania – burknął Hamilton. Od początku zachowywał się wrogo, ale teraz w obliczu rzekomego dowodu przestępstwa stał się wręcz nieprzyjemnie agresywny.

– Mogę zadzwonić do jego rodziców? – spytała pani Gladwell.

– Oczywiście, że pani może – odrzekł Theo. – Nie oni kierują tą szkołą. Nie mogą pani mówić, co ma pani robić.

– Zamknij się, szczeniaku – warknął Vorman.

– Słucham!?! – zachnęła się pani Gladwell. – Proszę się tak nie odzywać do moich uczniów. Theo nie jest żadnym przestępcą. Wierzę mu na słowo.

Theo podszedł do biurka i stanąwszy obok fotela pani dyrektor, wyjął komórkę, nacisnął przycisk szybkiego wybierania i połączył się z kancelarią Boone i Boone. Odebrała Elsa. Theo, wytrzymując wściekłe spojrzenie detektywa Hamiltona, powiedział:

– Cześć, Elso, to ja, Theo. Muszę rozmawiać z mamą.

– Coś się stało, Theo?

– Nie. Daj mi tylko porozmawiać z mamą.

– Jest w sądzie. Będzie zajęta przez całe przedpołudnie.

– Dobra, to połącz mnie z tatą.

– Taty też nie ma w biurze. Jest w Wilkesburgu. Podpisują kontrakt na sprzedaż działki. Co się dzieje, Theo?

Nie miał czasu na pogawędki, szczególnie że Elsa i tak by mu nie pomogła. Z detektywów aż tryskała złość i Theo pomyślał, że jego czas się kończy. Bez słowa przerwał połączenie, nacisnął kolejny klawisz szybkiego wybierania i powiedział do słuchawki:

– Ike, to ja, Theo.

– Cześć, Theo. Dlaczego dzwonisz do mnie o wpół do jedenastej rano? – zdziwił się Ike.

– Ike, jestem w szkole i jest tu dwóch policjantów, którzy oskarżają mnie o kradzież komputerów, które ktoś mi podrzucił do mojej szkolnej szafki. Mógłbyś przyjechać?

– Dość tego, smarkaczu – burknął Hamilton.

Ike nie odpowiedział i na linii zapadła cisza.

Theo zamknął klapkę i schował komórkę do kieszeni. Formalnie rzecz biorąc, właśnie złamał szkolny regulamin. Tylko uczniowie ósmych klas mieli prawo mieć na terenie szkoły komórki i część z nich z tego korzystała. Tyle że ich używanie było ściśle limitowane. Wszystkie komórki musiały być wyłączone w czasie lekcji i wolno ich

było używać tylko podczas przerw i na przerwie obiadowej. Theo miał jednak nadzieję, że z uwagi na okoliczności pani dyrektor nie będzie się go o to czepiała. I nie zawiódł się.

– O nic cię nie oskarżyliśmy – oburzył się Hamilton. – Po prostu prowadzimy dochodzenie. Jeśli znajdujemy u kogoś skradzione przedmioty, to musimy zadawać pytania. Chyba sam przyznasz, nie?

– Theo niczego nie ukradł. – Głos pani Gladwell brzmiał twardo i zdecydowanie.

Vorman postanowił zabawić się w dobrego policjanta i na jego twarzy pojawił się przymilny uśmiech.

– No cóż, Theo, jeśli to nie ty włożyłeś te komputery do szafki, to oczywiście musiał to zrobić ktoś inny. Kto jeszcze zna twój kod?

Pytanie było dość oczywiste i Theo postanowił na nie odpowiedzieć.

– O nikim mi nie wiadomo. Ale w poniedziałek ktoś grzebał w mojej szafce. Ukradł mi bejsbolówkę Twinsów i parę innych drobiazgów. Wtedy tego nie zgłosiłem, ale miałem zamiar to zrobić.

Pani dyrektor spojrzała na niego z wyrzutem.

– Należało nas o tym zawiadomić, Theo.

– Wiem, wiem, przepraszam. Chciałem to najpierw omówić z rodzicami i dopiero potem zgłosić pani. Ale nie wyszło.

– Szkoła ma wykaz wszystkich kodów do szafek? – upewnił się Vorman.

– Tak, jest przechowywany w zabezpieczonym pliku w naszym głównym komputerze – powiedziała pani Gladwell.

– Czy zdarzyło się, żeby kiedykolwiek się do niego włamało?

– Nic o tym nie wiem.

– A czy w szkole są problemy z włamaniami do szafek?

– Nie. Czasem uczniowie zapominają zamknąć szafkę i zostawiają niedomknięte drzwiczki. To może prowadzić do kradzieży jakichś drobiazgów, ale nie pamiętam ani jednego przypadku, żeby któryś z uczniów zdobył kod kolegi i otworzył szafkę, aby ją okraść.

– A ty, Theo? – spytał Vorman. – Słyszałeś, żeby ktoś zdobył kod do cudzej szafki i ją okradł?

– Nie, proszę pana.

Hamilton zajrzał do notatek, spojrzał na Theo i powiedział:

– Podczas wczorajszego włamania do Big Mac's Systems złodziej lub złodzieje ukradli dziesięć takich tabletów, sześć piętnastocalowych laptopów i około tuzina telefonów komórkowych. Wiesz może, gdzie ten sprzęt się teraz znajduje?

Theo aż musiał zacisnąć zęby.

– Nic nie wiem o towarze z wczorajszego włamania, bo mnie tam nie było. Nie wiem też, jak tablety trafiły do mojej szafki. Powiedziałem już, że żądam obecności prawnika i do czasu jego przyścia nie odpowiem na żadne pytanie.

– Lepiej dla ciebie, jeśli będziesz z nami współpracował, Theo – syknął Hamilton.

– Współpracuję. Wyraziłem zgodę na zajrzenie do szafki i mówię prawdę.

Rozdział 8

Big Mac był niskim przysadzistym mężczyzną, nieco tylko wyższym od Theo. Po wejściu do gabinetu pani Gladwell obrzucił chłopca tak wściekłym spojrzeniem, jakby był gotów go zastrzelić. Theo stał nieporuszony obok fotela pani dyrektor i przyglądał się, jak policjanci wręczają Big Macowi lateksowe rękawiczki.

– Moglibyście oboje poczekać w sekretariacie? – powiedział Hamilton, i Theo oraz pani Gladwell wyszli z gabinetu. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, dyrektorka mruknęła:

- Nie rozumiem, dlaczego oni muszą być tacy aroganccy.
- Wykonują tylko swoją pracę – odrzekł Theo.
- Chcesz jeszcze raz zadzwonić do rodziców?
- Może później. Nie ma ich teraz w biurze, są zajęci.

Zabrział dzwonek i Theo rozejrzał się nerwowo, gdzie mógłby się schować. Za chwilę uczniowie wylegną z klas i gdyby któryś wpadł do sekretariatu, żeby załatwić jakąś sprawę, zobaczyłby, jak Theo ze skruszoną miną stoi pod okiem pani dyrektor, wyraźnie za coś zatrzymany. Theo znalazł więc jakiś magazyn, zakrył nim twarz i wcisnąwszy się w kąt obok dystrybutora wody, słuchał dochodzącego z korytarza gwaru.

W gabinecie pani dyrektor Big Mac odczepił plakietki spod spodu każdego z tabletów, położył na dłoni w rękawicze, by nie zatrzeć

ewentualnych odcisków palców, i odczytawszy numery fabryczne, porównał ze swoim wykazem.

– Tak, to z mojego sklepu – potwierdził. – Chyba macie drania.

– To się dopiero okaże – powiedział Hamilton.

– Jak to? – oburzył się Big Mac. – Były w szafce tego gówniarza, nie? Więc chyba macie go na widelcu. Złapany na gorącym uczynku. Chcę od razu złożyć skargę. Jeśli go przyciśniemy, to może odnajdziemy resztę towaru, który ukradł.

– To my prowadzimy dochodzenie, Mac.

– Coś mi się zdaje, że widziałem go w sklepie w zeszłym tygodniu.

Vorman rzucił spojrzenie Hamiltonowi.

– Jesteś tego pewny?

– No wiesz, dowodu nie mam. Do sklepu zagląda mnóstwo smarkaczy. Wpadają, rozglądają się i wychodzą. Ale ten wygląda mi znajomo.

– Nam powiedział, że nigdy u ciebie nie był.

– A co ma mówić? Przecież wiemy, że to złodziej, nie? Skoro się włamuje i kradnie, to może też kłamać. Chcę, żebyście go przymknęli, jasne? Co roku tracę kupę forsy przez sklepowych złodziejasków i podaję do sądu każdego, którego uda mi się złapać.

– Jasne, Mac. Skończymy czynności śledcze i wpadniemy do ciebie. Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy. Tylko znajdźcie mi resztę towaru.

– Znajdziemy.

Big Mac wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Przechodząc obok biurka panny Glorii, dostrzegł kryjącego się w kącie Theo.

– Ty, mały, gdzie reszta towaru, który mi ukradłeś, co? – burknął.

W tym momencie w sekretariacie znajdował się młody nauczyciel

szóstych klas, który parę kroków dalej rozmawiał o czymś z panią dyrektorką, oraz uczeń siódmej klasy, leżący na kozetce z nagłym napadem gorączki. Obaj spojrzeli na Big Maca, potem na Theo, a ten na parę sekund zaniemówił.

– Masz mi wszystko oddać, jasne? – warknął Big Mac jeszcze groźniejszym tonem i zrobił krok w stronę chłopca.

– Ja nic nie wiem – wykrztusił Theo.

– Proszę pana! – oburzyła się pani dyrektorka. Drzwi gabinetu się otworzyły i stanął w nich Vorman. Wycelował palec w Big Maca i rzucił:

– Dość tego, Mac. My się tym zajmiemy. Ty już możesz iść.

Big Mac wzruszył ramionami i wyszedł z sekretariatu.

Odezwał się dzwonek na trzecią lekcję. Młody nauczyciel spoglądał na Theo takim wzrokiem, jakby miał przed sobą mordercę. Mark Jakiśtam, siódmoklasista z gorączką, usiadł na kozetce i też wlepił w Theo spojrzenie. Brwi panny Glorii uniosły się, czoło pokryło zmarszczkami, a twarz przybrała żalostny wyraz. Theo miał ochotę wykrzyknąć, że nie jest złodziejem i niczego Big Macowi nie ukradł. Więcej, że nigdy w życiu niczego nikomu nie ukradł, ale był tak zdruzgotany, że nie mógł wydusić słowa.

Nikt nigdy nie oskarżył go dotąd o żadne przestępstwo.



– Możecie wejść – rzekł detektyw Vorman i Theo z dyrektorką wrócili do gabinetu. Pani dyrektorka podeszła do swojego biurka i usiadła na obrotowym fotelu, Theo stanął obok, jakby byli w jednej drużynie, która ma stawić czoło dwóm wrogim policjantom.

– Tablety zostały zidentyfikowane – poinformował ich Vorman. –

Numery fabryczne się zgadzają. Ponieważ odzyskaliśmy część skradzionego towaru, musimy teraz dokładnie sprawdzić szafkę, zdjąć odciski palców, spisać całą zawartość, tego typu rzeczy.

– I będziemy musieli porozmawiać z uczniami, którzy mają szafki obok – dodał Hamilton. – Może zauważyli coś lub kogoś podejrzanego. Rutynowe postępowanie. Im wcześniej to zrobimy, tym lepiej.

Wie pani, dzieci mają krótką pamięć.

Pani Gladwell wiedziała, że trzynastolatki mają znacznie lepszą pamięć niż niejeden dorosły, ale nie chciało jej się wdawać w dyskusję.

– Dobrze, ale myślę, że możecie się z tym wstrzymać do piętnastej trzydzieści, do zakończenia lekcji. Nie chcę, żebyście mi robili zamieszanie w czasie zajęć.

Theo zdrętwiał na myśl o tym, że ci dwaj ustawią jego kolegów w szeregu i zaczną ich przepytывать. Za chwilę cała szkoła będzie wiedzieć, że Theo jest podejrzany o kradzież i policja już depta mu po piętach. Potrzebna mu pomoc. Pani dyrektor robiła co mogła, żeby go osłaniać, ale on potrzebował potężniejszych działań.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wparował Ike.

– Co się tu dzieje? – rzucił groźnie. – Theo, wszystko w porządku?

– Niezupełnie – odparł Theo.

– Jestem detektyw Vorman, policja miejska w Strattenburgu, a to mój partner, detektyw Hamilton. A pan kto, jeśli wolno spytać?

Prezentacja miała bardzo oficjalny charakter i żaden z trzech mężczyzn nie wyciągnął ręki.

– Ike Boone, dawniej z kancelarii adwokackiej Boone i Boone, Theo jest moim bratankiem.

– A ja się nazywam Gladwell i jestem dyrektorką tej szkoły. Witam pana w moim gabinecie.

Ike lekko skinął głową.

– Miło mi – powiedział. – Chyba już się kiedyś spotkaliśmy. Proszę mi powiedzieć, co się tutaj dzieje?

– Jest pan adwokatem?

– Byłem. A tu jestem stryjem Theo, a także jego doradcą, konsultantem, opiekunem i wszystkim, co trzeba. Jak chcecie adwokata, dajcie mi godzinę i sprowadzę wam cały tabun adwokatów.

Ike jak zwykle miał na sobie sprane dżinsy, sandały na bosych stopach i stary T-shirt z reklamą piwa Red Stripe pod brązową sportową marynarką z wystrzępionymi mankietami. Długie siwe włosy miał związane w kucyk. Był rozgniewany i wyraźnie szukał zwady. Theo pomyślał, że nie mógłby sobie wymarzyć lepszego obrońcy.

Detektyw Hamilton gładko odczytał wszystkie znaki i spokojnym głosem zaczął:

– Już panu wyjaśniam, panie Boone. Wczoraj wieczorem włamano się do sklepu komputerowego przy Main Street. Dziś rano dostaliśmy anonimową wiadomość, że część skradzionego towaru znajduje się w szkolnej szafce niejakiego Theodore'a Boone'a, ucznia tutejszej szkoły. Theo wyraził zgodę na przeszukanie szafki i znaleźliśmy w niej te trzy tablety Linx zero-cztery o wartości około czterystu dolarów każdy. Właściciel obrabowanego sklepu sprawdził ich numery fabryczne i potwierdził, że pochodzą z jego sklepu.

– Doskonale! – wykrzyknął Ike. – Zatem już wiemy, kto obrabował sklep. Ten łajdak, który do was zadzwonił. Więc ścigajcie jego,

zamiast się czepiać mojego bratanka.

– My się go nie czepiamy – powiedział Hamilton. – Prowadzimy zwykłe dochodzenie, w którego ramach zawsze namierzamy anonimowego informatora. Może pan być spokojny, wszystkim się zajmujemy.

Ike zaczerpnął powietrza i spojrzał ma bratanka.

– Theo, dobrze się czujesz?

– Chyba tak – odparł, choć wcale tak nie uważał. Dwie przecięte opony rowerowe, szyba w pokoju wybita kamieniem i wszystko łącznie z jego psem zasypane okruchami szkła, kradzież z szafki i utrata bejsbolówki, a teraz jeszcze to. Ktoś się wziął, żeby go nękać, i całkiem nieźle mu to wychodziło.

– No cóż – odezwała się pani Gladwell – jeśli chcecie znać moje zdanie, a skoro jesteście w moim gabinecie, to je wypowiem, czy tego chcecie, czy nie, policja ma pełne prawo prowadzić dochodzenie, ale pod warunkiem, że nie będzie to kolidowało z funkcjonowaniem mojej szkoły. I uważam, że Theodore Boone niczego nie ukradł.

Wszyscy trzej mężczyźni pokiwali głowami. Theo też by chętnie pokiwał, ale nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

– I co dalej? – prychnął Ike w stronę policjantów.

– Chcielibyśmy zabrać Theo do komisariatu, żeby mógł złożyć oficjalne zeznanie – odparł Hamilton. – To czysta formalność. Potem chcielibyśmy porozmawiać z innymi uczniami.

Theo wystarczająco często oglądał telewizję, by wiedzieć, że zabranie do komisariatu zwykle wiąże się z zakładaniem kajdanek i jazdą na tylnym siedzeniu radiowozu, i przez moment nawet go to ucieszyło. Nigdy wcześniej nie miał na rękach kajdanek i nigdy nie siedział na tylnym siedzeniu radiowozu, więc ta przygoda da okazję

do długich opowieści w gronie kolegów, kiedy już wszystko ostatecznie się wyjaśni. Jednak miłe podniecenie szybko minęło, bo zdał sobie sprawę, że wiadomość o jego aresztowaniu lotem błyskawicy rozejdzie się po szkole i po mieście i za chwilę cały świat będzie wiedział, że jest głównym podejrzanym.

– Lekcje kończą się o piętnastej trzydzieści, tak? – zwrócił się Ike do pani Gladwell.

– Zgadza się.

– Dobrze. Theo stawi się w komisariacie dziś o szesnastej, jeśli pozwolicie. Jestem pewny, że wraz z nim przyjadą też jego rodzice.

Policjanci wymienili spojrzenia, ale widać było, że nie mają ochoty wdawać się w spory.

– Kiedy możemy porozmawiać z uczniami? – spytał Vorman dyrektorę.

– No cóż, myślę, że o piętnastej trzydzieści.

– Theo, kto ma szafki w pobliżu twojej? – zapytał Hamilton.

– Woody, Chase, Joey, Ricardo, większość chłopaków z mojej klasy – powiedział Theo. – Szafka Darrena jest tuż pod moją.

Vorman spojrzał na Hamiltona.

– Musimy spytać w laboratorium, czy będą mogli zdjąć odciski z szafek.

– Słusznie – potwierdził Hamilton. – Twoje odciski też będą nam potrzebne, Theo. Pobierzemy je, kiedy się u nas zjawisz.

– Potrzebujecie moich odcisków palców? – zdziwił się Theo.

– Oczywiście.

– No, nie wiem – mruknął Ike. – Pogadam o tym z jego rodzicami.

– Mnie to obojętne – rzekł Theo. – Mogą je sobie pobrać. I tak nie znajdą moich śladów na tych tabletach, bo nawet ich nie dotknąłem.

Jeśli chcecie mnie poddać badaniu na wykrywaczu kłamstw, to też się zgadzam. Nie mam nic do ukrycia.

– Zobaczymy – uciął Vorman. Obu detektywom nagle zaczęło się śpieszyć.

Hamilton zamknął notes i schował go do kieszeni marynarki.

– Dziękuję, pani dyrektor, za poświęcenie nam czasu – powiedział.
– I tobie, Theo, też dziękuję za współpracę. Miło było pana poznać, panie Boone.

Po ich wyjściu Theo usiadł na krześle zwolnionym przez Hamiltona i powiedział:

– Musimy jeszcze o czymś porozmawiać.

Ike usiadł na drugim krześle i oboje z panią Gladwell wysłuchali relacji Theo o dwóch przeciętych oponach, z których jedną przedziurawiono na terenie szkoły. Gdy opowiedział jeszcze o wybitej szybie w jego pokoju, Ike stwierdził: „Ktoś się na ciebie wziął”.

– Poważnie? – parsknął Theo.

Rozdział 9

Jak można było przewidzieć, od chwili włączenia się pani Boone sprawy nabrały tempa.

Theo dodzwonił się do niej podczas przerwy obiadowej i już piętnaście minut później zjawiała się w szkole. Wpadła do gabinetu dyrektorki i zażądała wyjaśnień. Była wściekła, że szkoła dopuściła do przesłuchania Theo przez policję bez obecności rodziców, ale pani dyrektor zapewniła, że Theo doskonale sobie poradził. Był oszczędny w słowach i udzielił policjantom tylko podstawowych informacji. Przeszukania jego szafki nie dało się uniknąć, bo szkoła w uzasadnionych przypadkach ma prawo zaglądać do szafek, a ogólne zasady funkcjonowania szkoły nakładają na panią Gladwell i pracowników administracyjnych obowiązek pełnej współpracy z przedstawicielami prawa.

W pierwszej chwili pani Boone chciała od razu zabrać Theo do biura i stamtąd na komisariat, jednak pani Gladwell była zdania, że byłoby lepiej poczekać z tym do końca lekcji. Już raz tego dnia wywołano Theo z klasy i jeśli teraz wypuszczą go ze szkoły, zrodzi się jeszcze więcej podejrzeń. Należy postępować tak, jakby się nic nie stało, tłumaczyła. A potem wspomniała o innych dziwnych wydarzeniach z poprzednich dni. Mama Theo, która nic jeszcze nie wiedziała o przebitych oponach i kradzieży z szafki, była

zaszokowana. Poruszyło ją też bardzo to, że Theo do niczego jej się nie przyznał.

Przed wyjściem poprosiła panią dyrektor o dopilnowanie, by Theo natychmiast po szkole poszedł do biura.



Gdy o piętnastej trzydzieści zabrzmiał dzwonek, detektyw Hamilton już czekał w klasie pana Mouna. Wcześniej telefonicznie poprosił go o „zaproszenie” Darrena, Woody’ego, Chase’a, Joeya i Ricarda na krótką rozmowę po lekcjach i teraz w obecności nauczycielki zadał każdemu z chłopców kilka pytań. Pierwszym był Darren. Detektyw ustalił na zdjęciu dokładne położenie szafki chłopca i spytał:

– O której po raz pierwszy rano otworzyłeś dziś swoją szafkę?

Darren wzruszył ramionami.

– Jak tylko przyszedłem do szkoły, bezpośrednio przed pójściem do klasy.

– A zajęcia w klasie zaczynają się o...

– O ósmej czterdzieści.

– Po co otwierałeś szafkę?

– Żeby wyjąć jedne książki i włożyć inne. Jak co rano.

– Widziałeś Theo Boone’a przy jego szafce? Darren zastanawiał się przez moment, po czym znów wzruszył ramionami.

– Chyba nie – powiedział. – Chyba Theo był już w klasie.

– A kogo widziałeś rano przy szafkach?

Kolejna chwila zastanowienia.

– Ricarda, może Woody’ego. Paru chłopaków. Naprawdę się nie rozglądam i nie sprawdzam, kto stoi przy szafce, a kto nie. Zwykle wszyscy się śpieszą, żeby zdążyć do klasy.

– Zauważyłeś koło szafek kogoś, kogo nie powinno tam być? – spytał obojętnie Hamilton.

– Znaczy kogo?

– Znaczy kogoś, kto nie powinien się kręcić koło waszych szafek.

– A co, ktoś coś narozrabiał?

– Staramy się to ustalić, Darrenie. Widziałeś kogoś obcego, kręcącego się w pobliżu szafek przed dziesiątą rano?

– Obcego? Znaczy dorosłego?

– Dorosłego, obcego ucznia. Kogoś, kogo nie powinno być koło szafek w tej części korytarza?

Jeszcze jedna, tym razem dłuższa chwila zastanowienia.

– Nie, proszę pana. Nikogo takiego nie widziałem.

– I niczego niezwykłego?

– Nie, proszę pana.

Podobny przebieg miały rozmowy z pozostałymi chłopcami i tylko Chase powiedział, że tamtego ranka spotkał Theo koło szafek, ale nie, nie widział, żeby wyjmował książki albo coś innego z plecaka. Detektyw Hamilton zachował ostrożność i nie wyjawiał żadnemu z chłopców, co znaleziono w szafce Theo. Pilnował też, by nie dać chłopcom do zrozumienia, że ich kolega wpadł w jakieś tarapaty.



W środę o szesnastej Theo, jego rodzice i Ike wkroczyli do budynku komisariatu policji przy Main Street, dwie przecznice od gmachu sądu. Czekał na nich detektyw Vorman, który sprowadził ich schodami do niewielkiego pomieszczenia w zagraconych podziemiach. Zaproponował coś do picia (wszyscy odmówili) i od razu przeszedł do rzeczy. W ciągu tego popołudnia on i pani Boone

rozmawiali już dwukrotnie przez telefon i w zasadzie wszystko było ustalone.

Theo miał z własnej woli złożyć zeznania w obecności aż trzech doradców prawnych, Vorman zaś miał zarejestrować jego odpowiedzi na taśmie wideo i audio. Theo zapewnił rodziców, że niczego nie ukrywa i nic mu nie wiadomo o kradzieży czegokolwiek ze sklepu komputerowego.

Swoją relację zaczął od poniedziałku i pierwszego incydentu z szafką. Opowiedział też o dwóch przeciętych oponach i dodał, że Gil ze sklepu Koła Gila może to potwierdzić. Raz jeszcze wyjaśnił, że nie powiedział o niczym rodzicom, bo po prostu nie miał okazji. Opisał kamień, którym wybito szybę w jego pokoju, po czym naprowadzany pytaniami przez Vormana dotarł do tabletów w swojej szafce. Zeznał, że poszedł do szafki jak co dnia, parę minut przed udaniem się do klasy. Korytarz był pełen i panował harmider, dokładnie jak dzień wcześniej i każdego innego dnia. Otworzył szafkę, wstukując kod, i nie dostrzegł niczego niezwykłego, a po poniedziałkowym doświadczeniu zwracał uwagę na zawartość szafki. Jest więc absolutnie pewny, że w tamtym momencie tabletów w niej nie było. Nie zauważył też niczego podejrzanego na korytarzu. Żadnych obcych dorosłych, żadnych uczniów z innych klas i roczników. Nic mu nie wiadomo, żeby ktoś znał jego kod do szafki. Nie słyszał też, by ktoś nieupoważniony dostawał się do szkolnych szafek.

Theo mówił wolno i z namysłem i powtarzał swoje odpowiedzi, gdy go o to proszono. Po lewej ręce miał matkę, po prawej ojca. Ike siedział przy końcu stołu naburmuszony i zły, że policja śmie podejrzewać jego bratanka. Detektyw Hamilton siedział dokładnie naprzeciwko Theo i cierpliwie przeprowadzał go przez całą

procedurę. Tuż obok na statywie stała kamera i wszystko rejestrowała.

Theo opowiedział krótko, ale z detalami, o swoim spotkaniu z posterunkowym Stu Peckinpawem i wyjaśnił towarzyszące temu okoliczności. Zapewnił, że nigdy w życiu nie był w sklepie Big Mac's Systems i zaproponował, żeby policja sprawdziła rejestr transakcji i upewniła się, że nigdy niczego tam nie kupił.

Skończył, kamera i magnetofon zostały wyłączone i wszyscy odetchnęli. Detektyw Hamilton oznajmił, że na razie nie pobiorą odcisków palców Theo, bo na żadnym z trzech tabletów nie znaleziono żadnego odcisku i pobranych odcisków nie byłoby z czym porównać.

– Ktoś zachował dużą ostrożność – powiedział Hamilton, obrzucając Theo spojrzeniem. – Wszystko dokładnie wytarł i pewnie używał rękawiczek.

Trudno było wyczuć, czy Hamilton wciąż go podejrzewa. Jak wszyscy dobrzy detektywi nie dawał nic po sobie poznać i zachowywał się tak, jakby wszyscy wokół mogli być winni.

– A co z tym anonimowym telefonem? – spytał Ike. – Namierzyliście drania?

– W pewnym sensie – odparł sucho Hamilton, dając do zrozumienia, że Ike nic z niego nie wyciśnie. – Dzwoniono z automatu przy szpitalu, więc trudno będzie zidentyfikować dzwoniącego.

– O której to było? – chciał wiedzieć Woods Boone.

– O dziewiątej dwadzieścia.

– Więc jeśli tych tabletów nie było w szafce Theo o ósmej czterdzieści, znaczy to, że złodziej włożył je podczas pierwszej lekcji. Po podrzuceniu tabletów do szafki albo opuścił szkołę i popędził do

telefonu obok szpitala, żeby do was zadzwonić, albo dał znać komuś na mieście, że misja zakończona i można zawiadomić policję. Przymuszczałnie to drugie. A to oznacza, że mamy do czynienia nie z jednym, a z całą bandą rzezimieszków.

Detektyw Hamilton wlepił wzrok w Woodsa Boone'a, który odpowiedział tym samym.

– Może powinien się pan przekwalifikować na detektywa – mruknął.

– A pan może powinien dostrzegać rzeczy oczywiste – odciął się Boone. – Wszystko zostało ukartowane. Spróbowano zrobić mojego syna. Nie wiem, kto to zrobił i dlaczego, ale jest dość oczywiste, że Theo nie miał z tym nic wspólnego. Jest ofiarą, nie podejrzanym.

– Ani razu nie nazwałem go podejrzanym, panie Boone – zauważył zimno Hamilton. – Od przestępstwa nie minęła jeszcze doba i proszę dać nam szansę. Dopiero rozpoczęliśmy dochodzenie.

– Co teraz będzie z Theo? – spytała pani Boone.

– Jest wolny i może iść do domu. Nie będziemy go zatrzymywali w środku nocy. Jeśli będziemy czegoś od niego potrzebowali, zadzwonimy. – Obecność trojga prawników wyraźnie źle na niego wpływała i Hamilton zaczynał powoli tracić cierpliwość. – Naszym obowiązkiem jest sprawdzanie wszystkich tropów i ustalenie, kto popełnił przestępstwo. Nie wiemy, czy Theo mówi prawdę. Niewątpliwie jego wersja brzmi wiarygodnie, ale jestem detektywem i rozmawiałem z wieloma przestępcami, którzy zapewniali o swojej niewinności. Może jest niewinny, może nie. Jesteście rodziną i nie macie żadnych wątpliwości, ale detektyw musi je mieć. Któregoś dnia, oby jak najszybciej, dowiemy się więcej i liczę, że będę mógł z czystym sumieniem powiedzieć: „Theo, mówiłeś prawdę”. Ale na

razie nie wierzę nikomu.

– Pan mi nie wierzy? – powiedział Theo z żalem.

– Posłuchaj, Theo, nie jestem pewny, że kłamiesz, i nie jestem pewny, że mówisz prawdę. Za wcześnie, żeby mieć w tej sprawie wyrobione zdanie. Jak dotąd nie mamy zbyt wielu dowodów, ale te, które mamy, wskazują na ciebie. Rozumiesz?

Theo skinął głową, ale widać było, że nie jest przekonany.

Hamilton spojrział na zegarek, zamknął teczkę z aktami i powiedział:

– Dziękuję państwu za przyście i jak już mówiłem, będziemy w kontakcie.

Rodzina Boone'ów w milczeniu opuściła komisariat. Wszyscy czworo mieli ponure miny.



Theo próbował uczyć się w swoim pokoju w biurze, ale był zbyt roztrzęsiony. Wstawiono już nową szybę i uprzątnięto odłamki. Wczorajsze zniszczenia zostały usunięte, ale w głowie Theo nadal rozbrzmiewał przerażający trzask pękającego szkła, ciężkie walnięcie kamienia o regał z książkami, brzęk sypiących się odłamków, skowyt wystraszonego Asesora i zaraz po nim głośnie ujadanie. Theo wydawało się też, że słyszał coś jeszcze, jakby we śnie. Słyszał to także w szkole podczas pierwszej lekcji, zanim zjawiała się policja i postawiła jego dzień na głowie. Kiedy zamykał oczy i wracał myślami do chwili, gdy siedzi w pokoju za biurkiem, zdawało mu się, że słyszy odgłos uderzenia kamienia, a potem czyjeś kroki. Jakby ktoś uciekał. Ten, kto rzucił kamieniem, musiał być blisko okna. Po raz nie wiadomo który Theo pomyślał, że szkoda, że nie udało mu się

dojrzeć, kto to taki.

Kto mógł być tym tajemniczym napastnikiem? Ktoś dorosły? Któryś z kolegów? Kobieta czy mężczyzna? Samotny jeździec czy członek gangu?

Nawet Asesor wiercił się niespokojnie. Powrót na miejsce przestępstwa wywołuje złe wspomnienia i Theo uznał, że nie da rady się skupić na odrabianiu lekcji. W końcu zamknął drzwi na klucz i wyjrzał przez nowo wprawioną szybę, ale nikogo nie dostrzegł. Wyszedł z budynku, wskoczył na rower i ruszył, mając przy kole nieodstępującego go na krok Asesora.

Rozdział 10

Fotografię wysłano z anonimowego konta GashMail początkowo tylko do skrzynek odbiorczych kilkunastu uczniów gimnazjum w Strattenburgu, stamtąd jednak zdjęcie rozpełzło się błyskawicznie i do pół do ósmej wieczorem obejrzały je już setki, jeśli nie tysiące mieszkańców miasteczka, z zapalem je komentując.

Zostało zrobione przez anonimowego fotografa, który nie ujawnił swojej twarzy ani nazwiska. Uchwycił (lub uchwyciła) moment wyjścia Theo, jego rodziców i stryjka Ike'a z komisariatu; musiał stać gdzieś po drugiej stronie ulicy. Na zdjęciu wyraźnie widać było całą zasepioną czwórkę na tle wejścia do budynku z napisem:

KOMISARIAT POLICJI W STRATTENBURGU

Pod zdjęciem umieszczono podpis: *Theo Boone, lat trzynaście, zamieszkały przy Mallard Lane 886, opuszcza wraz z rodzicami i stryjem budynek policji po aresztowaniu za nocne włamanie i rabunek w znanym sklepie komputerowym Big Mac's Systems. Dobrze poinformowane źródła podają, że policja odnalazła skradzione towary w szkolnej szafce Boone'a w gimnazjum, do którego uczęszcza. W przyszłym tygodniu chłopiec stanie przed sądem dla nieletnich.*

Jak zwykle w środy rodzina Boone'ów kupiła na kolację

chińszczyznę na wynos. Usiedli w trójkę w pokoju i trzymając na kolanach tace z jedzeniem, oglądali telewizję. Asesor, który uważał się za pełnoprawnego członka rodziny, siedział obok Theo i od czasu do czasu dostawał ulubioną słodko-kwaśną krewetkę. Prawie nie rozmawiali. Theo siedział przygnębiony niedawnymi wydarzeniami, które coraz bardziej kojarzyły mu się z nabierającą masy i rozpędu śnieżną kulą. Państwo Boone byli zatopieni w myślach, zastanawiali się, jak najlepiej ochronić syna. Pani Boone ledwo skubnęła chow mein z kurczakiem, pan Boone rozgryzał kawałki z taką zawziętością, jakby znajdował się w sądzie i chciał w ten sposób udowodnić, że jego Theo nie zrobił nic złego.

Komórka Theo zawibrowała, sygnalizując nadejście SMS-a. Theo rzucił okiem na wyświetlacz. Wiadomość od jego przyjaciółki, April Finnemore, brzmiała: TB, sprawdź e-maile. Pilne.

Przerywanie jedzenia było przez rodziców źle widziane, więc Theo między kolejnymi łykami napisał: O co chodzi?

April odpowiedziała: Straszne. Pilne! Wejdź zaraz.

Theo napisał OK, wziął do ust jeszcze parę kęsów, szybko przełknął i oznajmił:

– Już się najadłem. – Wstał i ruszył z tacą z talerzem i szklanką do kuchni.

– Szybko się uwinąłeś – zauważyła mama. Tata nic nie powiedział, bo przebywał w innym świecie.

Theo opłukał talerz i ruszył prosto do plecaka leżącego na kuchennym blacie. Chwilę później się zalogował i otworzył skrzynkę odbiorczą. Kliknął na „Pilna wiadomość z GashMail” i zobaczył fotografię.

Ostre, wyraźne zdjęcie, niepozostawiające wątpliwości co do tego,

kto stoi na tle wyjścia z komisariatu policji. Jego pierwszą reakcją na odczytany podpis było niedowierzanie. Otworzył usta ze zdumienia i przez dłuższą chwilę przyglądał się sobie przed komisariatem. Jednak zdumienie szybko ustąpiło miejsca złości. Złości z powodu wrednych kłamstw i przeinaczeń. Przecież nie został aresztowany. I nie miał się stawić przed sądem. I zaraz potem pytania: Kto zrobił to zdjęcie? Gdzie się ukrywał? Dlaczego tak bezczelnie kłamie? Ile osób już to widziało?

– Mamo! Tato! – rozdarł się na całe gardło.

Rodzice stanęli za jego plecami i wpatrzyli się w ekran. Zdjęcie zrobione z ukrycia przez jakiegoś drania i rozesłane po świecie wraz z kłamliwym podpisem. Oboje byli prawnikami i ich pierwszą reakcją była myśl, co można zrobić, by legalnie zapobiec rozpowszechnianiu kłamstw i pociągnąć winnych do odpowiedzialności.

– Zakładam, że to się już rozeszło – powiedziała mama.

– Pewnie tak – mruknął Theo.

– Co to jest GashMail? – spytał ojciec.

– To taki podejrzany serwer, z którego korzystają ci, którzy nie chcą być złapani. Wychodzi z niego mnóstwo anonimowych e-maili i naprawdę trudno je namierzyć.

– Więc tego też nie namierzemy?

– W internecie wszystko jest możliwe, ale wyśledzenie tego byłoby trudne i bardzo kosztowne.

– Ten internet – burknął z odrazą pan Boone, podszedł do okna nad zlewem i wpatrzył się w ciemności za szybą.

Theo usiadł przy stole i potarł skronie.

– Wygląda na to, że moje życie legło w gruzach – jęknął i przez chwilę wydawało się, że wybuchnie płaczem.

– To się da odkręcić, Theo – uspokoił go tata. – Twoi koledzy poznają prawdę. A nie ma znaczenia, co sobie pomyślą obcy.

– Łatwo ci mówić, tato. Nie będziesz musiał jutro świecić oczami przed tłumem kolegów w szkole. I nawet nie wiesz, jak szybko takie rzeczy rozchodzą się w internecie. Pół miasta ogląda teraz to zdjęcie i uważa, że jestem winny.

Pani Boone usiadła obok syna i poklepała go po ręce.

– Nie jesteś winny, Theo, a prawda wyjdzie na jaw.

– Nie jestem tego taki pewny, mammo. Słyszałaś, co powiedział ten policjant. Uważa, że jestem winny. A jeśli nie znajdą prawdziwych złodziei? A jeśli ich śledztwo skończy się na mnie jako jedynym podejrzanym z trzema tabletami w szafce? W którymś momencie będą musieli postawić komuś zarzuty i to mogę być ja. Widziałem dziś właściciela sklepu. Mówią na niego Big Mac i wierzą mi, że on też jest przekonany o mojej winie i żąda krwi. On również zobaczy to zdjęcie. I policja. Wszystkim pomoże to uwierzyć, że to moja sprawa.

W kuchni zapadło ciężkie milczenie i słowa Theo zawisły w powietrzu. Zaczynała docierać do nich rzeczywistość. Czy to możliwe, żeby oskarżono Theo o przestępstwo? I czy – gdy koła sprawiedliwości pójdą w ruch – jego rodzice będą mogli zapobiec strasznym konsekwencjom?

Każdy tablet kosztował około czterystu dolarów, co dawało łączną wartość tysiąca dwustu dolarów. Gdy wartość skradzionych przedmiotów przekracza pięćset dolarów, kradzież klasyfikuje się jako przestępstwo – coś znacznie poważniejszego niż zwykłe wykroczenie. Theo znał przepisy, bo ślęczał nad nimi godzinami. Często, zamiast odrabiać lekcje w swoim pokoju, zagłębiał się w zbiory przepisów i kodeksy postępowania. Gdyby miał osiemnaście lat lub więcej,

zostałby oskarżony o przestępstwo. Jako trzynastolatkowi groził mu tylko sąd dla nieletnich, w którym obowiązują odmienne zasady. Zachowuje się większą dyskrecją w postępowaniu, akta spraw i protokoły nie są publicznie ujawniane. Na sali rozpraw nie ma ławy przysięgłych i decyzje podejmuje jednoosobowo sędzia sądu dla nieletnich. Wyroki więzienia należą do rzadkości, a jeśli już, to nie są zbyt wysokie.

Jeśli ten ciąg dramatycznych wydarzeń zakończy się sądem, Theo może zostać skazany na kilka miesięcy w zakładzie karnym dla młodzieży.

Zakład karny? Theodore Boone skazany?

Nie do pomyślenia? Szaleństwo? Gruba przesada? Może wszystko razem, ale myśli w rozpalonej głowie Theo zaczynały wymykać się spod kontroli.

Dotarło do niego, że mama coś mówi.

– Theo, pierwszą zasadą jest nie poddawać się i walczyć. Atakować. Kiedy człowiek ma rację, nie wolno mu się poddawać. Umieść komunikat na swojej stronie, napisz, jaka jest prawda. Roześlij e-maile do wszystkich znajomych i poinformuj, że zdjęcie i podpis zostały zmanipulowane. Poproś April, Chase’a, Woody’ego i wszystkich, którym ufasz, żeby zasypali internet prawdziwymi wiadomościami. Daj do zrozumienia, że rodzice rozważają wystąpienie na drogę sądową.

– A rozważają?

– Oczywiście, że tak. Może się nie udać, ale przynajmniej rozważamy.

– Mama ma rację, Theo – wtrącił się pan Boone. – Minimum, co możesz zrobić, to podjąć walkę.

To do Theo trafiło. Przez ostatnie dziesięć minut był jak sparaliżowany, teraz jednak nadszedł czas działania.



Godzinę później wszyscy troje wciąż siedzieli przy stole w kuchni i każde na swoim laptopie próbowało docierać do krążących w sieci plotek i od razu im przeciwdziałać. Mieli jednak świadomość, że walka jest z góry przegrana. Fotografia i towarzyszący jej podpis były zbyt sensacyjne, by można je było zignorować, a Theo okazał się atrakcyjnym celem. Jedyne dziecko dwojga znanych prawników aresztowane za włamanie i rabunek. Przyłapane na gorącym uczynku, ze skradzionymi przedmiotami w szkolnej szafce. Jak każda zmyślona wiadomość, w miarę powtarzania zyskiwała na wiarygodności i szybko stawała się faktem.

Pan Boone zamknął laptop i zaczął coś zapisywać w notatniku z żółtymi kartkami. Theo nie pamiętał ani jednego dnia, w którym nie natknąłby się na co najmniej pięć takich żółtych notatników rozrzuconych po całym domu.

– Zabawmy się w detektywów – zaproponował pan Boone.

Pani Boone zdjęła okulary do czytania i też zamknęła laptop. Upiła łyk ziołowej herbaty i uśmiechnęła się.

– Zgoda, Sherlocku Holmesie, zaczynaj.

– Zastanówmy się, kto mógł niezauważony włamać się do twojej szafki? – zaczął pan Boone. – Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś obcy dorosły mógł wejść do szkoły, podejść do twojej szafki i poznawszy jakimś cudem twój kod, tak po prostu ją otworzyć.

– Zgoda. – Pani Boone skinęła głową. – Theo, czy widziałeś kiedyś, żeby któryś z nauczycieli albo trenerów, albo woźnych, albo innych

dorosłych otwierał którąś z szafek?

– Nigdy. Nawet się do nich nie zbliżają. Nauczyciele siedzą w pokoju nauczycielskim, woźni mają swoją kamerę w podziemiu, ale uczniom nie wolno tam chodzić. Trenerzy korzystają z szafek przy sali gimnastycznej.

– A więc otwierający szafkę dorosły rzuciłby się w oczy?

Theo zastanawiał się przez chwilę.

– Gdybyśmy go znali, a on otwierałby jedną z naszych szafek, to tak, oczywiście zwrócilibyśmy na to uwagę. Bo to by było coś niezwykłego. Gdybyśmy go nie znali, to myślę, że ktoś coś by powiedział. Ale nie mam pewności, bo to się nigdy nie zdarzyło.

– Tak by było podczas przerwy, kiedy korytarze są pełne, prawda?
– upewnił się pan Boone.

– Tak.

– A jak by to wyglądało w czasie lekcji, gdy na korytarzu nie ma nikogo?

Theo znów chwilę pomyślał.

– Rzadko się zdarza, żeby korytarze były zupełnie puste – powiedział w końcu. – Zwykle podczas lekcji ktoś dokądś po coś idzie. Uczeń zwolniony z lekcji, woźny, asystent nauczyciela...

– A co z monitoringiem na korytarzach? – pytał dalej pan Boone.

– Kilka tygodni temu zdjęli kamery. Mają zainstalować nowy system.

– Wydaje mi się – wtrąciła pani Boone – że otwieranie szafki ucznia przez dorosłego byłoby zbyt ryzykowne.

– Też tak uważam – powiedział Theo. – Tyle że w każdym przestępstwie jest element ryzyka, prawda?

– Prawda, ale czy ryzyko nie byłoby dużo większe dla kogoś, kto

normalnie nie korzysta z szafek?

– Oczywiście – potwierdził z przekonaniem pan Boone. – A jeszcze większe dla kogoś spoza szkoły. Myślę, że możemy wyeliminować taką ewentualność. Zatem zgadzamy się, że zrobił to ktoś ze szkoły.

Theo wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył. Jego mama też nie.

– Ktoś umiejący otworzyć szafkę – ciągnął pan Boone. – Ktoś, kto mógł ukraść kod. I mieć łatwy dostęp do stojaków na rowery. Ktoś, komu przebicie opony rowerowej zajęłoby dwie sekundy. Ktoś znający rower Theo i wiedzący, gdzie go zostawia. Ktoś znający plan jego lekcji i harmonogram zajęć. Ktoś dobrze znający Theo i mogący obserwować go bez obaw, że zostanie na tym przyłapany.

– Któryś z uczniów? – podchwycił Theo.

– Właśnie.

Pani Boone miała jednak wątpliwości.

– Trudno mi uwierzyć, żeby trzynastolatek mógł się włamać do sklepu z komputerami, uniknąć wszystkich kamer monitoringu i bez problemu uciec z łupem.

– Ale to i tak bardziej prawdopodobne niż zrobienie tego przez woźnego lub asystenta nauczyciela – odparł pan Boone.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której trójka detektywów parę razy głęboko westchnęła. Pierwszy przemówił Theo:

– Musiał mieć współnika, prawda? Pamiętacie ten anonimowy telefon z budki koło szpitala? Plus to, że do wyniesienia skradzionego towaru ze sklepu potrzeba było co najmniej dwóch ludzi.

– Właśnie – powtórzył pan Boone. – I zwróćcie uwagę na niezbędny poziom wiedzy technicznej. Ktoś się włamał do szkolnego komputera, pokonał zabezpieczenia i zdobył kod do szafki. Ktoś był na tyle sprytny, żeby zrobić nam zdjęcie, w chwili gdy opuszczaliśmy

komisariat, i wiedział, jak skorzystać z tego GashMaila, żeby wpuścić je do sieci bez obawy o przyłapanie. Mnie to wygląda na jakiegoś smarkacza.

– Kamieniem w szybę mógł rzucić ktokolwiek – zauważyła pani Boone.

– Tak, ale bardziej mi to wygląda na młodzieżowy wybryk, nie sądzisz?

Wszyscy troje pokiwali głowami, że się z tym zgadzają.

– A poza tym – dodał Theo – większość uczniów w szkole, a już na pewno większość chłopaków, wie, gdzie i kiedy odbywają się zbiórki skautowskie. Przyjście w tym czasie do budynku VFW i odnalezienie mojego roweru nie byłoby trudne.

Dowody, że to sprawka któregoś z uczniów, były coraz bardziej miazdzące.

– Ilu uczniów chodzi do gimnazjum, Theo? – spytał pan Boone.

– Po pięć klas od piątej do ósmej. Mniej więcej po osiemdziesięciu z każdego rocznika razy cztery daje w sumie około trzystu dwudziestu chłopców i dziewczyn.

– Zostawmy dziewczęta – zaproponował pan Boone. – Nie wyobrażam sobie dziewczynki przebijającej opony lub rzucającej kamieniem w szybę.

– No nie wiem, tato. Mamy w szkole trochę naprawdę ostrych dziewczyn.

– Nie rozśmieszaj mnie, Theo. O dziewczynach możemy porozmawiać później.

– No dobrze, więc mówimy o stu sześćdziesięciu chłopakach. I co dalej?

Trop jakby nagle nieco ostygł. Państwo Boone'owie wiedzieli, że

Theo jest lubianym chłopcem, który nikogo nie zaczepia, nie bije i nie wszczyna awantur.

– Znamy twoich kolegów, Theo – odezwał się pan Boone – ale tylko paru. Większości uczniów nie znamy. Może spróbuj zrobić listę potencjalnych podejrzanych. Kolegów, z którymi miałeś jakąś scysję. Takich, którzy mogą nosić w sercu żal z powodu czegoś, co stało się niedawno lub rok temu.

– A co sądzisz o Klubie Dyskusyjnym? – wtrąciła pani Boone. – Nigdy nie przegrałeś żadnej debaty. Może ktoś z pokonanych chowa do ciebie urazę?

– Albo któryś z kolegów skautów ci zazdrości? – podsunął pan Boone.

Theo słuchał słów rodziców, kiwając głową. Próbował wyłuskać z pamięci potencjalnych wrogów i zaczynał mieć gonitwę myśli.

– Cóż, na pewno są tacy, którzy mnie nie lubią – powiedział w zadumie – ale dlaczego aż tak? Jeśli chciał się w ten sposób zemścić, to chyba przesadził. W dodatku chowa do mnie urazę, o której nic wiem.

– Rzeczywiście na to wygląda – zgodziła się pani Boone.

– Pomyśl nad tym, Theo. Zrób sobie listę najbardziej podejrzanych. Jutro przy kolacji ją omówimy.

– Spróbuję – powiedział Theo.

Rozdział 11

Czwartek rano. Gdy o siódmej trzydzieści zadzwonił budzik, Theo już od dłuższego czasu nie spał. Żołądek miał zaciśnięty w supeł i czuł się zbyt chory, by pójść do szkoły. Leżał wpatrzony w sufit i czekał, aż choroba jeszcze wyraźniej da o sobie znać. Miał nadzieję, że rozwinie się w prawdziwe zatrucie, a on zacznie się krztusić i wymiotować. Bolała go też głowa, więc uznał, że nadchodzi atak migreny, choć nigdy wcześniej go to nie dotknęło. Jednak czas płynął, a jego stan niestety nie ulegał pogorszeniu.

Jak mógłby siedzieć w szkole w atmosferze tych wszystkich podejrzeń? Jak by sobie poradził z żarcikami, złośliwościami i dokuczaniem? Jeśli jest coś takiego, jak wymarzony dzień na opuszczenie szkoły, wagarowanie czy symulowanie choroby, to dzień ten właśnie nastał.

Pierwszy poruszył się Asesor. Wyczołgał się spod łóżka i otrząsnął na znak, że jest gotów do wyjścia. Theo spojrzał na niego z zazdrością. Psa czeka dzień w biurze, podczas którego pośpi sobie przy biurku Elsy, poszwenda się z pokoju do pokoju, pokręci po kuchni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia i zdrzemnie w pokoju Theo w oczekiwaniu na jego powrót ze szkoły. Zero zmartwień, zero stresu, zero obaw o to, że ktoś go będzie nękał lub uknuje kolejną intrygę. To jest życie, pomyślał Theo. Pieskie życie? Akurat!

Usiadł na brzegu łóżka i czekał w nadziei, że zaraz zacznie wymiotować, musiał jednak sam przed sobą przyznać, że czuje się coraz lepiej. Pies patrzył na niego wyczekująco. Z korytarza dobiegł odgłos kroków i delikatne pukanie do drzwi.

– Theo – zabrzmiał łagodny głos matki. – Nie śpisz już?

– Nie, mam – odrzekł Theo, starając się, by jego głos zabrzmiał tak chrapliwie, jakby za chwilę miał wydać ostatnie tchnienie.

Pani Boone otworzyła drzwi, weszła do pokoju syna i usiadła na brzegu łóżka.

– Proszę, przyniosłam ci kubek gorącej czekolady. – Theo wziął od niej kubek i pociągnął nosem. Zapach był mocny i nad wyraz smakowity. – Dobrze spałeś? – Mama była jeszcze w szlafroku i swoich ukochanych różowych, puszystych papuciach.

– Nie bardzo. Męczył mnie koszmar i nie chciał odejść.

– Opowiedz – powiedziała mama i zmierzwiła mu czuprynę.

Theo upił łyk czekolady i oblizał wargi.

– Taki naprawdę dziwny sen, zupełnie bez sensu i wlokący się bez końca. Uciekałem przed policją, całym tłumem gliniarzy celujących do mnie z broni i w ogóle. Jechałem rowerem i już im miałem uciec, ale przestrelili mi obie opony. Wtedy wrzuciłem rower do rowu i zacząłem biec przez las. Ale oni byli coraz bliżej i bliżej. Pociski wbijały się w drzewa wokół mnie, mieli też psy i te psy już mnie doganiały. I wtedy ktoś krzyknął: „Theo, tutaj!”. Pobiegiem w stronę głosu i okazało się, że to Pete Duffy za kierownicą pick-upa. Wskoczyłem na pakę i ruszyliśmy. Wokół gwizdały kule, a on jechał jak wariat i rzucało mną po całej skrzyni. A potem nagle znaleźliśmy się na Main Street, na chodnikach stali ludzie i krzyczeli: „Dawaj, Theo!”, i różne takie. Ściagała nas cała kawalkada radiowozów

z włączonymi światłami i syrenami. Rozwaliliśmy blokadę i już mieliśmy uciec, ale gliniarze przestrelili nam wszystkie cztery opony.

Theo przerwał i upił łyk czekolady. Asesor wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym wyrzutu: a co ze śniadaniem?

– I co, uciekliście? – spytała mama z uśmiechem. Wyglądało na to, że sen syna ją rozbawił.

– Nie jestem pewny. Chyba sen się nie skończył. Jechaliśmy jakimiś uliczkami, za każdym zakrętem czekało coraz więcej policji i wszyscy do nas strzelali. Był też oddział antyterrorystów, nad głową latał nawet jakiś helikopter. Pete Duffy cały czas powtarzał: „Nie złapią nas, Theo. Trzeba tylko uciekać”. Przebiegliśmy przez gmach sądu, w którym roiło się od ludzi, mimo że był środek nocy, i pobiegliśmy w stronę rzeki. Z jakiegoś powodu postanowiliśmy przebiec mostem na drugą stronę. W połowie mostu zobaczyliśmy oddział antyterrorystów, którzy biegli w naszą stronę z naprzeciwka. Zatrzymaliśmy się i stwierdziliśmy, że za nami też są gliniarze z psami. Wtedy Pete Duffy powiedział: „Musimy skakać, Theo”. „Ja nie skaczę”, odpowiedziałem, a on wtedy przechylił się przez barierkę i już miał skoczyć, ale z obu stron posypały się pociski. Krzyknął i poleciał w dół, a ja patrzyłem, jak spada i uderza w wodę. Na rzece byli jacyś ludzie w łodziach i gdy wpadł do wody, zaczęli głośno wiwatować, a potem krzyczeć: „Skacz, Theo, skacz!”. Policja zachodziła mnie z obu stron, psy warczały, syreny wyły, słychać było strzały. Podniosłem ręce, jakbym się chciał poddać, a potem nagle przeskoczyłem przez barierkę. Miała ze dwa i pół metra wysokości, tylko że to był sen, prawda? Byłem jak olimpijski skoczek, w locie zacząłem nagle robić śruby i przewroty, i obroty. Nie wiem, gdzie się tego wszystkiego nauczyłem. Rzeka była daleko w dole, ale się

zbliżała i zbliżała.

Napił się czekolady.

– I co się stało?

– Nie wiem. To spadanie trwało bardzo długo i obudziłem się, zanim wpadłem do wody. Próbowałem potem zasnąć i dokończyć ten skok, ale już mi się nie udało.

– To bardzo ciekawy sen, Theo. Emocjonujący i pełen akcji.

– W tamtej chwili wcale nie było fajnie. Byłem śmiertelnie przerażony. Zdarzyło ci się kiedyś, żeby policja do ciebie strzelała?

– Nie, nigdy. Miałeś przemyśleć listę potencjalnych wrogów, którzy mogą mieć do ciebie żal.

Theo upił łyk i na chwilę się zamyślił.

– Mamo, przecież dzieci chyba nie mają wrogów, prawda? – powiedział w końcu. – To prawda, że zawsze są tacy, których nie lubię i którzy nie lubią mnie, ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo mógłbym nazwać wrogiem.

– Masz rację. Wobec tego kto cię najbardziej nie lubi?

– Betty Ann Hockner.

– I z jakiego powodu?

– Kilka miesięcy temu mieliśmy debatę, chłopaki na dziewczyny. Chodziło o dostęp do broni palnej. Wszyscy się strasznie zaperzyli, ale zachowując reguły. Wygraliśmy debatę i Betty Ann nie mogła się z tym pogodzić. Słyszałem, jak później nazywała mnie „oszukańcem” i „tanim krętaczem”. Od tamtej pory często ją spotykam i widzę, że patrzy na mnie tak, jakby chciała mi poderżnąć gardło.

– Powinieneś pierwszy wyciągnąć do niej rękę.

– Ani mi się śni.

– Dlaczego nie?

- Bo się boję, że mnie przytrzyma i poderżnie mi gardło.
 - Myślisz, że to ona mogła ci przedziurawić opony i wybić szybę?
- Theo zastanawiał się chwilę i pokręcił głową.
- Raczej nie. To fajna dziewczyna, tylko nie jest za bardzo lubiana.

Właściwie nawet mi jej żal. Nie, to nie ona.

- A kto?
- Nie wiem. Wciąż jeszcze się zastanawiam.
- Lepiej zbieraj się do szkoły.
- Źle się czuję, mamó. Niedobrze mi i boli mnie głowa. Chyba lepiej zostanę dziś w łóżku.

Mama uśmiechnęła się i znów poczochnęła mu włosy. Ani trochę mu nie wierzyła.

- A to ci niespodzianka. Wiesz, Theo, gdybyś tak często nie symulował chorób, żeby wymigać się od szkoły, to może bym ci czasem uwierzyła.

- W szkole jest nudno.

- Cóż, nie masz wyboru. Przepis mówi, że jeśli chce się pójść na prawo, to trzeba najpierw skończyć ósmą klasę.

- Pokaż mi ten przepis.

- Właśnie go wymyśliłam. Słuchaj, synku, zdaję sobie sprawę, że dziś może być trochę nieprzyjemnie. Pewnie będą plotkowali i rzucapare żarcików. Wiem, że wolałbyś tego uniknąć, ale się nie da. Musisz zacisnąć zęby i chodzić z dumnie podniesioną głową, bo nie zrobiłeś nic złego. Nie masz się czego wstydzić.

- Wiem.

- I uśmiechaj się. Świat jest lepszy, gdy człowiek się uśmiecha.

- Dzisiaj to może być trudne.



Theo postawił rower w innym stojaku, tym bliżej stołówki, zamknął na łańcuch i szybko się rozejrzał, sprawdzając, czy go ktoś obserwuje. Ukradkowe strzelanie wzrokiem na boki wchodziło mu już w krew i zaczynało go to drażnić.

Było dwadzieścia po ósmej. Umówił się z April Finnemore w stołówce, dokąd uczniom wolno było zaglądać w celach towarzyskich lub żeby wypić szklanekę soku jabłkowego albo czasem się pouczyć. April była jego dobrą kumpelką, ale nie dziewczyną. Theo ufał jej bardziej niż innym, ona też często mu się zwierzała. Miała strasznie pokreconą rodzinę, bo ojciec wciąż odchodził i wracał, matka była na wpół (o ile nie więcej) wariatką, a reszta rodzeństwa już wyniosła się z domu. April też to chciała zrobić, ale była jeszcze za młoda. Jej marzeniem było zostać malarką i zamieszkać w Paryżu.

– Jak się czujesz? – spytała na powitanie, gdy usiedli przy końcu długiego stołu, jak najdalej od innych.

Theo zacisnął zęby i dumnie podniósł głowę.

– W porządku – powiedział. – Nic mi nie jest.

– To zdjęcie chodzi po całym internecie. I cały czas się rozprzestrzenia.

– Słuchaj, April, nic na to nie poradzę. Jestem niewinny, więc co mogę w tej sprawie zrobić? Chcesz sok?

– Jasne.

Theo podszedł do bufetu, na którym stała cała bateria papierowych kubków z darmowym sokiem jabłkowym. Wziął dwa i ruszył do stołu, ale grupka siódmoklasistów zaczęła nagle skandować: „Winny! Winny! Winny!”.

Theo spojrzał na nich, błysnął aparatem korekcyjnym na zębach

i udał, że się uśmiecha, jakby go to rozbawiło. Najgłośniejszy darł się chłopak nazwiskiem Phil Jacoby, łobuziak mieszkający w zakazanej części miasta. Theo go znał, ale się nie kolegowali. Do grupki dołączyło jeszcze kilku chłopaków. „Winny! Winny! Winny!”. Theo usiadł przy stole i zaraz potem krzyki umilkły. Zabawa się znudziła.

– Gnoje – syknęła April, wlepiając w nich wzrok.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Jeśli spróbujesz reagować, będzie tylko gorzej.

Pojawiły się kolejne dzieci, a ich plecaki wylądowały na stołach.

– Co policja teraz zrobi? – spytała April, ścisząc głos niemal do szeptu.

– Dokończą śledztwo – odpowiedział cicho Theo i rozejrzał się na boki. – Na tabletach z mojej szafki nie znaleźli żadnych odcisków palców, więc przypuszczają, że mają do czynienia ze spryciarzem. Mówili, że będą szukać śladów na szafce, ale uznali, że to chyba strata czasu. Wiesz, April, to drobna sprawa. Gliny mają dużo ważniejsze rzeczy na głowie.

– Jak odnalezienie Pete’a Duffy’ego?

– Właśnie. A poza tym narkotyki i znacznie cięższe przestępstwa. Temu włamaniu nie poświęcą zbyt dużo czasu. Nie jest aż tak poważne.

– A jeżeli cię oskarżą? Nie powiesz mi, że się nie martwisz, że ktoś mógł cię w to zrobić.

– Pewnie, że się martwię, ale mam zaufanie do policji i sądów. Trzeba ufać systemowi, April. Jestem niewinny i wiem o tym. Policja złapie prawdziwych złodziei i zostanę oczyszczony.

– Tak po prostu?

– Tak. Tak myślę.

Do ich stołu zbliżyła się gromada siódmoklasistów i zaszła Theo od tyłu.

– Hej, chłopaki, uwaga na plecaki – rzucił głośno Phil Jacoby. – W stołówce siedzi rabuś Theo.

Jego koledzy parsknęli śmiechem i poszli dalej. Kilkoro uczniów obrzuciło Theo spojrzzeniami, kilkoro innych przysunęło bliżej plecaki.

– O rany – jęknął zrezygnowany Theo. – Chyba dorobiłem się nowej ksywy.

– Gnoje.

Trudno było zaciskać zęby i chodzić z podniesioną dumnie głową. Zapowiadał się długi dzień.



Bójka wybuchła kilka minut później, gdy Theo zamykał swoją szafkę. Sprowokował ją inny ze szkolnych rozrabiaków, niejaki Baxter, z ósmej klasy klasy madame Monique, którego szafka znajdowała się blisko szafki Theo. Baxter zaszedł go od tyłu i donośnym głosem rzucił: „Hej, jak ci leci, kryminalisto?”. Wywołało to kilka parsknięć, ale nie tyle, na ile liczył Baxter. Staął obok Theo i się uśmiechnął.

Baxter popełnił jeden błąd: powiedział to akurat w chwili, gdy dwa kroki dalej swoją szafkę zamykał Woody. Na dźwięk słów Baxtera odwrócił się i warknął ze złością:

– Przymknij się!

Nikt rozsądny nie zadzierał z Woodym. Chłopak miał dwóch starszych braci, którzy grali w futbol, trenowali karate i byli znani z wszczynania awantur o byle co. W domu Woody’ego trwał permanentny stan wojenny, a jego efektem były powybijane szyby

i połamane meble, a czasem także kości. Woody jako najmłodszy z braci pełnił funkcję manekina i worka treningowego, co powodowało, że lubił się bić z przeciwnikami w swoim wieku i o zbliżonych warunkach fizycznych. Nigdy pierwszy nie szukał zwady, ale często aż nazbyt chętnie puszczał w ruch pięści lub wydzierał się na kolegów, którzy mu podpadli.

Tyle że Baxter też miał opinię twardziela i nie mógł puścić mimo uszu takiej odzywki w obecności swoich kolegów.

– Ty mi nie mów, co mam robić – odwarknął. – Jak mi się spodoba nazywać Theo kryminalistą, to go tak będę nazywał.

Woody już ruszył w stronę Baxtera i w tym momencie konfrontacja stała się nieunikniona. Po korytarzu przebiegł dreszcz nerwowego podniecenia, bo wszyscy znajdujący się w pobliżu uczniowie zdali sobie sprawę, że obaj są jak rewolwerowcy w westernie i żaden się nie cofnie.

Theo szybko rozejrzał się po korytarzu w nadziei, że dojrzy gdzieś pana Mouna lub innego nauczyciela, ale w polu widzenia nie było nikogo dorosłego.

– Daj spokój, Woody – rzucił pośpiesznie. – Nie ma sprawy.

Ale dla Woody'ego sprawa była. Obrzucił Baxtera zaczepnym spojrzeniem i rozkazał:

– Cofnij to.

– Ani myślę. Jak ktoś kradnie i go aresztują, to dla mnie jest kryminalistą. – Nadal mówił hardo, ale już trochę wytrzeszczał oczy. Nie wiedział, że wkrótce jego lewe oko całkiem się zamknie.

Woody zamachnął się prawym sierpowym i trafił go prosto w twarz. Trzeba przyznać, że Baxter nie pozostał dłużny i zdążył zadać Woody'emu niezły cios, dopiero potem zwarli się

w niedźwiedzim uścisku i runęli na podłogę. Bójki na terenie szkoły zdarzały się rzadko, a ta zapowiadała się na zażartą i nie wolno było jej przegapić. Wokół walczących natychmiast zebrał się tłumek gapiów, ktoś w głębi korytarza krzyknął: „Biją się! Biją się!”. Woody i Baxter turlali się po wyłożonej terakotą podłodze, szarpiąc się i drapiąc jak dwa walczące koty.

Giermkciem Baxtera był drobnej budowy chłopiec nazwiskiem Griff, który jak inni musiał sobie zdawać sprawę, że w ciągu paru sekund Woody osiągnie przewagę i zacznie obrabiać twarz Baxtera. I żeby pomóc swojemu mistrzowi, Griff popełnił głupstwo i włączył się do bójki. Wydał coś w rodzaju okrzyku bojowego i skoczył na plecy Woody’ego. Theo i reszta gapiów oniemiała.

Udział w bójce na terenie szkoły pociągał za sobą automatycznie zawieszenie w prawach ucznia. Regulamin uczniowski nie zostawiał w tej kwestii żadnych wątpliwości i wszyscy nauczyciele zawsze podkreślali, że bijatyki to zło. System kar wymierzanych przez panią dyrektor był elastyczny i wyrok zależał od ciężaru przewinienia. Zwykła szarpanina na szkolnym dziedzińcu mogła się skończyć jednodniowym zawieszeniem z nawiązką w postaci trzech godzin obowiązkowej nauki w świetlicy. Prawdziwa bójka z rozciętymi wargami i rozkwaszonymi nosami mogła skutkować trzydniowym zawieszeniem, zakazem uczestniczenia w zajęciach pozaszkolnych i miesięcznym okresem cenzurowanego.

Theo nie należał do szkolnych zabijaków. Jego ostatnia szarpanina miała miejsce w czwartej klasie, kiedy on i Walter Morris pokłócili się na pływalni. Mimo to, stojąc i obserwując toczącą się u jego stóp bójkę, poczuł nagłą chęć włączenia się do niej. Przecież jego kumpel Woody rzucił się na Baxtera w obronie jego honoru. Minimum, co mu

wypadało zrobić, to przyjść Woody'emu z pomocą. A zawieszenie w prawach ucznia nie będzie końcem świata. Oczywiście rodzice się wściekną, ale w końcu im przejdzie. Jak to powiedziała mama wczoraj wieczorem? „Pierwszą zasadą jest nie poddawać się i walczyć. Podejmować atak. Kiedy człowiek ma rację, nie wolno mu się poddawać”.

A Ike będzie z niego dumny.

Czasami chłopak musi zawałczyć.

Theo rzucił plecak na podłogę, krzyknął coś, czego nawet on sam nie zrozumiał, i rzucił się w środek kotłowniny.

Rozdział 12

Po jednej stronie stołu usiedli Baxter z Griffem, po drugiej Woody i Theo. Siedzieli zwrócenii do siebie twarzami, a emocje z wolna ustępowały miejsca narastającemu poczuciu rzeczywistości. Baxter miał przyłożony do twarzy okład z lodu, lewe oko było podbite i niemal całkowicie zamknięte. Wyglądał okropnie. Woody był z siebie dumny, ale udawało mu się tłumić uśmiech. Zresztą na myśl o gniewie rodziców i czekającym go zawieszeniu i tak nie bardzo mu było do śmiechu. Na twarzy Griffa, tak jak na twarzach Theo i Woody'ego, nie było żadnych obrażeń. Theo miał tylko spuchniętą i lekko rozciętą dolną wargę, którą zakleił sobie plastrem, bardziej natomiast ucierpiała jego głowa i czuł w niej pulsujący ból. Spowodował go kopniak wymierzony mu przez Baxtera lub Griffa, gdy leżał przywalony stertą ciał, ale nikomu o tym nie wspomniał.

Siedzący przy końcu stołu pan Mount spoglądał groźnie na winowajców. Zdecydowanie rozdzielił walczących i zaprowadził do salki cichej nauki, gdzie teraz siedzieli i powoli dochodzili do siebie. Oddechy się uspokajały, bicie serc powracało do normalnego rytmu. Nic tak nie podnosi pulsu i nie pompuje krwi jak dobra bójka.

– Co się stało? – spytał wreszcie pan Mount.

Wszyscy czterej wbili wzrok w stół. Cisza. Ani słowa.

– Czy to miało jakiś związek z wczorajszą plotką, że Theo został

aresztowany? – Pan Mount przeniósł wzrok na Theo, ten jednak siedział nieporuszony, nie odrywając wzroku od stołu.

Pan Mount wiedział, że Woody bywa porywczy, a Baxter lubi narozrabiać. Wiedział też, że Griff chodzi za Baxterem jak wierny piesek, nie był natomiast skłonny uwierzyć, że Theo Boone mógł zacząć bójkę czy nawet do niej dołączyć. Ale też był kiedyś chłopcem i pewne rzeczy rozumiał. Według jego oceny musiało być tak, że Baxter i Griff zaczepili Theo, a Woody jako przyjaciel stanął w jego obronie.

Z korytarza dobiegły jakieś głosy i pan Mount mruknął: „Chyba idzie pani dyrektor. Nie chciałbym być w waszej skórze”, po czym wstał i wyszedł z salki. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Woody warknął groźnie:

– Nikt nie kabluje, jasne? Znaczący, nikt się nie skarży. Ani słowa.

Ledwo zdążył zamknąć usta, gdy drzwi otworzyły się z impetem i do sali weszła pani Gladwell. Chłopcom wystarczyło na nią popatrzeć, by wiedzieć, że już nie żyją.

Skierowała się do krzesła stojącego u szczytu stołu, przesywając wszystkich czterech morderczym spojrzeniem. Pan Mount wślizgnął się za nią i zamknąwszy drzwi, oparł się o ścianę. Był tu w roli świadka.

– Nic ci nie jest, Baxter? – spytała dyrektorka tonem pozbawionym choćby cienia troski.

Baxter lekko skinął głową.

– A tobie, Theo? Czy to, co masz na ustach, to krew?

Theo lekko skinął głową.

Pani dyrektor zeszywniała, zrobiła jeszcze sroższą minę i rzuciła:

– No więc chcę usłyszeć, co się wydarzyło.

Żaden z chłopców nawet nie drgnął. Wszystkie siedmioro oczu (Baxter aktualnie dysponował tylko jednym) wpatrywało się z napięciem w coś fascynującego, choć niewidocznego, na stole. Mijały sekundy grobowej ciszy. Twarz pani dyrektor oblał rumieniec, jej rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły.

– Bijatyka to bardzo poważne wykroczenie – oświadczyła. – Nie tolerujemy żadnych bójek na terenie szkoły i wiecie o tym doskonale od początku piątej klasy. Karą za bójkę jest automatyczne zawieszenie. Zawieszenie trafia do akt osobowych ucznia i już na zawsze w nich pozostaje.

No niezupełnie, pomyślał w duchu Theo. Może na zawsze w aktach szkoły, ale jej murów nigdy nie opuści. College, wydział prawa czy przyszły pracodawca nigdy się nie dowie, że ktoś został w ósmej klasie zawieszony za udział w bójce.

– Theo – rzekła surowo – chcę wiedzieć, co się tutaj stało. Theo, spójrz na mnie. – Theo powoli uniósł głowę i spojrzał na groźną twarz dyrektorki. – Powiedz mi, co się tu wydarzyło.

Theo nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. Odwrócił wzrok, wpatrzył się w punkt na ścianie i zacisnął zęby.

Z tej czwórki Theo był urodzonym przywódcą, Griff bezwolnym naśladowcą, a Woody i Baxter dopasowywali się do większości. Milczenie Theo oznaczało, że pozostali trzej też będą milczeli.

Pani dyrektor popełniła błąd. Sposobem na przełamanie milczenia grupy oskarżonych jest jej rozdzielenie. Gdyby to Theo prowadził dochodzenie, w pierwszej kolejności odseparowałby od reszty Griffa i posadził w oddzielnym pomieszczeniu, z dorosłymi z marsowymi minami. Użyłby do tego pracowników administracji, trenerów, ludzi mających władzę i autorytet. Powiedzieliby Griffowi, że pozostali

trzej chłopcy przerwali milczenie i wskazują na niego jako na prowodyrę. „Griff, Baxter twierdzi, że to ty zaczepiłeś Theo”. „Griff, oni mówią, że ty pierwszy uderzyłeś”. I tak dalej. W pierwszej chwili Griff by im nie uwierzył, ale po paru minutach zmasowanego ataku załamałby się i zaczął mówić. Po przedstawieniu swojej wersji usłyszałby, że nie pasuje do wersji pozostałych trzech, a to niewątpliwie oznacza, że kłamie. Kłamstwa i udział w bójce spowodują, że jego kara – zawieszenie i okres próby – będzie nawet surowsza niż dla pozostałych. I wtedy Griff zrobiłby wszystko, żeby ich przekonać, iż jego wersja jest prawdziwa i dokładna. Tę samą strategię należało zastosować wobec wszystkich czterech; wyśpiewaliby całą prawdę i przyczyny bójki szybko wyszłyby na jaw.

To oczywiście wymagałoby oszustwa ze strony kierownictwa szkoły, ale prawo dopuszcza takie postępowanie. Pani dyrektor jednak nie uznawała takich metod, a to oznaczało, że niczego się nie dowie. Theo pomyślał z ulgą, że dyrektorka nie zna elementarnej taktyki policyjnych przesłuchań.

Bez słowa powrócił wzrokiem do kawałka stołu przed swoim nosem. Jego milczenie i odmowa wydania kolegów doprowadzi do tego, że wszyscy zostaną potraktowani jednakowo.

– Baxter, kto ci podbił oko? – Pani dyrektor się nie poddawała.

Baxter odjął od twarzy okład z lodem i położył go na stole. Lód zrobił swoje i opuchlizna nieco skłęsa. Miał już na końcu języka „nie wiem”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Oczywiście, że wiedział, i kłamanie w tej sprawie nie miało sensu. Najlepiej zacisnąć zęby, jak Theo, i jakoś to przetrwać.

Dyrektorka odczekała dłuższą chwilę. Atmosfera w pokoju była aż gęsta od emocji i wiszących w powietrzu kłopotów. Żaden z chłopców

nie był nigdy wcześniej zawieszony, choć Woody i Baxter byli już dwukrotnie na cenzurowanym.

Do pani Gladwell dotarło z samego rana, że internet aż huczy od plotek o aresztowaniu Theo i grożącej mu sprawie sądowej za kradzież. Pokazano jej też zdjęcie wysłane z serwera GashMail i w związku z nim miała zamiar w ciągu dnia wezwać Theo i zaoferować mu swoją pomoc. Zamiast tego stanęła teraz przed niemiłą koniecznością zawieszenia jego i pozostałej trójki.

– Sądzę, że Baxter albo Griff powiedzieli coś na temat kłopotów Theo z prawem. Że mają go aresztować lub coś w tym rodzaju. Theo i Woody są z jednej klasy i się przyjaźnią, więc myślę, że Woody się wtrącił i doszło do bójki. Tak było, Griff?

Griff podskoczył, jakby ktoś wymierzył mu policzek, ale szybko się opanował i nie odpowiedział. Ani słowa. Zmrużył tylko oczy, zacisnął zęby i uparcie milczał.

Dyrektorka jeszcze przez chwilę czekała, a zmarszczka między jej oczami stopniowo się wygładzała. Chłopcy odgrywają przed nią komedię, więc zrewanżuje się tym samym.

– Baxter?

Baxter nerwowo postukał palcami w stół, ale nic nie powiedział.

– Chłopcy, możemy tu siedzieć cały dzień – powiedziała.

Stojący za jej plecami pan Mount starał się nie uśmiechać. W duchu podziwiał chłopców, że wzajemnie się kryją i są gotowi wszyscy ponieść karę.

– Panie Mount, zechce pan wyprowadzić Baxtera, Griffa i Woody'ego na korytarz – zarządziła pani dyrektor. – Chcę porozmawiać z Theo w cztery oczy.

Cała trójka bez słowa wstała od stołu i wyszła za panem Mountem

z sali. Drzwi się za nimi zamknęły i Theo poczuł się nagle strasznie samotny.

– Spójrz mi w oczy, Theo – poprosiła cicho dyrektorka. Theo przeniósł na nią wzrok. – Wiem, że masz za sobą trudny tydzień. Czujesz się tak, jakby ktoś się na ciebie uwziął. Policja też się ciebie czepia. Ktoś próbuje cię zrobić w to włamanie. Ktoś cię prześladowa. Ktoś na ciebie nastaje. Ktoś zrobił zdjęcie tobie i twoim rodzicom przed komisariatem i twoja twarz trafiła do internetu. Opowiadają o tobie jakieś bzdury. To wymknęło się spod kontroli. Wszystko to rozumiem, Theo. Jestem po twojej stronie i mam nadzieję, że o tym wiesz.

Theo zmusił się do lekkiego skinięcia głową.

– I jestem pewna, że to nie ty zacząłeś bójkę. Chciałabym, żebyś mi dokładnie opowiedział, co się naprawdę wydarzyło.

– Wziąłem udział w bójce – powiedział Theo.

– Ale to ty ją zacząłeś?

– Wziąłem udział w bójce, a bójkę w szkole są wbrew regulaminowi. – Miał ochotę odwrócić wzrok, udało mu się jednak utrzymać go na twarzy pani dyrektor. Wyglądała na zawiedzioną jego słowami, może nawet zranioną, i Theo poczuł się paskudnie. Uważał ją za swojego sprzymierzeńca, za szkolny autorytet, który stawał po jego stronie, a on tak się odpłacał.

Po pełnej oczekiwania i napięcia ciszy dyrektorka odezwała się zrezygnowana:

– To znaczy, że mi nie powiesz, co się wydarzyło, tak?

Theo pokręcił głową. Bolała go jeszcze bardziej, kiedy nią poruszał.

I wtedy padło najgorsze pytanie:

– A co powiedzą twoi rodzice, gdy do nich zadzwonię i powiem, że

zawiesiłam cię za bijatykę w szkole?

– Nie wiem – wydusił, drętwiejąc na samą myśl. Stanięcie przed obliczem rodziców będzie czymś znacznie gorszym niż kopniak w głowę. Poczul nagłe ukłucie w żołądku i oczami wyobraźni zobaczył ich spojrzenia.

– Dobrze, możesz wyjść.

Theo zerwał się z krzesła i bez chwili zastanowienia ruszył do drzwi. Stojąc w progu, zobaczył pozostałych trzech chłopców i błyskawicznie przejechał palcem wskazującym po ustach. Moje usta były zamknięte. Nikogo nie wsypałem, wy zróbcie to samo.

Następny był Baxter. Wrócił do sali i podszedł do stołu, jakby szedł na skazanie.

– Czy powiedziałeś coś Theo na temat jego kłopotów? – spytała pani dyrektor.

Brak odpowiedzi.

– Dokuczałeś mu lub go przezywałeś?

Brak odpowiedzi.

– Czy to Woody uderzył cię w twarz?

Brak odpowiedzi.

– A może Theo?

Cisza.

– Wyjdź i przyślij tu Woody'ego.

Baxter stanął w progu, spojrzął na pozostałych trzech i przejechał palcem po ustach. Nikt nie sypie.

Woody udał się na sesję grillowania przez panią dyrektor, a pozostała trójka usiadła na drewnianej ławce pod czujnym okiem pana Mounta, któremu naprawdę było ich żal. Uważał, że to fajne chłopaki, i był zdania, iż z zawieszenia nic dobrego nie wyniknie. Ale

jak regulamin, to regulamin.

Z całej czwórki Woody był najtwardszy i mimo starań pani dyrektor odmówił wszelkich odpowiedzi. Na pytanie, czy to on uderzył Baxtera, odpowiedział:

- Wyłącznie nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.
- Bardzo śmieszne, Woody. Wydaje ci się, że to jest zabawa?
- Nie.
- To ty uderzyłeś pierwszy?
- Odmawiam odpowiedzi, które mogą mi zaszkodzić.
- Wynoś się stąd.

Najsłabszym ogniwem był Griff, ale gdy i on przetrwał sesję pytań, nie odzywając się ani słowem, pani dyrektor się poddała i wezwała wszystkich czterech chłopców z powrotem do sali.

– Jak sobie chcecie. Zawieszam was wszystkich na jeden dzień za udział w bójce i na drugi dzień za odmowę współpracy. Dziś jest czwartek, wasza kara działa dziś i jutro. Wszyscy zameldujecie się w szkole w poniedziałek i wtedy zacznie się trzydziestodniowy okres próby. Jakikolwiek wykroczenie w tym okresie spowoduje tygodniowe zawieszenie.

Perspektywa utraty lekcji przez dwa dni nie była dla Theo czymś przerażającym, gorzej będzie z koniecznością wyjaśnienia tego rodzicom. Przyszło mu nawet do głowy, żeby zacząć od Ike'a. Pomyślał, że stryj może go pochwali za twardą postawę, a potem uprzedzi o wszystkim rodziców i w ten sposób złagodzi cios. Właśnie nad tym przemyślał, gdy pani dyrektor oznajmiła:

- Zadzwońię zaraz do twoich rodziców.



Godzinę potrwało ustalenie wszystkich detali zawieszenia i sporządzenie decyzji na piśmie. Przez ten czas chłopcy siedzieli przy stole w sali cichej nauki, wzajemnie się obserwując, podczas gdy znudzony pan Mount trwał w milczeniu u szczytu stołu. Raz tylko wyszedł, by przynieść sobie kubek kawy, i wtedy Baxter powiedział:

– Przepraszam, Theo.

– Nie ma sprawy – mruknął Theo.

Woody nie przeprosił.

Rodzice Woody’ego i Baxtera pracowali, a to znaczyło, że w ciągu dnia w ich domach nie ma nikogo. Pani dyrektor wyjaśniła, że obaj zostają „zawieszeni w szkole”, co znaczy, iż będą musieli przychodzić do szkoły rano i od ósmej czterdzieści do piętnastej trzydzieści przebywać w oddzielnych pomieszczeniach. Cały ten czas spędzą samotnie, a jedynym dozwolonym zajęciem będzie odrabianie dodatkowych zadań. Obowiązywać ich będzie zakaz korzystania z komórek, laptopów i czegokolwiek poza podręcznikami. Obiady też zjedzą samotnie w salach. Brzmiało to dużo gorzej niż dawne zawieszenie, w którego ramach uczeń dostawał tylko zakaz wstępu na teren szkoły. Matka Griffa nie pracowała, więc chłopiec mógł zostać w domu i wylegiwać się w łóżku, oglądać telewizję, bawić się z psem i robić, co mu się żywnie spodoba – oczywiście jeżeli rodzice nie nałożą na niego dodatkowych zakazów. Theo też miał gdzie się podziać. Mógł siedzieć w kancelarii Boone i Boone.

Matka była w sądzie i ze szkoły odebrał go ojciec. Siedząc w samochodzie, Theo zapytał:

– A co z moim rowerem?

– Później się nim zajmiemy – odparł ojciec, który był nadspodziewanie spokojny i opanowany, przynajmniej z pozoru.

– Co się stało? – zapytał po przejechaniu dwóch przecznic.
– Ale tylko między nami, tak?
– Co się stało, Theo? – powtórzył ojciec nieco ostrzej.
– Ale nie powtórzysz pani dyrektor, prawda? Nie mogę donosić na kolegów.

– Nie. Powiedz mi, co się stało.

Theo opowiedział całą historię. Kiedy się już otworzył, słowa popłynęły wartkim strumieniem i zrelacjonował wszystko ze szczegółami. Samochód stał już na małym parkingu za biurem, a on jeszcze nie skończył.

– Gniewasz się, tato? – zapytał.

– Znasz regulamin i go złamałeś – przypomniał surowo ojciec.

– To prawda, ale w tamtym momencie nie miałem wyboru.

– Też tak to widzę – powiedział pan Boone i zgasił silnik.

Rozdział 13

Theo siedział w swoim pokoju z Asesorem. Światło było zgaszone, a zasłony zaciągnięte. Smętnie dumał o tym, co go jeszcze czeka. Za parę godzin matka wróci z sądu i wtedy oboje z ojcem zamkną się w gabinecie i odbędą poważną naradę, jak to zwykle robią wstrząśnięci rodzice. A potem wezwą go na dywanik jak oskarżonego, któremu trzeba odczytać wyrok. Będzie słuchał ich nauk, a mama się rozpłacze. Zawieszony w prawach ucznia! Jak mógł im zrobić coś takiego? I dalej w tym stylu. Na samą myśl o tym już się czuł zmęczony.

Pierwsza reakcja ojca była dość pocieszająca. Nie zrobił mu awantury, ale ojciec z zasady unikał teatralnych gestów. Nie nakrzyczał na niego, ale Woods Boone był zbyt opanowanym mężczyzną, żeby krzyczeć. Nie wygłosił też żadnych gróźb i nie nałożył dodatkowych kar, ale Theo wiedział, że przed ukaraniem go rodzice najpierw wszystko wspólnie uzgodnią.

Jeszcze parę godzin temu nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby kiedyś być zawieszony. Nigdy nawet o tym nie pomyślał i teraz, odtwarzając w myślach przebieg całego zdarzenia, zastanawiał się, czy było warto. Nie lubił łamać przepisów. Nie podobało mu się również to, że zawiódł panią dyrektor i swojego wychowawcę. Przypuszczał, że rodzice uznają to za godne pożałowania. W dodatku

nie miał żadnej satysfakcji z samej bójkii – kotłowaniny rąk i nóg, podczas której wszyscy czterej starali się kopać, bić, drapać i wrzeszczeć na siebie, czemu część z obecnych uczniów przypatrywała się ze zgrozą, podczas gdy inni jeszcze podjudzali ich okrzykami.

Z drugiej strony odczuwał jednak coś w rodzaju dumy, że zdobył się na przyście z pomocą przyjacielowi, który miał przeciw sobie dwóch. Dostrzegł w oczach gapiów i kolegów z klasy błysk podziwu, że on, fałszywie oskarżony Theo Boone, rzucił się do walki w obronie swojego dobrego imienia i przyjaciela.

I to jakiego przyjaciela! Myśląc o tym, co się stało, Theo nie mógł powstrzymać uśmiechu. Podziwiał szybkość i odwagę, z jaką Woody przystąpił do uciszania tego pyskacza Baxtera. I coś mu mówiło, że jeszcze z nim nie skończył. Pewnie poczeka na dogodną okazję, dopadnie Baxtera poza terenem szkoły i przymknie mu drugie oko. Theo miał nadzieję, że więcej bójek już nie będzie, ale gdyby do jakiejś miało dojść, wolałby mieć Woody'ego w pobliżu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział Theo.

Do pokoju weszła Elsa. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i policzki mokre od łez. Zapaliła światło, objęła Theo i przytuliła.

– Tak mi przykro, Theo – załkała.

– Już dobrze, już dobrze – powiedział uspokajająco. Tego najbardziej się obawiał: wybuchów rozpaczii w wykonaniu bliskich. Dzielnie wytrzymał uścisk. – Wszystko w porządku. Przecież nic się nie stało, prawda? – dodał, czując narastające zniecierpliwienie.

Elsa odsunęła się i otarła oczy.

– Nie mogę w to uwierzyć – jęknęła. – Jesteś najmilszym dzieckiem

pod słońcem.

– Raczej nie. Najwyżej w pierwszej piątce. Elso, posłuchaj, naprawdę nic mi nie jest.

– Kto cię pobił?

– Nikt mnie nie pobił. Wdałem się w głupią bijatykę, nic więcej. Żadna sprawa.

Osuszyła sobie policzki chusteczką. Zaczynało do niej docierać, że jej współczucie nie jest zbyt mile widziane.

– Nadal cię kocham, Theo – powiedziała tak, jakby kogoś zabił.

– Wszystko w porządku, Elso, naprawdę wszystko w porządku. – I czy mogłabyś się już stąd wynieść? – dodał w myślach.

Elsa wyszła, a Theo ponownie zgasił światło i obaj z Asesorem powrócili do smętnego trwania w milczeniu, co, nawiasem mówiąc, było całkiem przyjemne. Minęło pięć minut i znów ktoś zapukał.

– Tak? – powiedział Theo, drzwi się wolno otworzyły i stanęła w nich Dorothy, sekretarka ojca do spraw nieruchomości. Zapaliła światło i spytała:

– Theo, wszystko u ciebie w porządku?

– Tak – odparł krótko, cierpiąc na myśl o tym, że Dorothy może się na niego rzucić i zacząć go obściskować, jakby mu było potrzebne jakieś fizyczne wsparcie.

– Nie mogę uwierzyć. Dlaczego cię zawiesili?

– Bo uczestniczyłem w bójce, po prostu. Bójki są wbrew regulaminowi.

– Tak, Theo, ale to na pewno nie ty zacząłeś.

Theo pokręcił głową i popatrzył w stronę okna. Ile jeszcze razy będzie musiał powtarzać to samo?

– Nieważne, kto zaczął. Bójka to bójka.

Zapadło niezręczne milczenie.

– No cóż, jeśli będzie ci potrzebna bratnia dusza, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Dzięki. – No pewnie, już lecę się zwierzać dorosłej kobiecie, która mogłaby być moją matką.

Dorothy wyszła i Theo zgasił światło. Odezwała się jego komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. Od April Finnemore.

Właśnie się dowiedziałam. U ciebie OK?

Jasne. Jestem w biurze. Nie mam lekcji. Jest spoko.

A rodzice?

Mama w sądzie. Tata nie za bardzo zły.

Komu dowaliłeś?

Nie wiem. Był duży kociotł.

Rany? Krew?

Theo nagle poczuł ochotę pochwalenia się swoimi wyczynami. Jak zwykle w takich przypadkach nieco podkoloryzował.

Rozwalona warga. Krew.

Straszne. Kiedy cię zobaczę?

Później. Teraz muszę się uczyć.

Raz jeszcze zanurzył się w swym zasepieniu, ale pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, Vince wszedł do pokoju i zapalił światło. Jego najście oznaczało, że cały personel kancelarii Boone i Boone zdecydował się przyjść i go pocieszyć. Oczywiście poza główną szefową, która miała wkrótce wrócić z sądu.

Vince był od wielu lat jej asystentem. Zajmował się zbieraniem

materiałów do prowadzonych przez nią spraw rozwodowych i nie zawsze było to przyjemne zadanie. Spędzał mnóstwo czasu poza biurem, śledząc klientki, szpiegując ich mężów i zapoznając się z okolicznościami. Theo już od dawna wiedział, że występujący o rozwód nie zawsze mówią prawdę swoim adwokatom i do zadań Vince'a należało sprawdzanie ich opowieści. Był trzydziestopięcioletnim kawalerem, fajnym gościem, któremu trafiła się brudna robota.

Elsa weszła do pokoju Theo z płaczem, Dorothy wyglądała tak, jakby miała lada chwila się rozplakać, ale Vince zachowywał się zupełnie inaczej.

– Tak trzymać, Theo – powiedział, opierając się z uśmiechem o drzwi. – Zdrowo mu przywaliłeś?

Theo też się w końcu uśmiechnął. Zdał już sobie sprawę, że będzie musiał setki razy powtarzać swoją opowieść, więc równie dobrze może ją trochę ubarwić.

– No – potwierdził z dumą.

– I bardzo dobrze. Słuchaj, dostałeś właśnie cenną lekcję. Przychodzi taki moment, kiedy trzeba walczyć bez względu na konsekwencje.

– Nie mogłem się wycofać – bąknął Theo.

– Zawieszenie to nic strasznego, byle tylko nie weszło ci to w krew. Ja też byłem zawieszony w szóstej klasie.

– Żartujesz.

– Naprawdę. Dorastałem w Northchester i stamtąd dojeżdżałem do szkoły. Był tam taki chłopak, Jerry Prater, prawdziwy łobuz, który się na mnie wziął. Mniej więcej raz w tygodniu dopadał mnie przed lekcjami na szkolnym boisku i dawał wycisk. Przewracał mnie, kopał,

dobierał się do pudełka z drugim śniadaniem. Zabierał tylko te lepsze rzeczy: chipsy, batony i kanapki z szynką, a dla mnie zostawiał jabłka i marchewki. Następnego dnia upatrywał sobie innego kolegę i robił to samo. Jerry chyba ciągle był głodny. W każdym razie dawał się nam wszystkim we znaki. Miałem starszego brata, chodził do liceum, i to on mi wytłumaczył, że tacy jak Jerry tylko udają osiłków, a naprawdę są tchórzami, i dopóki im się nie postawimy, będzie coraz gorzej. Brat mi podpowiedział, co mam zrobić. Schowałem drugie śniadanie do plecaka, a do pudełka nakładłem kamieni. Następnego dnia rano zobaczyłem Jerry'ego na boisku i ruszyłem prosto do niego. Już miał mi przywalić, ale się zamachnąłem i walnąłem go pudełkiem w twarz. Z całej siły. To był tak mocny cios, że rozciął mu skórę na policzku.

Jerry wrzasnął i padł na ziemię, a ja mu jeszcze dołożyłem parę kopów w głowę. Zgromadził się tłumek gapiów, przybiegł też nauczyciel. Chłopaka zabrali na pogotowie i założyli osiemnaście szwów, z czego dziesięć na policzku. Wszyscy zaczęli się na mnie wydzierać, mój tata przyjechał do szkoły i mnie zabrał. Wyjaśniłem mu całe zajście i przyjął to bez słowa. Mama się popłakała, ale matki zawsze płaczą. W każdym razie Jerry już nigdy więcej mnie nie zaczepił.

– To straszne. Na ile cię zawiesili?

– Na tydzień. Przez chwilę chodziłem w glorii bohatera, ale po pewnym czasie poczułem się z tym źle. Jerry Prater zasługiwał na nauczkę, ale teraz miał bliznę na twarzy. I to była moja ostatnia bójka w życiu, Theo. Postawiłem się łobuzowi, ale użyłem narzędzia. A należało użyć własnych pięści i niczego więcej. Do dziś czuję niesmak.

– Co się stało z tym Jerryem?

– Nie skończył szkoły, a potem wylądował w więzieniu. Nie miał większych szans. Ale ty postąpiłeś słusznie, więc nie siedź tu po ciemku i się nie zamartwiaj.

– Nie chcę, żeby mama na mnie krzyczała.

– Nie będzie krzyczała. Dobrze ją znam, Theo. Po jego wyjściu Theo usnął, więc Asesor wymknął się z pokoju, żeby poszukać czegoś do zjedzenia.



Podczas przerwy na lunch udali się we trójkę do sali konferencyjnej. Theo usiadł przy końcu onieśmielająco długiego stołu, a rodzice po bokach. Na talerzu przed nim leżała kanapka z sałatką z kurczakiem, ale nie miał na nią ochoty. Zupełnie stracił apetyt.

Mama się nie uśmiechała, ale też nie krzyczała. Widać było, że państwo Boone odbyli rozmowę za zamkniętymi drzwiami w sprawie zachowania syna i jego zawieszenia i pierwszy szok już minął.

– Theo, gdyby to się miało zdarzyć jeszcze raz – powiedziała spokojnie, pijąc mrożoną herbatę – to co byś zrobił inaczej?

Żując listek sałaty, Theo zastanowił się nad odpowiedzią. Pytanie było ciekawe.

– Nie jestem pewny, mamo. Nie mógłbym zrobić nic, żeby nie dopuścić do bójki, bo zaczęła się nagle. I nie mógłbym ich rozdzielić, bo Woody i Baxter naprawdę się na siebie rzucili. Kiedy Griff skoczył na Woody'ego, uznałem, że nie mam wyboru. Woody bił się za mnie. Jedyne, co mogłem zrobić, to starać się mu pomóc.

– A więc niczego byś nie zmienił w swoim postępowaniu?

– Chyba nie.

– Czy to znaczy, że ten incydent niczego cię nie nauczył?

– Uświadomił mi, że nie lubię się bić. Dostawanie w twarz i kopanie po głowie nie jest zbyt przyjemne. Jest u nas paru takich, którzy lubią wdawać się w bójki, ale ja do nich nie należę.

– Myślę, że to cenna nauka na przyszłość – wtrącił pan Boone, jedząc kanapkę.

Wyglądało na to, że pani Boone już szykuje się do wygłoszenia kazania, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do sali zajrzała Elsa.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszła policja.

– Po co? – spytał pan Boone. Theo najchętniej wczłogałby się pod stół.

– Chcą rozmawiać z Theo i jego rodzicami, oczywiście.

Detektywi Hamilton i Vorman znów się objawili.

Przerywając rodzinny lunch, usiedli po jednej stronie stołu i położyli przed sobą dużą białą kopertę. Boone'owie przesiedli się na drugą stronę.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy w lunchu – zaczął Hamilton. – Wstąpiliśmy, żeby z państwem porozmawiać, i okazało się, że Theo też tu jest. Został zawieszony?

– Owszem – odparła ostro pani Boone. Była wyraźnie poirytowana.

– Zawieszony za co?

– Chętnie panu odpowiem, jeśli mnie pan przekona, że to pańska sprawa.

Oczywiście to nie była ich sprawa i Hamilton poczerwieniał, a jego partner obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

Dalej, mamó, daj im popalić, pomyślał Theo. W towarzystwie dwojga adwokatów powinien być bezpieczny. Mimo to czuł ciarki na plecach i drżała mu ręka, więc wsunął ją pod siedzenie, żeby nie było

tego widać.

– Zapewne powód tej wizyty jest istotny – dodał pan Boone.

Vorman pochylił się do przodu.

– No cóż, tak, chcieliśmy porozmawiać z Theo o tej bejsbolówce, którą ukradziono z jego szafki w poniedziałek. Mógłbyś ją opisać, Theo?

Theo spojrział pytająco na matkę, potem na ojca. Skinęli przyzwalająco głowami. Proszę, możesz odpowiedzieć.

– Granatowoniebieska z czerwonym daszkiem, regulowanym paskiem i emblematem Twinsów z przodu.

– Wiesz może, jakiej była firmy?

– Nike.

– Jakieś charakterystyczne znaki na daszku?

– Moje inicjały, T.B., pod spodem daszka.

– Czym napisane?

– Czarnym markerem.

Vorman wolno otworzył kopertę, wyjął czapkę i przesunął ją po stole w stronę Theo.

– To ta? – zapytał.

Theo wziął bejsbolówkę do ręki, szybko obejrzał i kiwnął głową.

– Tak, proszę pana.

– Gdzie ją znaleźliście? – spytał pan Boone.

– W sklepie komputerowym Big Maca. W każdą środę wieczorem po zamknięciu przychodzi ekipa sprzątająca. Wczoraj podczas zmiatania jeden ze sprzątaczy wygarnął śmieci spod lady i tam ją znalazł. Złodziej włamał się do sklepu we wtorek około dwudziestej pierwszej i widocznie śpiesząc się, żeby ukraść to co chciał i szybko uciec, zgubił czapkę.

Theo przyglądał się swojej bejsbolówce, czując, że zbiera mu się na płacz. Jego ulubiona czapka nagle stała się dowodem obciążającym. To nie fair. Dowody przeciwko niemu się nawarstwiały. Z jakiegoś niepojętego powodu w uszach rozbrzmiał mu złośliwy okrzyk Baxtera: „Kryminalista! Kryminalista!”.

Jego rodzice na chwilę zaniemówili, Theo też nie miał ochoty się odzywać. Obaj detektywi przyglądali im się z wyrazem złośliwej satysfakcji, jakby chcieli powiedzieć: „Mamy was. Zobaczymy, jak teraz się z tego wywiniecie”.

Wreszcie pan Boone odchrząknął i powiedział:

– Wygląda na to, że złodziej jest przebiegły. Bardzo dokładnie zaplanował swoje przestępstwo, od razu z zamiarem wrobienia Theo. W poniedziałek ukradł mu czapkę, we wtorek podrzucił ją na miejscu przestępstwa, a w środę wrócił do szafki z ukradzionymi rzeczami.

– To jedna z możliwości – odrzekł Vorman.

– I może być prawdziwa. Ale jest też inna wersja, według której Theo we wtorek wieczorem ma na głowie czapkę, na przykład po to, by zakryć twarz daszkiem w chwili wejścia do sklepu. Wszystko to dzieje się około dziewiątej wieczorem, a wiemy, że o tej porze przebywał w tym rejonie miasta, co sam zresztą przyznał. Potem, pakując w pośpiechu tablety, laptopy i telefony komórkowe, gubi czapkę i sprzątacze ją znajdują. I oto jest. No i oczywiście są jeszcze pochodzące z kradzieży przedmioty, które znajdujemy w jego szafce w środę rano.

– Trochę trudno nam wykluczyć Theo jako potencjalnego sprawcę – dodał Hamilton.

– Bardzo trudno – potwierdził Vorman. – Tak naprawdę w większości spraw nie dysponujemy aż tak bogatym materiałem

dowodowym przeciwko podejrzanemu.

– I bardzo nas dziwi – kontynuował Hamilton – że nikomu nie zgłosiłeś kradzieży ze swojej szafki w poniedziałek. Kradzieże ze szkolnych szafek zdarzają się bardzo rzadko, a mimo to nikomu nic nie powiedziałeś. I nie podałeś nam żadnego przekonującego powodu takiego postępowania.

– Więc może w poniedziałek nie było żadnego włamania? Bo gdy przyłapaliśmy cię w środę ze skradzionymi tabletami w szafce, powiedziałeś, że ktoś się do niej włamał i je podrzucił. I żeby zabrzmiało to prawdopodobnie, uzupełniłeś swoją wersję stwierdzeniem, że już dwa dni wcześniej ktoś z niej coś ukradł – powiedział Vorman.

– Ale nie ma po tym żadnego śladu. Żadnego dowodu – dodał Hamilton.

– I tego tajemniczego złodzieja nikt w szkole nie widział. Trochę trudno uwierzyć, że stało się to w obecności osiemdziesięciu ósmoklasistów oraz kilkudziesięciu nauczycieli, ich asystentów i woźnych. I przy tłumach kręcących się po korytarzach. Aż trudno uwierzyć – rzekł Vorman.

– Powiedziałbym wręcz, że to bardzo mało prawdopodobne – powiedział Hamilton.

Theo robiło się niedobrze od tej słownej kanonady. Przymknął oczy, zacisnął zęby i zabronił sobie płakać.

– Nie wierzycie mojemu synowi? – odezwała się pani Boone. Zdaniem Theo nie było po co pytać. Oczywiście, że mu nie wierzyli.

– Powiedzmy tyle, że nadal prowadzimy dochodzenie – odrzekł wymijająco Vorman.

– Sprawdziliście, czy na czapce są odciski palców? – zapytał pan

Boone.

– Sprawdziliśmy. Uzyskanie dobrych odcisków z tkaniny jest bardzo trudne i nam też się nie udało. Nasi koledzy z laboratorium są pewni, że nie ma na niej żadnych odcisków. Wygląda na to, że złodziej używał rękawiczek i był bardzo ostrożny. Żadnych odcisków na tabletach, żadnych na czapce, żadnych na miejscu przestępstwa.

– Macie zamiar postawić Theo zarzuty? – spytała pani Boone.

– Jeszcze nie podjęliśmy decyzji – odrzekł Hamilton. – Ale można powiedzieć, że sprawy zmierzają w tym kierunku.

Państwo Boone przełknęli tę uwagę w milczeniu. Pan Boone wypuścił z płuc powietrze i wbił spojrzenie w sufit, pani Boone zapisała coś w notatniku. Theo nadal walczył z cisnącymi się do oczu łzami. Wiedział, że jest niewinny i że mówi prawdę, ale policja mu nie wierzy. Chciałby mieć pewność, że przynajmniej rodzice nie stracili do niego zaufania.

Vorman przerwał milczenie kolejną szokującą wiadomością:

– Chcielibyśmy przeszukać państwa dom.

Państwo Boone'owie aż podskoczyli.

– Po co? – prychnął pan Boone.

– Szukamy dalszych dowodów – odparł Vorman. – Reszty skradzionych rzeczy.

– Nie możecie nas traktować jak pospolitych przestępców – zachnęła się pani Boone. – To niedopuszczalne.

– Nie wyrażamy zgody na przeszukanie – dodał pan Boone.

– Niepotrzebna nam wasza zgoda – powiedział Vorman ze zjadliwym uśmieszkiem. – Mamy nakaz przeszukania. – Wyjął z kieszeni marynarki kilka kartek i przesunął je po stole. Pani Boone poprawiła okulary i przeczytała po cichu dwustronicowy dokument.

Skończyła i podała mężowi. Theo wierzchem dłoni otarł łzę.

Rozdział 14

Przez następne pół godziny spierali się o szczegóły. Atmosfera przy stole była napięta, a wymiana zdań między detektywami a rodzicami Theo pełna wzajemnych uszczypliwości. Ostatecznie uzgodniono, że tego dnia nikt z rodziny Boone nie wróci do domu przed siedemnastą, kiedy to detektywi zjawią się ze swoją ekipą i przystąpią do przeszukania.

Theo udało się jedynie wtrącić: „Nic nie znajdziecie. Nic tam nie ma”, bo rodzice od razu kazali mu być cicho.

Po wyjściu Hamiltona i Vormana chłopiec mógł się wreszcie odezwać i zapewnić rodziców, że w żadnym sensie nie ma nic wspólnego z tym włamaniem i przeszukanie jego rzeczy będzie czystą stratą czasu. Wszyscy troje byli zaskoczeni takim obrotem sprawy. Theo nigdy nie widział rodziców tak zmieszanych, może nawet wystraszonych. Uzgodnili, że zwrócą się o pomoc do zaprzyjaźnionego adwokata od spraw karnych, i pani Boone wyszła z sali konferencyjnej, by do niego zadzwonić.

O czternastej pan Boone i Theo pojechali do szkoły na rozmowę z dyrektorką. Theo przeprosił, że wziął udział w bójce, a jego tata zapewnił, że oboje z żoną rozumieją jej decyzję o zawieszeniu Theo i nie mają żadnych zastrzeżeń. Byli oczywiście zawiedzeni zachowaniem syna, ale popierali stanowisko pani dyrektor. Na koniec

Theo poszedł po swój rower, stwierdził, że obie opony są całe, i pojechał na rowerze do kancelarii.

Przez resztę popołudnia rodzice byli zajęci rozmowami z klientami i załatwianiem pilnych spraw. Siedzieli w swoich gabinetach i mogło się wydawać, że zapomnieli o sprawie Theo. Elsa, Vince i Dorothy też byli zavaleni papierami, które przykuwały ich uwagę bardziej niż zajmowanie się trzynastolatkiem, choć być może Theo był tylko przeczulony na swoim punkcie. Ostatecznie schował się z Asesorem w swoim pokoju i spróbował zabrać do lekcji, jednak bez rezultatu. Nie mógł się uwolnić od myśli o Spike'u Hocku, chłopcu z sąsiedztwa, którego w dziewiątej klasie przyłapano na handlu narkotykami i zamknięto na bardzo trudne osiemnaście miesięcy w odległym o ponad trzysta kilometrów zakładzie karnym dla nieletnich. Choć Theo nie znał Spike'a osobiście i nigdy nie zamienił z nim słowa, dotarło do niego wiele przerażających opowieści o życiu za stalową siatką, zwieńczoną zwojami drutu żyłkowego.

O rządzących wewnątrz gangach, bijatykach, okrutnych strażnikach, o całej długiej liście sposobów nękania osadzonych. Spike już nigdy się z tego nie otrząsnął i po zwolnieniu wrócił na ulicę. Theo był w sądzie świadkiem tego, jak siedemnastoletni Spike – już jako dorosły – zostaje skazany na dwadzieścia lat więzienia za cały katalog przestępstw. Spike sypał swoich współników, błagał o litość i zrzucał winę za swoje występki na straszne doświadczenia podczas pobytu w zakładzie karnym dla nieletnich.

Spike był ulicznym twardzielem, Theo nie. Był miłym grzecznym chłopcem z dobrej rodziny, gorliwym skautem i piątkowym uczniem z licznym gronem przyjaciół. Jak mógłby przetrwać zamknięty pod jednym dachem z gangami bezwzględnych oprychów? Bez rodziców,

przyjaciół i Asesora? Był sparaliżowany strachem i nie mógł myśleć o niczym innym. Wyciągnął się na niewielkim legowisku Asesora, wtulił w jego sierść i szczęśliwie usnął.



Obudził go dźwięk telefonu. Dzwoniła April Finnemore.

– Theo, co się z tobą dzieje? – spytała, a w jej głosie słychać było zdenerwowanie.

– Jestem w biurze – odrzekł, podnosząc się z legowiska. – A co jest?

– Jestem w sądzie zwierzęcym z mamą i panną Petunią. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Jestem trochę unieruchomiony.

– Przestań, Theo. Naprawdę się boimy i jesteś nam potrzebny. To nie potrwa długo.

– Nie obiecywałem, że jej pomogę.

– Wiem, Theo, wiem. Ale jest naprawdę zdenerwowana i potrzebuje rady. Theo, proszę cię. Nie stać ją na prawdziwego prawnika i... i już od godziny płacze. Proszę cię.

Theo zastanawiał się przez chwilę. Nikt mu właściwie nie kazał siedzieć w pokoju. Wszyscy byli bardzo zajęci i pewnie nawet nie zauważą, że wyszedł.

– No dobra – rzucił i zamknął klapkę komórki. – Zostań, Asesor – rozkazał. Wymknął się przez tylne drzwi, obiegł budynek od frontu i po cichu wsiadł na rower. Dziesięć minut później ustawiał rower w stojaku przed gmachem sądu.

Panna Petunia hodowała kwiaty i zioła na działce za swoim domem, stojącym tuż za granicami miasta. W każdą sobotę rano od marca do października wozila swoje plony na targ rolny w parku Levi

nad rzeką, dołączając do licznego grona rolników, ogrodników, hodowców kwiatów, rybaków, wytwórców produktów mlecznych i zwyczajnych handlarzy, którzy wystawiali swój towar w budkach i na straganach stojących w równych rzędach na targowisku podzielonym na małe, dokładnie wymierzone działki. Panna Petunia handlowała kwiatami i ziołami od lat i dzięki temu zajmowała jedną z najlepiej położonych działek, tuż obok wejścia na targ. Sąsiedni stragan należał do May Finnemore, ekscentrycznej matki April, która wytwarzała i sprzedawała kozi ser. Panna Petunia też była trochę dziwna i z biegiem lat obie kobiety bardzo się zaprzyjaźniły.

Targ rolny był bardzo popularny wśród mieszkańców Strattenburga i w pogodne sobotnie przedpołudnia spotykało się na nim pół miasta. Kupić tu można było praktycznie wszystko do jedzenia. Wielką popularnością cieszył się też fast food Crispino's Tortilla Hut, gdzie już od dziesiątej rano ustawiały się długie kolejki, kawałek dalej Martha Lou sprzedawała na wagę „słynne na cały świat” pierniczki i do niej też zawsze ciągnęły tłumy. Dla wielu tutejszych handlarzy zyski ze sprzedaży stanowiły jedyne źródło utrzymania i istniała długa lista oczekujących na zwolnienie się miejsca na stragan.

Jako że pani Boone nie spędzała dużo czasu w kuchni, rodzina Boone'ów nie należała do stałych klientów targu. W sobotnie przedpołudnia pan Boone z synem woleli spędzać czas na polu golfowym, rozgrywając osiemnastodołkową partię, którą zaczynali o dziewiątej i kończyli lunchem o trzynastej. Dla Theo był to dużo atrakcyjniejszy sposób spędzania czasu niż targowanie się o cenę pomidorów czy warzywnych burgerów.

Kłopoty panny Petunii z prawem dotyczyły jej ukochanej lamy imieniem Lucy. April wspomniała o tym dzień wcześniej podczas

lunchu, ale Theo miał wystarczająco dużo własnych zmartwień na głowie, by się tym przejąć. Mimo to na prośbę April wygrzebał stosik miejskich przepisów i rozporządzeń na temat trzymania zwierząt, przekazał April i uznał swój udział w sprawie za zakończony.

Czując się jak człowiek naznaczony, będący obiektem plotek w całym mieście, a już szczególnie w sądzie, Theo wślizgnął się cichaczem bocznymi drzwiami i zbiegł tylnymi schodami. Wydział Sądu do spraw Zwierząt, zwany powszechnie sądem zwierzęcym, mieścił się w podziemiach, czyli miejscu odpowiednim dla najmniej istotnego wydziału sądu w mieście. Szanujący się prawnicy unikali go jak ognia i petenci stający przed nim najczęściej reprezentowali sami siebie, i to ta specyfika pracy sądu najbardziej pociągała Theo. Tak było zazwyczaj, dziś jednak perspektywa wystąpienia w sądzie zupełnie go nie cieszyła.

Po raz pierwszy w życiu słowo „sąd” skojarzyło mu się z miejscem, którego wolałby uniknąć.

Otworzył drzwi do sali rozpraw i wszedł. Przez środek biegło zaśmiecone przejście, po obu stronach stały rzędy składanych krzeseł. Na krzesłach po prawej Theo dostrzegł April, jej matkę May i jeszcze jedną kobietę, która musiała być panną Petunią. Kobieta miała strzechę fioletowych włosów i babcine okulary w jasnopomarańczowych okrągłych oprawkach. April mówiła o niej, że jest „jeszcze dziwniejsza od matki”.

Theo usiadł i zaczął się naradzać z kobietami.

Sędziego Yecka nie było jeszcze za stołem sędziowskim i w sali siedziało kilka osób czekających na jego przybycie. Jedną z nich był Buck Boland, znany także jako Buc Buck. Jak zwykle miał na sobie przyciasny brązowy drelich z naszywką ALL-PRO SECURITY. Buck nie

rozstawał się z nim i nosił go zawsze i wszędzie, w pracy i poza nią. Miał go na sobie także w miniony poniedziałek, gdy Theo próbował przemknąć na rowerze przez jego podwórko, a on przytrzymał mu rower i zaczął grozić, wcześniej zaś rzucił w niego kamieniem. Buck dojrzał Theo i obrzucił tak wściekłym spojrzeniem, jakby chciał go udusić.

Wiekowa protokolantka sędziego Yecka siedziała już przy końcu stołu sędziowskiego i walczyła z sennością, rozwiązując krzyżówkę. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i do sali wkroczył sędzia Yeck. Poleciał zebrany nie wstawać i usiadł za stołem. Nikt zresztą nawet nie drgnął, żeby wstać. Formalności związane z otwarciem sesji sądu zwierzęcego, zwanego przez niektórych kocim sądem, zostały szybko dopełnione i sędzia przystąpił do pracy. Był ubrany w swój zwykły roboczy strój – dżinsy, komandoskie buciory, koszulę bez krawata i wytartą sportową marynarkę – i zachowywał się w zdecydowanie swobodny sposób. Kiedyś pracował w firmie prawniczej, ale sobie nie radził i został z niej zwolniony. Przewodniczył sądowi zwierzęcemu tylko dlatego, że nikt inny nie chciał tego robić.

– Proszę, proszę – rozpoczął z uśmiechem. – Znowu witamy pana Boone’a.

Theo wstał i się uklonił.

– Witam, panie sędzio. Zawsze miło pana widzieć.

– I wzajemnie. Kto jest tym razem pańskim klientem?

– Panna Petunia Plankmore, właścicielka zwierzęcia.

Sędzia zajrzał do papierów, przez chwilę czytał, po czym uniósł głowę i spytał:

– A kto to jest pan Boland?

– To ja – sapnął Buck.

– Doskonale. Niech strony podejną, spróbujemy coś poradzić.

Theo znał procedurę. Razem z panną Petunią wstali z krzeseł, przeszli przez wąską bramkę w barierce i usiedli przy stole w pobliżu ławy sędziowskiej. Buck poszedł w ich ślady, siadając najdalej, jak się dało. Gdy wszyscy znieruchomieli, sędzia Yeck przemówił:

– Panie Boland, to pan złożył skargę na pannę Petunię, zatem zaczniemy od pana. Proszę nie wstawać i opowiedzieć nam, co się stało.

Buck nerwowo się rozejrzył i zaczął.

– Znaczy się, panie sędzio, pracuję w firmie All-Pro Security i mamy kontrakt na pilnowanie targowiska.

– Dlaczego jest pan uzbrojony? – przerwał mu ostro sędzia.

– Jestem stróżem porządku.

– To mnie nie obchodzi.

– I mam pozwolenie.

– To też mnie nie obchodzi. Nie zezwalam na noszenie broni w moim sądzie. Proszę odpiąć pistolet.

Buck chwycił za kaburę, odczepił ją od paska i położył na stole.

– Tu, koło mnie – burknął sędzia i stuknął palcem w swój stół. Buck podszedł niepewnym krokiem i położył broń we wskazanym miejscu. Pistolet był ogromny.

– Proszę mówić dalej.

– No i znaczy się, moja robota polega na pilnowaniu bezpieczeństwa na targowisku. Jest nas tam dwóch, ja i Frankie. On ma pod sobą część zachodnią, ja pilnuję od przodu. A ta tu panna Petunia ma stragan zaraz koło wejścia. Handluje kwiatami i ziołami i za budką ma mały placzyk, tam trzyma tą swoją lamę.

– Lamę Lucy? – upewnił się sędzia Yeck.

– Tak jest, panie sędzio. Dwie soboty temu przechodziłem obok jej straganu jak zawsze, bo wie pan, to należy do moich obowiązków, kiedy nagle ta lama wychodzi i się na mnie gapi. Mamy oczy mniej więcej na tej samej wysokości, znaczy się ta lama i ja, iw pierwszej chwili pomyślałem, że chce mnie pocałować.

– Lamy całują ludzi? – zdziwił się sędzia Yeck.

– To jest bardzo łagodna lama i kocha ludzi. Większość ludzi – wyrwało się pannie Petunii.

Sędzia obrzucił ją łagodnym spojrzeniem, ale twardo powiedział:

– Do pani zaraz dojdziemy. Proszę się nie odzywać.

– Przepraszam, panie sędzio.

– Proszę kontynuować.

Buck lekko wciągnął swój wydatny brzuch i mówił dalej:

– Tak, panie sędzio, lamy całują ludzi, najlepiej małe dzieci. Podług mnie to głupota, ale zwykle stoi tam parę osób, żeby się jej przyglądać, i czasem ona jakoś tak się pochyła i kogoś całuje.

– No dobrze, ustaliliśmy, że lama Lucy lubi całować ludzi. Proszę mówić dalej.

– Tak, panie sędzio. Znaczy się, jak już powiedziałem, ta lama do mnie podeszła i przez chwilę na siebie patrzyliśmy. A potem ona nagle zmarszczyła nos, czyli że niby nie jest zadowolona, odchyliła łeb do tyłu i splunęła mi w twarz. I nie żeby tylko parę kropel, ale bardzo obficie. Taką wielką, lepką, śmierdzącą gulą śliny.

– Lamy także plują na ludzi? – spytał rozbawiony sędzia Yeck.

– O tak, panie sędzio, i zrobiła to nagle. Nie miałem pojęcia, co się święci.

Matka April, May Finnemore, była krzykliwą osobą o dość prostackich manierach i często zdarzało jej się z czymś wyskoczyć.

Teraz parsknęła głośnym śmiechem, nie próbując się nawet powstrzymać.

– Spokój! – Sędzia Yeck spojrzał na nią surowo, choć widać było, że sam z trudem tłumi śmiech. – Proszę kontynuować, panie Boland.

– Dobra. Przyglądała się temu gromadka dzieciaków i myślę, że wszyscy wiedzieli, że ta lama pluje, bo jak tylko na mnie splunęła, wszyscy ryknęli śmiechem. To było bardzo krępujące i strasznie się wkurzyłem, więc jak tylko obtarłem sobie twarz, to podchodzę do panny Petunii i jej mówię, co się stało, a na to ona: „Widać Lucy pana nie lubi”. No to jej mówię: „Nie obchodzi mnie, czy ona mnie lubi, czy nie, nie wolno jej pluć na ludzi, i to na pracowników ochrony”. Ale panna Petunia nawet mnie nie przeprosiła ani nic. Mi się nawet zdaje, że uznała to za śmieszne.

– Czy ta lama jest na uwięzi albo za jakimś ogrodzeniem? – spytał sędzia Yeck.

– Nie, panie sędzio, wcale nie. Tak się tylko pilnuje budki panny Petunii. Zawsze jest koło niej gromada dzieciaków, które ją głaszczą i się przymilają. Chwilę porozmawialiśmy i doszłem do wniosku, że właścicielka nic w tej sprawie nie zrobi, więc postanowiłem odejść i trochę ochłonać i umyć sobie twarz. Ale cały czas miałem tą lamę na oku i mi się zdaje, że ona też się na mnie gapiła. Do moich obowiązków należy pilnowanie bramy na targowisko. Czasem się zdarza, że ludzie próbują wyjść i wynieść towar bez zapłacenia, więc muszę pilnować porządku, wie pan, jak jest, panie sędzio, nie?

– Oczywiście.

– No więc jakieś pół godziny później robię, co do mnie należy, i znów przechodzę obok budki panny Petunii. Idę i nic nie mówię do niej ani do jej lamy, tylko gadam z panem Dudleyem Bishopem

i wtedy nagle coś czuję za plecami. On przestał mówić, ja się odwróciłem i to była znów ta lama. Znowu się na mnie gapiła i znów splunęła mi prosto w twarz. Było tego paskudztwa tak samo dużo jak za pierwszym razem. Dudley tu jest jako świadek.

Siedzący na składanym krzeselku pan Dudley Bishop podniósł rękę.

– To wszystko prawda, panie Bishop? – spytał sędzia.

– Co do słowa – potwierdził świadek.

– Proszę kontynuować.

– No więc znaczy się, strasznie się zdenerwowałem. Ludzie się ze mnie śmiali i w ogóle, więc obtarłem twarz i podeszłem do panny Petunii. Wszystko widziała, ale wcale się tym nie przejęła. Powiedziała tylko, żebym się nie zbliżał do lamy, to wszystko będzie dobrze. Wyjaśniłem, że mam prawo wykonywać swoje obowiązki i to ona ma problem, nie ja. I żeby coś zrobiła z tą cholerną lamą. Ale ona nic. Znowu doszedłem do siebie i starałem się ją omijać, ale jak tylko podchodziłem do wejścia, lama od razu przestawała robić, co tam robiła, i wlepiła we mnie ślepią. Poszedłem do Franka i mu powiedziałem, żebyśmy się zamienili miejscami na resztę dnia, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że powinienem zadzwonić do wydziału opieki nad zwierzętami w magistracie i tak zrobiłem. Inspektor przyjechał na targowisko i porozmawiał z panną Petunią. Powiedziała mu, że nigdzie nie jest napisane, że lamy muszą być na uwięzi albo w jakimś ogrodzeniu, a ten inspektor przyznał jej rację. Znaczy się wychodzi na to, że lamom wolno biegać i pluć na ludzi.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że w Strattenburgu mamy tego rodzaju problem – powiedział sędzia Yeck.

– No więc mamy, panie sędzio. I to jeszcze nie koniec.

– Proszę kontynuować.

– Więc w ostatnią sobotę znów się to powtórzyło, tylko jeszcze gorzej. Trzymałem się z daleka od lamy i zajmowałem swoimi sprawami, jak najlepiej umiałem, tak żebyśmy się nawet nie spotykali wzrokiem. Nie odezwałem się ani słowem do panny Petunii ani nikogo koło niej. Ta druga pani, pani Finnemore, ma stragan obok budki z kwiatami i handluje kozim serem, i ona z kolei ma małpkę czepiaka. Kręci się toto koło straganu, przyciąga uwagę i pewno zwiększa sprzedaż.

– Co małpka ma wspólnego z lamą?

– Już mówię. Czasem siada jej na grzbiecie i ludzie mają zabawę. Dzieciaki się zbiegają i robią zdjęcia. Niektórzy rodzice nawet stawiają dzieci obok i robią im zdjęcia z lamą i małpą. No i taka jedna dziewczynka się wystraszyła i zaczęła krzyczeć.

Podeszłem bliżej, ale jak tylko lama mnie zobaczyła, poderwała się i ruszyła na mnie. Nie podeszłem nawet na dziesięć metrów, ale ona i tak mnie zaatakowała. Nie chciałem, żeby znów mnie opluła, więc się cofłem. Ale ona ruszyła na mnie z małpą na grzbiecie, jak z jakimś kowbojem. Jak tylko zobaczyłem, że lama nie odpuści, odwróciłem się i zacząłem uciekać. Ale im szybciej biegłem, tym ona szybciej mnie goniła. Słyszałem za plecami, jak małpa się wydziera, pewno z radości. Było koło ósmej, więc targowisko było pełne ludzi i wszyscy się śmiali. Nie wiedziałem, czy ta bestia chce mnie ugryźć, czy co. Pomyślałem nawet, żeby wyjąć splotkę i się obronić, ale było za dużo ludzi, a poza tym nie chciałem jej zabijać. Ganialiśmy alejkami po całym targowisku, ludzie się śmiali, małpa wrzeszczała no i...

Sędzia podniósł teczkę z aktami, by choć trochę zasłonić grymas wykrzywający mu twarz. Theo rozejrzał się po sali i stwierdził, że wszyscy mają rozbawione miny.

– To wcale nie jest śmieszne, panie sędzio – obruszył się Buck.

– Proszę kontynuować.

– No i na końcu się wywaliłem przed straganem z arbuzami Butcha Tuckera. I wtedy lama schyliła łeb i mnie opluła. Nie trafiła w twarz, ale zapaćkała mi całą koszulę. Butch też tu jest, jakby pan chciał to sprawdzić.

Butch podniósł rękę ze swojego miejsca na widowni.

– To wszystko prawda, panie sędzio. Byłem tam i widziałem – powiedział rozbawiony.

– Dziękuję. Proszę kontynuować.

Buck ciężko sapał, twarz mu poczerwieniała.

– Znaczący się w końcu wstałem i już byłem gotowy wpakować lamie kulkę, i może tej małpie też, ale wtedy akurat przybiegł Frankie i kijem przepędził lamę. Pewno wróciła na miejsce przy straganie. Tego nie wiem. Byłem za bardzo zdenerwowany. Musi pan coś z tym zrobić, panie sędzio. Mam prawo wykonywać swoją pracę i nie być atakowanym.

– Coś jeszcze?

– Chyba nie. To by było na tyle.

– Jakieś pytania do strony, panie Boone?

Theo uznał, że najlepiej będzie, jeśli jego klientka przedstawi swoją wersję wydarzeń. Z wcześniejszych doświadczeń wiedział, że sędzia Yeck nie jest zwolennikiem sztywnych procedur sądowych.

– Proponuję wysłuchać wersji panny Petunii – powiedział.

– Dobry pomysł. Panno Petunio, proszę przedstawić swoją wersję wydarzeń.

Panna Petunia wstała, gotowa bronić honoru Lucy.

– Może pani siedzieć – rzekł sędzia.

– Wolę stać.

– Więc proszę stać.

– Dziękuję, panie sędzio. Wszystko, co ten człowiek powiedział, jest prawdą, tylko że nie dodał paru istotnych szczegółów. Lamy plują wtedy, gdy czują się zagrożone lub nęcane i jest to u nich odruch obronny. Nie gryzą i nie kopią. To bardzo łagodne zwierzęta, które są z ludźmi od tysięcy lat. Są spokrewnione z wielbłędami. Wiedział pan o tym, panie sędzio?

– Nie wiedziałem.

– No więc są. To zdolne do ciężkiej pracy, przyjazne i łatwe w hodowli zwierzęta. Mam Lucy od dwunastu lat i to ona co sobotę o świcie ciągnie mój wóz na targ, bo mój samochód jest za mały i nie nadaje się do przewożenia kwiatów i ziół. Robi to dla mnie Lucy.

Sędzia Yeck uniósł rękę i spojrzał na Theo.

– Czy używanie lamy do ciągnięcia wozu ulicami miasta jest zgodne z miejskimi przepisami? – zapytał.

– Nie, Wysoki Sądzie – odparł Theo. – Ale panna Petunia nie mieszka w mieście. Jej dom znajduje się już za jego granicami, w okręgu wiejskim, a władze okręgowe nie zabraniają trzymania lam na przydomowych podwórkach.

– Dziękuję, panie mecenasie. Proszę kontynuować, panno Petunio.

– Kilka miesięcy temu wracałyśmy z Lucy do domu po targu i po drodze zatrzymał nas policyjny patrol. Z radiowozu wysiadło dwóch policjantów i zaczęło wypytywać. Zarzucili nam tamowanie ruchu i różne takie bzdury, ale podejrzewam, że byli po prostu ciekawi. To zdenerwowało Lucy, która poczuła się zagrożona.

– I co, opluła ich? – zapytał sędzia.

– Nie, panie sędzio.

– Jak często pluje na ludzi?

– Bardzo rzadko, panie sędzio. Jakiś rok temu przyszedł do domu inkasent, żeby odczytać stan licznika prądu, i nie dawał jej spokoju. Wtedy go opluła. Miał na sobie coś w rodzaju munduru. Wydaje mi się, panie sędzio, że Lucy nie lubi dużych mężczyzn w mundurach. Czuje się przez nich zagrożona. Nie zdarzyło się, żeby opluła kobietę albo dziecko, albo mężczyznę w zwykłym ubraniu.

– Należy jej się medal.

– A pan Boland nie zachował się wobec niej miło. Czasami zatrzymywał się koło nas i odstawiał waźniaka. Wymądrzał się, że Lucy powinna być na uwięzi albo zamknięta w zagrodzie, takie tam głupoty. Wydaje mu się, że rządzi całym targowiskiem. No więc częściowo sam jest sobie winien.

– To nieprawda, Wysoki Sądzie – zachnął się Buck. Jednak każdy od razu widział, jak się puszy z racji tego, że nosi mundur ochroniarza.

– Nie będzie tu żadnej pyskówki. Czy to już wszystko, panno Petunio?

– Chyba tak.

– Dobrze. Panie Boland, czego dokładnie pan ode mnie oczekuje?

– Znaczy się, panie sędzio, ona powinna trzymać tą swoją lamę w domu na podwórku, tak żeby nie mogła pluć na ludzi i napadać.

– Ależ panie sędzio – wtrącił się Theo. – Panna Petunia musi dowieźć kwiaty i zioła na targ, a żaden przepis nie zabrania używania lam do ciągnięcia wozów. Nakazanie mojej klientce, by zostawiała lamę w domu, byłoby niesprawiedliwe.

– Być może, panie Boone, ale coś w tej sprawie trzeba zrobić – rzekł sędzia Yeck. – Nie można dopuścić, żeby zwierzęta opluwały ludzi.

Pan Boland ma prawo wykonywać swoje obowiązki bez obaw, że zostanie napadnięty przez lamę. Zgadza się pan ze mną, panie Boone?

– Tak, zgadzam się, i w imieniu mojej klientki przekazuję panu Bolandowi wyrazy ubolewania z powodu zachowania jej lamy. – Wyrazy ubolewania wiele znaczyły dla sędziego Yecka. Theo o tym wiedział i wymógł zgodę panny Petunii, która początkowo się opierała. W końcu jednak Theo postawił na swoim.

Buck kiwnął głową na znak, że je przyjmuje, ale widać było, iż nie jest w pełni usatysfakcjonowany.

– Ma pan jakiś pomysł, panie Boone? – spytał sędzia Yeck.

– Spróbujmy czegoś takiego – powiedział Theo, wstając. – Niech w najbliższą sobotę pan Boland zamieni się miejscami z Frankiem, a ten niech zostanie poinstruowany, że ma nie zbliżać się do Lucy i wykonywać swoje zwykłe obowiązki. Jeśli Lucy zaatakuje też Frankiego, wtedy moja klientka zgodzi się na drastyczniejsze ograniczenie wolności zwierzęcia.

– Jakie, mianowicie?

– Wysoki Sądzie, Lucy nigdy w życiu nie była na uwięzi, ale moja klientka spróbuje ją wtedy uwięzić. Jednak panna Petunia jest pewna, że uda jej się porozmawiać z Lucy i ją przekonać, żeby nie była agresywna wobec dużych mężczyzn w uniformach.

– A jak duży jest ten Frankie? – zwrócił się sędzia do Bucka.

– Kurdupel.

Sędzia przeniósł wzrok na Theo.

– Panna Petunia rozmawia z Lucy? – upewnił się.

Panna Petunia wstała i ubiegła swojego adwokata.

– O tak, panie sędzio. Cały czas z sobą rozmawiamy. Lucy jest bardzo inteligentna. Myślę, że uda mi się ją namówić, żeby przestała

pluć.

– Panie Boland, co pan o tym sądzi?

Buck uznał, że nie osiągnie nic więcej, w każdym razie nie dziś, więc wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Można spróbować. Znaczy się, ja nie szukam zwady, panie sędzio, ale to bardzo krępujące.

– Nie wątpię. Zatem przyjmujemy taki plan działania, a jeśli się nie sprawdzi, w przyszłym tygodniu znów się tu spotkamy. Zgoda?

Wszyscy pokiwali głowami na znak, że się zgadzają.

– Zamykam sesję sądu – ogłosił sędzia Yeck.

Rozdział 15

Gdy tylko Theo opuścił gmach sądu, znów dopadła go rzeczywistość. Przez krótką chwilę udało mu się zapomnieć o problemach i zanurzyć w niezwykłym świecie plujących lam. Panna Petunia była zachwycona, May Finnemore niezdarnie go uściskała. Co najważniejsze, jego biegłość sądownicza zrobiła wrażenie na April.

Ale zabawa szybko się skończyła i teraz Theo czekały już tylko problemy. Został fałszywie oskarżony, ktoś się na niego zawziął, a teraz jeszcze wciągnięto w to jego rodzinę. Myśl o policjantach, którzy będą szperali w każdym zakamarku domu, była przerażająca. Co sobie pomyślą sąsiedzi?

A potem przyszła mu do głowy tak straszna myśl, że aż musiał na chwilę zsiąść z roweru i głębiej odetchnąć. Usiadł na pustej ławce na przystanku autobusowym i wbił wzrok w asfalt chodnika. Jeśli ktoś był na tyle przebiegły, by ukradzione przedmioty podrzucić do jego szkolnej szafki, dlaczego nie miałyby podrzucić czegoś w domu? Drzwi garażu były zwykle otwarte, za nim znajdowała się szopa na narzędzia ogrodowe, której nigdy nie zamykano. Jakiś drań mógł bez trudu wejść na teren ich posesji i ukryć jeszcze kilka skradzionych tabletów, telefonów komórkowych czy nawet laptopów.

Co będzie, jeśli policja znajdzie taką kryjówkę? Wtedy już wszystko będzie świadczyło przeciwko niemu! Theo zaczynał się obawiać, że

nawet jego rodzice mogą w pewnej chwili nabrać podejrzeń.

W końcu wsiadł na rower i ruszył w stronę biura. Wszedł przez tylne drzwi do swojego pokoju i znalazł Asesora śpiącego pod biurkiem. Na palcach przemknął korytarzem w stronę recepcji, nikogo po drodze nie spotykając. Elsa sprzątała już swoje biurko, szykując się do wyjścia. Była bardzo przygnębiona sytuacją i Theo po krótkiej rozmowie z nią poczuł się jeszcze gorzej.

Cyfry na zegarze zbliżały się do siedemnastej.



Policja czekała na ulicy przed posesją przy Mallard Lane 886, miejscem zamieszkania Woodsa i Marcelli Boone'ów i ich jedynaka Theo. Policjanci czekali w dwóch nieoznakowanych samochodach, za co państwo Boone byli im wdzięczni. Dwa radiowozy z kogutami i syrenami niewątpliwie wywołałyby sensację wśród sąsiadów.

Pierwszy przyjechał Theo na rowerze, wkrótce po nim zjawili się jego rodzice. Detektywi Vorman i Hamilton wysiedli z samochodu i przedstawili kolegów ubranych po cywilnemu, funkcjonariuszy Mabe'a i Jesco. Weszli do środka, pani Boone zaparzyła dzbanek kawy i wszyscy usiedli przy kuchennym stole. Pan Boone ponownie uważnie przeczytał nakaz przeszukania, po czym podał go pani Boone, która zrobiła to samo.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego konieczne jest przeszukanie wszystkich pomieszczeń w całym domu – powiedział pan Boone.

– Bo wcale nie jest konieczne – wtrąciła ostro pani Boone. Oboje byli wściekli, ale panowali nad sobą. Na razie.

– Też tak sądzę – zgodził się Hamilton. – Nie chcemy tu siedzieć przez całą noc. Chcemy tylko zajrzeć do pokoju Theo i może jeszcze

w parę miejsc. Także do garażu, do piwnicy i ewentualnie na strych.

– W moim pokoju nic nie ma – powiedział Theo. Stał w drzwiach, przysłuchując się rozmowie.

– Nie wtrącaj się, Theo – burknął ojciec.

– Chcecie przeszukać nasz strych? – zdziwiła się pani Boone, nalewając kawę do kubków.

– Tak – odrzekł Hamilton.

– To życzę powodzenia. Możecie nie ujść stamtąd z życiem.

– Mają państwo jakieś zabudowania gospodarcze? – spytał Vorman.

– Za garażem jest szopka na narzędzia – odparł pan Boone.

– Co w niej jest?

– Nie mam spisu rzeczy. To co zwykle. Kosiarka, wąż do podlewania, maszyna do pielenia, różne kłopoty.

– Zamykacie ją na klucz?

– Nigdy.

Theo nie wytrzymał i znów się wtrącił:

– Na strychu ani w szopie nie ma nic. Traciecie tylko czas. Macie niewłaściwego podejrzanego.

Spojrzało na niego sześć par oczu, ale odezwał się tylko ojciec:

– Wystarczy, Theo. Nie odzywaj się.

– Ale ja się z nim zgadzam – wtrąciła matka. – To strata czasu i pieniędzy. Im dłużej będziecie podejrzewali Theo, tym dłużej prawdziwy winny zostanie na wolności.

– Prowadzimy dochodzenie, proszę pani – przypomniał Hamilton. – To nasza praca.

W pokoju Theo zastali zdumiewający porządek. Rodzice naliczali mu punkty karne za niepołane łóżko, rozrzucone na podłodze rzeczy, zostawione w nieładzie książki. Punkty przekładały się na potrącenia

z tygodniowego kieszonkowego, więc nieporządek w pokoju oznaczał dla Theo wymierne straty finansowe. Uzgodniono, że pani Boone wejdzie z policjantami do pokoju syna i będzie świadkiem przeszukania. Rewizja trwała dziesięć minut i niczego nie znaleziono. Ekipa przeszła do sypialni dla gości, gdzie sprawdzono zawartość szaf, a potem do gabinetu. Pod czujnym spojrzeniem pani Boone funkcjonariusze zaglądali do szaf i na półki, ostrożnie obmacując wiszące w szafie rzeczy. Poruszali się niemal na palcach, jakby się bali, że mogą coś uszkodzić.

Po ich wyjściu Theo wraz z ojcem włączyli telewizor i obejrzelocalne wiadomości. Theo starał się sprawiać wrażenie spokojnego i zrelaksowanego, ale nie mógł przestać myśleć o szopie i o tym, jak łatwo byłoby podrzucić do niej łupy. Bolał go brzuch i najchętniej położyłby się do łóżka, ale trzymał się dzielnie. Tylko co będzie, gdy nagle usłyszy ich krzyk: „Jest! Znaleźliśmy! Mamy!”? Jego życie będzie skończone.

Pani Boone zaprowadziła ekipę do piwnic, gdzie przeszukali pralnię, pokój gier i pomieszczenie gospodarcze. Niczego nie znaleźli. Potem poszli na strych zavalony stertami niepotrzebnych rzeczy, które kiedyś i tak wylądują na śmietniku.

– Theo często tu bywa? – spytał Hamilton.

– Tylko jak ma do ukrycia jakieś łupy – mruknęła pani Boone i Hamilton postanowił już więcej o nic jej nie pytać.

Zagłądanie do pudeł i pojemników trwało blisko godzinę. Niczego nie znaleźli i przenieśli się do garażu, gdzie zajrzeli do kolejnego pomieszczenia gospodarczego i komórki z urządzeniami grzewczymi i klimatyzacyjnymi.

Korzystając z tego, że są sami, Theo zwrócił się do ojca:

– Mogę pójść do swojego pokoju, tato?

– Oczywiście.

Zanim wyszedł z pokoju, za plecami usłyszał głos ojca:

– Theo, chcę, żebyś wiedział, że mama i ja mamy do ciebie stuprocentowe zaufanie. Rozumiesz to?

– Rozumiem, tato. I dziękuję.

Theo wyciągnął się na łóżku w swoim pokoju i poklepał dłonią miejsce obok siebie. Asesor tylko na to czekał i natychmiast wskoczył na łóżko, łamiąc kategoryczny zakaz pani domu. Ale drzwi pokoju były zamknięte i Theo był bezpieczny, przynajmniej na razie. Słuchał dochodzących przez okno odgłosów zza domu, wiedząc, że ekipa przeszukuje szopę. Starał się zrelaksować i zapomnieć, że w jego pokoju przed chwilą buszowali policjanci.

Mijały minuty i nie rozlegały się żadne triumfalne okrzyki. W szopie niczego nie znaleziono i po dwóch godzinach przeszukiwanie zostało zakończone. Detektywi podziękowali państwu Boone za zrozumienie i współpracę (jakby ci mieli jakiś wybór) i opuścili posesję przy Mallard Lane.

Pani Boone zapukała do pokoju syna i Theo otworzył drzwi.

– Pojechali sobie – powiedziała, obejmując go. – Dobrze się czujesz?

– Nie, nie bardzo.

– Ja też nie. Posłuchaj, Theo. Jestem naprawdę dobrą prawniczką, podobnie zresztą jak ojciec. Jesteśmy zdecydowani cię chronić i dopilnować, żeby nic ci się nie stało, rozumiesz? Ci detektywi to przyzwoici ludzie, którzy tylko wykonują swoją pracę. W końcu odkryją prawdę i koszmar się skończy. Obiecuję, że to będzie szczęśliwe zakończenie.

– Skoro tak mówisz, mammo...

– Tatuś ma doskonały pomysł. Nie idziesz jutro do szkoły, więc pojedziemy na pizzę do Santo's.

Theo zmusił się do uśmiechu.

Już po drodze zapytał z tylnego siedzenia:

– Słuchajcie, słyszeliście kiedyś o plującej lamie?

– Nie – odrzekli zgodnie rodzice.

– No to coś wam teraz opowiem.

Rozdział 16

W piątek przed południem, gdy powinien siedzieć na lekcji wiedzy o społeczeństwie, Theo poczuł się znużony i przyznał w duchu, że brakuje mu szkoły. Mama była w sądzie, ojciec siedział w gabinecie, zagrzebany po uszy w papierach. Nikt w kancelarii nie miał dla niego czasu, poinformował więc Elbę, że jedzie odwiedzić Ike'a. Wzięła go w objęcia z taką miną, jakby za chwilę znów miała wybuchnąć płaczem. Theo aż mdliło od tego okazywanego mu współczucia.

Wsiadł na rower, Asesor pobiegł za nim i razem ruszyli ulicami Strattenburga, czujnie unikając ruchliwych ulic. Najmniej potrzebował teraz zatrzymania przez jakiegoś policjanta czy inspektora od wagarowiczów. Ulice były stale monitorowane i młodzież w wieku szkolnym zatrzymywano i doprowadzano przed oblicze sędziego w sądzie dla nieletnich. Theo czuł, że jego wizyty w sądzie mogą się w najbliższym czasie stać częstsze, niż to sobie kiedykolwiek wymarzył. A biorąc pod uwagę prześladowającego go w tym tygodniu pecha, mógł mieć niemal pewność, że ktoś się do niego przyczepi.

Udało mu się bez przygód dotrzeć do biura Ike'a i wbiec po schodkach do cudownie zagraconego gabinetu, gdzie jego lekko stuknięty stryj z trudem wiązał koniec z końcem. Wbrew wyglądowi zawalonego papierzyskami biurka i rodzinnej skłonności Boone'ów do

wyższej pracy Ike nie lubił się wysilać. Mieszkał samotnie w skromnym mieszkanku i jeździł starym spitfire'em z milionem mil na liczniku. Niewiele mu było potrzeba do życia, więc i zbytnio się nie starał. Szczególnie w piątki. Theo wiedział z doświadczenia, że w piątki koło południa większość adwokatów opada z sił. W sądzie robi się cicho i pusto, personel administracyjny idzie na dłuższą przerwę na lunch i wcześniej wymyka się do domu.

Ike nie był już adwokatem, ale chętnie tę tradycję kultywował. W piątki spał dłużej (zresztą robił to często także w inne dni tygodnia) i obijał się po biurze do południa, kiedy to schodził na dół na lunch do swoich Greków. Na dobry początek weekendu do lunchu Ike wypijał dwa duże kieliszki wina.

Theo i Asesor dotarli do biura o wpół do jedenastej i zastali Ike'a po trzeciej kawie w nastroju niemal euforycznym.

– Mam podejrzanego, Theo. Nie konkretną osobę, nie konkretne nazwisko, jeszcze nie. Ale mam pomysł i musimy to rozpracować. Kapujesz?

– Jasne, Ike.

– Ale najpierw chcę usłyszeć wszystko o tej bójce. Ze szczegółami. Opowiedz mi o każdym kopniaku, każdym ciosie i każdym rozkwaszonym nosie. Powiedz, że przyłożyłeś jakiemuś gnojowi prosto w gębę.

Ike siedział z nogami na biurku, eksponując stare brudne sandały i gołe stopy. Theo odsunął nogą krzesło, usiadł i też oparł nogi o biurko.

– No więc wszystko odbyło się bardzo szybko – zaczął, po czym wdał się w długą i dość szczegółową opowieść o przebiegu bójki. Słuchając,

Ike przez cały czas się uśmiechał, jak na dumnego stryjka przystało. Theo zbytnio nie koloryzował i oparł się pokusie uwypuklenia swoich walecznych umiejętności. Zakończył relacją z rozmowy z panią Gladwell.

– Bardzo dobrze, Theo – pochwalił go Ike. – Czasami człowiek musi zawalczyć. Potraktuj to zawieszenie jak honorową odznakę.

– Słyszałeś o przeszukaniu u nas w domu? – spytał Theo. Chciał się podzielić ze stryjem wszystkimi wydarzeniami ostatnich dni.

– Jakim przeszukaniu? – zdziwił się Ike. Theo i o tym mu opowiedział i Ike co chwilę z niedowierzaniem kręcił głową. By zakończyć weselszą nutą, Theo zapytał:

– A słyszałeś kiedyś o plującej lamie? – Ike też o tym nie słyszał i Theo szczegółowo zrelacjonował swoje wystąpienie w sądzie zwierzęcym.

Gdy już wszystko zostało opowiedziane, Ike zerwał się na nogi, rozprostował palce i oświadczył:

– No więc tak, Theo. Naszym zadaniem jest wytropienie osoby, która próbuje cię wrabiać, zgoda?

– Zgoda.

– Od dwóch dni o niczym innym nie myślę.

Powiedz mi, co już wiesz w tej sprawie?

– Niewiele. Tata jest przekonany, że to ktoś ze szkoły. Najprawdopodobniej któryś z uczniów, bo dorosłemu trudno byłoby dostać się do mojej szafki bez wzbudzania podejrzeń. Myśli, że jest w to zamieszana więcej niż jedna osoba.

– Absolutnie się zgadzam. Kto jest twoim podejrzanym numer jeden?

– Nie mam żadnych, Ike. Rodzice chcieli, żebym zrobił listę

wszystkich kolegów, którzy mogą mieć do mnie jakieś pretensje. Nie twierdzę, że jestem najbardziej lubianym uczniem w szkole, ale naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić kogoś, kto chciałby, po pierwsze, włamać się w poniedziałek do mojej szafki i coś z niej ukraść, po drugie, włamać się we wtorek w nocy do sklepu komputerowego, obrabować go i podrzucić tam moją bejsbolówkę, i po trzecie, znowu włamać się w środę do mojej szafki i podrzucić skradzione tablety – a wszystko po to, żeby mnie wsadzić do poprawczaka. Ktoś gdzieś naprawdę szczerze mnie nienawidzi, ale zupełnie nie wiem, kto to może być.

– To dlatego, że go nie znasz. Mogłeś go nawet nigdy nie spotkać. Może kiedyś go widziałeś, tylko o tym nie wiesz.

Ike krążył nerwowo po kawałku podłogi za biurkiem, drapiąc się po siwym zaroście i marszcząc w zamyśleniu twarz.

– No dobra – rzekł Theo. – Więc kto?

Ike raptownie usiadł, pochylił się nad biurkiem i wlepił w Theo rozjarzony wzrok.

– Twoi rodzice są adwokatami, i to dobrymi. Adwokaci przyjmują sprawy zlecane im przez ludzi w potrzebie. Często tak podenerwowanych i zdesperowanych, że wydają kupę forsy na dochodzenie swoich racji przed sądem. Ojciec zajmuje się nieruchomościami, co, jeśli mam być szczerzy, jest dość nudnym sposobem zarabiania na życie. Ma do czynienia z mnóstwem papierkowej roboty, musi się dogadywać ze sprzedającymi i kupującymi domy, biurowce, ziemię, wiesz, co mam na myśli.

– Wiem, że na pewno nie zostanę adwokatem od nieruchomości – mruknął Theo.

– Łebski chłopak. Ale mnie chodzi o to, że nie ma na karku

klientów w sytuacjach konfliktowych, rozumiesz?

– Rozumiem.

– W przeciwieństwie do niego twoja mama ma do czynienia wyłącznie z sytuacjami konfliktowymi, i to tymi najgorszego rodzaju. Zajmuje się rozwodami. Małżeństwami w stanie rozpadu. Mężami i żonami, którzy walczą o przyznanie opieki nad dziećmi, o to, komu przypadnie dom, samochody, meble, pieniądze na koncie. Oskarżają się wzajemnie o zdrady, złe traktowanie, zaniedbywanie obowiązków. Czasem są to straszne rzeczy, Theo. Nigdy nie miałem zdrowia do spraw rozwodowych. Ale twoja matka jest jedną z najlepszych specjalistek od tych spraw. Zawsze nią była.

Theo słuchał, kiwając głową i czekając. Wszystko to znał na pamięć.

Ike złączył palce obu dłoni.

– Rozwód to dla dziecka koszmar, Theo. Dwoje ludzi, których najbardziej kocha, nagle nie może z sobą żyć. Już się nie kochają, często wręcz nienawidzą, i rozstając się, traktują dziecko jak nagrodę, o którą się walczy. Dla dziecka to bardzo przygnębiające, niezrozumiałe i bolesne przeżycie. Dziecko nie wie, któremu z rodziców przypadnie opieka nad nim, więc nie wie też, gdzie i z kim zamieszka. Często rozwodzące się małżeństwo musi sprzedać rodzinny dom. Czasami dziecko jest emocjonalnie bardziej związane z jednym z rodziców i musi wybierać. Wyobraź sobie, Theo, że musisz wybrać, czy chcesz zamieszkać z mamą, czy z tatą. Rozwód to emocjonalny wstrząs dla dziecka, a jego efekty trwają latami. – Przerwał i podrapał się po brodzie. – Myślę, że twoje problemy mają początek w jednej ze spraw rozwodowych mamy. Myślę, że któraś z jej klientek ma dziecko w twojej szkole i to dziecko skrycie cię

nienawidzi, bo cierpi z racji toczącego się rozvodu. Ponieważ twoja mama zawsze reprezentuje żony, a sąd prawie zawsze im przyznaje opiekę nad dziećmi, być może to konkretne dziecko nie kocha swojej matki i chciałoby zamieszkać z ojcem, a ten z przyczyn oczywistych nie przepada za mecenas Marcellą Boone. Gwałtowna niechęć męża do adwokata żony nie jest niczym niezwykłym w takim przypadku, a dziecko idzie śladem ukochanego ojca.

Theo poczuł się tak, jakby przygniatające mu ramiona cegły nagle wyparowały i zrobiło mu się dużo lżej na duszy. Co za wspaniały pomysł! Nigdy nie przyszło mu to do głowy. Ale Ike, jego mądry stary stryj, od razu na to wpadł.

– Możesz się zastanawiać – ciągnął Ike – dlaczego Marcella nigdy ci o tym nie wspomniała. Sądzę, że przyszło jej to do głowy, ale twoja mama jest adwokatką tak oddaną swoim klientkom, że czasem nie dostrzega szerszego kontekstu. A poza tym jest profesjonalistką i dzielenie się szczegółami sprawy w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Nawet dla dobra własnego syna?

– Oczywiście, Theo, gdyby twoja mama uznała, że grozi ci coś ze strony kogoś zamieszanego w jedną z jej spraw, na pewno zrobiłaby wszystko, żeby cię przed tym uchronić. Ale adwokaci tacy jak twoja mama potrafią tak bardzo zaangażować się w ochronę interesów swoich klientów, że czasami coś im umyka. Nie dostrzegają czegoś, co widzą inni. A musisz przyznać, że mamy do czynienia z dość nietypowym postępowaniem jakiegoś tajemniczego dziecka. Tak nietypowym, że trudno oczekiwać od twojej mamy, a właściwie od kogokolwiek, żeby coś takiego przewidzieć. Twoja mama w ciągu tylu lat wystąpiła w tak wielu sprawach rozwodowych, że pewnie w ogóle się nie zastanawia nad możliwymi pretensjami dzieci jej klientek.

– Powinienem z nią porozmawiać?

– Io co ją spytasz? Czy akurat rozwodzi się ktoś, kto ma dzieci w twojej szkole? Załóżmy, że ktoś taki nawet przyjdzie jej do głowy. Załóżmy, że jest nawet kilka takich spraw, a tobie uda się zawęzić listę podejrzanych. Nie będziesz miał pewności, ale powiedzmy, że zdołasz udowodnić, iż twój podejrzany jest tym prawdziwym sprawcą. Chłopaka aresztują za obrabowanie sklepu komputerowego, wyrzucają ze szkoły, spotka go całe zło, na jakie sobie zasłużył. Ty zostajesz oczyszczony, on ma totalnie przechlapane, tak?

– Tak.

– Tyle że to by mogło też skończyć się kłopotami dla twojej mamy. Jej klientka mogłaby mieć do niej pretensję, bo po części z winy twojej mamy jej dziecko znalazłoby się w kryminale. Chłopak dostałby wyrok w zakładzie karnym dla nieletnich, a oskarżycielski palec zostałby wymierzony w twoją matkę. Oczywiście dzieciak byłby sam sobie winien i powinien zostać ukarany, ale klientka twojej mamy doszłaby do wniosku, że jej pani adwokat złamała tajemnicę adwokacką. Mama znalazłaby się w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Masz jakiś pomysł?

– Zawsze. Zabrełaś z sobą laptop?

Theo poklepał plecak.

– Tak.

– To dobrze. Wejdz do sieci i znajdź listę spraw na wokandzie sądu rodzinnego. Spisz wszystkie sprawy rozwodowe, w których twoja mama reprezentuje jedną ze stron. Potem przejrzymy najbardziej aktualne i wybierzemy te, w których są dzieci chodzące do twojej szkoły. W tym momencie lista powinna być już bardzo krótka.

Theo już wyjmował laptop z plecaka.

- To świetny pomysł, Ike.
- To się jeszcze okaże.

Rozwody na wokandzie sądu rodzinnego były podzielone na różne kategorie: z orzekaniem o winie – bez orzekania o winie; aktywne – nieaktywne; małżonkowie z dziećmi – bezdzietni; na etapie przygotowawczym – oczekujące na termin rozprawy. Po półgodzinie ślęczenia nad laptopem (Theo) i nad staromodnym pecetem (Ike) sporządzili listę dwudziestu jeden aktywnych spraw rozwodowych, w których mecenas Marcella Boone reprezentowała żony. Trzy sprawy dotyczyły bezdzietnych małżonków i zostały skreślone. Dalsze pięć należało do kategorii „bez orzekania o winie” i zdaniem Ike’a też można je było wyeliminować. Rozwody bez orzekania o winie są z reguły dużo łatwiejsze i szybsze i nie wywołują gwałtownych emocji, które prowadziłyby do przebijania opon i wybijania szyb.

– Co to znaczy „utajnione”? – zapytał Theo, przeglądając wykaz spraw.

– Dla nas to znaczy kłopot – odrzekł Ike. – Niestety zapomniałem o wokandzie utajnionej. Zdarzają się sprawy rozwodowe, podczas których wychodzą na jaw przypadki wyjątkowo paskudnego zachowania i wtedy każda ze stron może wystąpić do sądu z wnioskiem o utajnienie wokandy. To oznacza, że cała dokumentacja trafia pod klucz i jest udostępniana jedynie pełnomocnikom obu stron. Do publicznej wiadomości nic się nie przedostaje. Na tym możemy się wyłożyć, chyba że uda nam się uzyskać dostęp do akt twojej mamy. Ale na razie kontynuujemy.

Ike sporządził listę nazwisk klientek występujących w trzynastu sprawach w ich wykazie, po czym Theo ściągnął nazwiska wszystkich uczniów gimnazjum w Strattenburgu. Po porównaniu obu list liczba

interesujących ich spraw zmniejszyła się mniej więcej o połowę, bo tylko w siedmiu były dzieci chodzące do gimnazjum Theo. Niestety niektóre nazwiska były tak pospolite, że nie można ich było z całą pewnością ani uwzględnić, ani wykluczyć. Wśród rozwodzących się par byli państwo Smith, Johnson, Miller i Green. Theo patrzył na nazwiska z uczuciem ulgi. Nie znał w szkole nikogo o nazwisku z listy.

Dwa lata wcześniej, kiedy Theo chodził do szóstej klasy, koleżanka, Nancy Griffin, powiedziała mu, że mecenas Boone prowadzi sprawę rozwodową jej mamy, ale już dawno było po sprawie, a pani Griffin była z mamy Theo zadowolona. Wtedy jednak po raz pierwszy Theo zdał sobie sprawę, że zawód jego mamy może mieć wpływ na relacje z przyjaciółmi i kolegami ze szkoły. Później w rozmowie z nią wyraził nawet zdziwienie, że go o tym nie poinformowała. Mama wyjaśniła mu wtedy łagodnie, ale zdecydowanie, że adwokata obowiązują określone zasady etyczne i jedną z podstawowych jest wymóg absolutnej dyskrecji w sprawach klienta.

Ike zapisał listę nazwisk w żółtym notatniku i powiedział:

– No to mamy siedem możliwości, czyli siedem prowadzonych przez twoją mamę spraw rozwodowych, w których są dzieci chodzące do twojej szkoły. Któreś nazwisko coś ci mówi?

– Nie bardzo. Do siódmej klasy chodzi Tony Green, ale nawet nie wiemy, czy to są ci sami Greenowie. Żadne inne nazwisko nie brzmi znajomo.

– Wróćmy więc do utajnionej wokandy – rzekł Ike i Theo wyprzedził stryja o dobre dziesięć sekund. Wykaz zawierał osiem utajnionych postępowań rozwodowych, w których znane było jedynie nazwisko powoda lub powódki. Nawet nazwiska prowadzących

sprawę adwokatów były utajnione.

– Trzeba założyć, że interesujący nas rozwód zalicza się do tych naprawdę okropnych. Małżonkowie walczą o opiekę nad dziećmi, a chłopak woli zostać z ojcem. Bo inaczej nie mściłby się na synu adwokatki reprezentującej matkę. Zgadzasz się?

– Chyba tak.

– Żeby sąd przyznał mu opiekę, ojciec musi udowodnić, że matka jest niezdolna do wychowywania dzieci. Prawo zawsze preferuje matkę i przyznanie opieki ojcu należy do rzadkości.

– Tak, wiem.

– Żeby udowodnić sądowi, że matka jest niezdolna do wychowywania dzieci, ojciec musi wywlec na światło dzienne mnóstwo obrzydliwych rzeczy. Właśnie z tego powodu takie sprawy trafiają na utajnioną wokandę i toczą się przy drzwiach zamkniętych.

– No to mamy pecha.

– Chyba że udałoby nam się zajrzeć do papierów twojej matki.

– Chyba zwariowałeś.

– Tak, Theo, zwariowałem, i to już dość dawno temu. I dlatego jestem gotów robić zwariowane rzeczy, żeby się dowiedzieć, kto cię nęka, kto na ciebie nastaje i próbuje zrobić w poważne przestępstwo. Nazywaj mnie wariatem, ale może przyszedł czas na łamanie reguł. Wczoraj wdałeś się w bójkę i złamałeś regulamin szkolny. Ale przecież nie miałeś wyboru, prawda?

– Chyba tak.

– Nie mówię o łamaniu prawa, Theo. Zajrzenie do akt Marcelli nie będzie żadnym przestępstwem. Można to uznać za trochę nieetyczne, ale przecież nie przekazemy nikomu poufnych informacji. A to może być jedyny sposób na rozwiązanie tej zagadki.

– Sam już nie wiem, Ike.

– Z jakiej cyfrowej bazy danych korzystają w kancelarii twoich rodziców?

– Nazywa się InfoBrief. To dość podstawowy system. Służy tylko do gromadzenia i katalogowania danych i przenoszenia ich na papier.

– Kto ma do tego dostęp?

– Nie ja. Rodzice, Dorothy, Vince i Elsa, ale tata i Dorothy rzadko go używają. Mama i Vince korzystają z niego głównie po to, by utrzymać porządek w dokumentach i nie grzebać w stercie papierów, kiedy trzeba coś znaleźć. No i zawiera wszystkie potrzebne odnośniki do literatury prawniczej.

– Możesz zdobyć hasło dostępu?

Theo zamyślił się na dłuższą chwilę. Jeśli zdobędzie hasło i przekaze je Ike'owi, stanie się jego współnikiem. Może to nie będzie przestępstwo, ale z całą pewnością coś, czego wolałby uniknąć. I bez tego ma już dość kłopotów. Najmniej potrzebna mu jest teraz awantura urządzona przez mamę za pogwałcenie prywatności jej klientek.

– Słuchaj, Ike, wolę pójść z tym do mamy i wszystko jej opowiedzieć. Wyłożę całą naszą teorię i poproszę ją o pomoc. Wiesz, jest przecież moją mamą.

– To świetny pomysł, Theo, i w pełni uzasadniony. Ale jeszcze tego nie rób. Zobaczmy, czy uda nam się to rozwikłać bez włączania mamy. Nie chcę jej prosić o udostępnienie mi poufnych informacji o klientce.

– Czy nie ponosi nas trochę fantazja, Ike?

– Może tak. Ale to najlepsza teoria, jaką mamy. Policja nikogo nie szuka, bo jest przeświadczona, że to ty jesteś sprawcą. Tak naprawdę

mogą się w każdej chwili zjawić z nakazem doprowadzenia cię do sądu dla nieletnich. Jeśli nie uda nam się szybko znaleźć prawdziwego sprawcy, twoja sytuacja może się radykalnie pogorszyć. Rozumiesz?

– O tak, wierz mi, że rozumiem.

– Posłuchaj, Theo, dawno temu byłem wziętym adwokatem w Strattenburgu. Miałem kancelarię tuż obok kancelarii twojej mamy, mnóstwo klientów i doskonale mi się powodziło. A potem któregoś dnia zjawili się gliniarze i zaczęli zadawać pytania, a ja nie miałem na nie wszystkie odpowiedzi. Potem wrócili z dalszymi pytaniami, potem jeszcze raz. Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego się dzieje, ale wkrótce uzmysłowiłem sobie, że coraz bardziej się pogrążam i nie mogę nic w tej sprawie zrobić. Gdy już raz prawo karne wciągnie cię w swoje tryby, bardzo trudno jest się wyzwolić. Wierz mi, Theo, bo sam to przeżyłem. To paskudne uczucie. Świat wali ci się na głowę i nie masz gdzie się ukryć.

Po raz pierwszy Ike wspominał o dawnych problemach i swojej przeszłości i Theo słuchał zafascynowany. Postanowił skorzystać z okazji i zadać pytanie, które nurtowało go od dawna:

– A naprawdę byłeś winny, Ike?

Ike milczał przez chwilę, potem powiedział cicho:

– Robiłem pewne niewłaściwe rzeczy, Theo. Rzeczy, których zawsze potem żałowałem. Ale ty nie zrobiłeś nic złego i dlatego nie mam nic przeciwko złamaniu pewnych zasad, żeby cię ochronić. Dogrzebmy się do samego dna tej sprawy i uwolnijmy cię od podejrzeń.

– Dobrze, dobrze.

– Zdobędziesz dla mnie to hasło?

– Myślę, że tak.

Rozdział 17

Theo z Asesorem wrócili do kancelarii Boone i Boone tą samą trasą, unikając ruchliwych ulic. Theo był tak zatopiony w myślach i tak rozkojarzony, że bez zatrzymania przejechał znak STOP i przemknął tuż przed maską pojazdu listonosza. „Uważaj, smarkaczu!” – wrzasnął listonosz, ale Theo rzucił tylko przez ramię „przepraszam” i pojechał dalej. Pies biegł dość daleko z przodu, jakby wolał się nie przyznawać do Theo.

Była pora lunchu, Elsa z Dorothy siedziały w kuchni i rozmawiały nad porcjami sałatki, wzajemnie się przekrzykując, i Theo udało się przemknąć niezauważenie. Gabinet matki był pusty. „Pewnie siedzi w sądzie”, mruknął do siebie. Drzwi pokoju Vince’a były otwarte na oścież, ale jego też nie było. Miał zwyczaj wyskakiwać gdzieś na lunch. Jego pecet był jak zwykle włączony, na wygaszaczu ekranu zachodziło słońce.

Najprostszym sposobem na „pożyczenie” hasła dostępu było pobranie go z jednego z pięciu pecetów w kancelarii. Każdy z trojga prawników miał swój komputer, pozostałe dwa stały na biurkach Elsy i Dorothy. Jeśli Theo rzeczywiście ma się porwać na zdobycie hasła, to niewątpliwie idealny moment. Tyle że wciąż się jeszcze nie zdecydował i gnębiły go wątpliwości. Iki ich nie miał, ale Theo nie był Ikiem. Wiedział, że tak się nie robi. Może to nie przestępstwo, ale

na pewno postępowanie godne potępienia.

Dotąd linia oddzielająca dobro od zła zawsze była jasno wytyczona. Teraz nic nie było jasne, a zło waliło się na niego lawinowo. Złem było włamanie się do szkolnej szafki i podrzucenie mu ukradzionych tabletek po to, by wpakować go w poważne tarapaty. Złem było śledzenie go, przebijanie mu opon i rzucanie kamieniami w okna jego pokoju. Nie zrobił nic złego, a mimo to policja traktowała go jak przestępcę. Policjanci skupili uwagę na niewłaściwym podejrzanym. Mylili się, nie wierząc mu, a jeśli jeszcze postawią mu zarzuty, stanie się kolejne zło. Złem było wdanie się w bójkę w szkole, choć ojciec, Vince i Ike wcale do końca tak nie uważali. Czy złem będzie też złamanie zasad obowiązujących w kancelarii i wykradzenie hasła dostępu po to, by zapobiec innemu, dużo większemu złu? Czy zrobienie czegoś złego może w rezultacie zaowocować czymś dobrym?

Wszystko to było strasznie zagmatwane, ale Theo miał zaufanie do Ike'a, a Ike nie miał wątpliwości, że tak właśnie należy postąpić.

Zaprowadził Asesora do swojego pokoju i kazał mu się zdrzemnąć. Gdy pies się ułożył, Theo wymknął się z pokoju i ruszył korytarzem, nasłuchując głosów. Dorothy i Elsa rozmawiały o przepisach kulinarnych, z gabinetu ojca na górze nie dochodziły żadne odgłosy, ale wiadomo było, że podczas przerwy na lunch Woods Boone lubi sobie uciąć drzemkę. Theo wślizgnął się do pokoju Vince'a, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Usiadł na fotelu i uważając, by nie poruszyć niczego na biurku, przyjrzał się pecetowi. Jako wygaszacza ekranu użyto standardowego obrazka zachodu słońca nad oceanem. Theo kliknął na główne menu, potem na ikonę InfoBrief. Program zażądał podania hasła dostępu, wyszedł więc i kliknął na „mój

komputer”. Wszedł w „pulpit”, potem w „panel sterowania”, potem w „system i zabezpieczenia”, potem w „hasła”. Vince miał mnóstwo haseł i Theo czuł się jak podglądacz. Hasło do konta zakupowego przez internet, hasła telefonów komórkowych, hasła do dwóch programów randkowych, do biura podróży, do gry Fantasy Football i przynajmniej z tuzin innych. Na samym końcu listy widniała nazwa InfoBrief. Theo kliknął i na ekranie pojawiło się hasło dostępu: Lawina88TeeBone33. Theo szybko je zanotował i wrócił do głównego menu. Znow kliknął na InfoBrief i wpisał hasło, ekran na chwilę pociemniał, po czym pojawiła się strona tytułowa: „InfoBrief-Boone i Boone-Konto Kod 647R”. Theo szybko zanotował kod konta i kliknął „wejdź”. Na ekranie pojawiła się długa lista nazwisk w rodzaju „Denise Sneiter vs. William B. Sneiter” i Theo już wiedział, że ma przed sobą wykaz spraw rozwodowych prowadzonych przez matkę. Szybko wyszedł z programu i nie dotykając niczego, odczekał, aż znow pojawi się wygaszacz ekranu. Zaczerpnął głęboko powietrza i nacisnął klawisz, niemal pewny, że za drzwiami czeka ktoś, kto się na niego rzuci. Ale na korytarzu nie było nikogo. Theo szybko wrócił do śpiącego psa i odzyskał poczucie bezpieczeństwa.

Wiedział, że na koncie InfoBrief zostanie ślad po logowaniu w piątek o dwunastej czternaście z komputera Vince’a, nie sądził jednak, by ktoś szybko na to wpadł. Jeśli spytają go o to, wszystkiemu zaprzeczy. W końcu zaczyna się już piątkowe popołudnie i jest niemal pewne, że ani Vince, ani mama, ani nikt inny nie zaloguje się do InfoBrief przed poniedziałkiem rano. I co jeszcze ważniejsze – rejestr wejść do systemu nie jest zbyt często sprawdzany.

Choć jak dotąd jego występki wyglądały na zbrodnię doskonałą, Theo i tak czuł się podle. Zastanawiał się nawet, czy przekazać

Ike'owi zdobyte hasło i numer kodu i w miarę upływu minut dojrzewała w nim decyzja, żeby tego nie robić. Czym innym jest potajemne wślizgnięcie się do pokoju Vince'a i wydobywanie hasła z jego niezabezpieczonego komputera, czym innym dopuszczenie do tego, by Ike za jego pomocą zaczął grzebać w poufnych dokumentach mamy.

Mama wróciła z sądu tuż przed trzynastą. Przyniosła lunch i we trójkę z ojcem zasiedli w sali konferencyjnej, by zjeść. Panował nastrój powagi i przy stole starano się rozmawiać o wszystkim, tylko nie o kłopotach Theo. A jego aż korciło, żeby podzielić się z rodzicami teorią, iż spisek wymierzony w niego może mieć związek z którąś ze spraw rozwodowych prowadzonych przez mamę. Ike jednak kazał się z tym wstrzymać.

Więc Theo się wstrzymał.



Theo siedział w pokoju nad zadaniami domowymi, zerkając na wolno przeskakujące cyferki na zegarze, gdy w intercomie zabrzmiał głos Elsy:

– Theo, ktoś do ciebie przyszedł.

– Kto taki? – spytał zaskoczony, myśląc z lękiem, że to może znów policja.

– Kolega.

Theo pośpieszył do recepcji i zobaczył Griffa stojącego niepewnie obok biurka Elsy. Widzieli się ostatnio wczoraj rano na dywaniku u pani dyrektor, gdy obu wymierzała karę dwudniowego zawieszenia.

Przeszli do sali konferencyjnej i Theo zamknął drzwi. Usiedli na puszystych skórzanych fotelach, a Griff rozejrzał się z podziwem.

– Fajnie tu – powiedział. – To twój pokój?
– Czasem z niego korzystam – odrzekł Theo. – Z tyłu mam własny, mniejszy.

Zapadła cisza i po chwili niezręcznego milczenia Griff zapytał:

- Starzy cię skrzyczeli?
 - Nie tak strasznie. A ciebie?
 - Zachwyceni nie byli. Dostałem szlaban na miesiąc, dodatkowe prace domowe i dwa tygodnie bez kieszonkowego, ale pewnie mogło być gorzej.
 - I tak nie brzmi najlepiej.
 - Słuchaj, Theo, przyszedłem, bo starzy kazali mi przeprosić cię za bójkę. Więc przepraszam.
 - Nie ma sprawy. Ja też przepraszam. Głupio wyszło, nie?
 - No, dość głupio. Baxter ma niewyparzoną gębę i robią się z tego kłopoty.
 - Baxter też już przeprosił. Zapomnijmy o tym.
 - Załatwione. – Znów zapadło milczenie, ale widać było, że Griff ma do powiedzenia coś jeszcze. – Słuchaj, Theo, krążą plotki, że gliny myślą, że to ty się włamałeś do Big Maca, ukradłeś jakieś rzeczy i część z tego znaleźli w twojej szafce. To prawda?
- Theo pokiwał głową.
- No więc ja w to nie wierzę, bo nie wierzę, żebyś mógł włamać się w nocy do sklepu i coś ukraść. Wiesz, to nie w twoim stylu.
 - Powiedz to policji.
 - Jak chcesz, mogę powiedzieć.
 - Dzięki.
 - W każdym razie Big Mac opowiada w sklepie, że policja złapała złodzieja, Theodore'a Boone'a, i znaleźli w twojej szafce trzy tablety

Linx zero-cztery. Facet gada, co mu ślina na język przyniesie.

Theo opuścił ramiona i wyjrzał przez okno.

– Pewnie tak.

– Chcesz usłyszeć coś dziwnego? Moja siostra Amy jest w dziesiątej klasie i ma kumpla Benny'ego. Nie jest jej chłopakiem ani nic, po prostu kumplem. Ten Benny zna jakiegoś Gordy'ego i ten Gordy mówi, że parę dni temu ktoś pod szkołą proponował mu kupno tabletu zero-cztery za pięćdziesiąt dolców. Fabrycznie nowy, w firmowym opakowaniu. Taki tablet kosztuje cztery stówy, a tu ktoś go proponuje za pięćdziesiątaka. Nietrudno zgadnąć, że musi być kradziony, nie?

– Pewnie. – Theo spojrzał na Griffa z nagłym zainteresowaniem. – Jak on się nazywał?

– Nie wiem, ale myślę, że uda mi się dowiedzieć. Ile ukradli tych zeroczwórek?

– Nie jestem pewny, ale chyba więcej niż trzy. Również jakieś laptopy i komórki.

– Dlaczego ktoś miałby je chować w twojej szafce, a potem dzwonić na policję?

– To kluczowe pytanie, Griff. Właśnie szukamy na nie odpowiedzi. Posłuchaj, na czarnym rynku nie może być zbyt dużo kradzionych tabletów zero-cztery. Musimy zdobyć nazwisko tego kolesia, który je sprzedaje. Im szybciej, tym lepiej. Możesz pogadać z siostrą?

– Pewnie, że mogę.

– To zrób to, proszę. I pośpiesz się, Griff.

Griff poszedł i Theo wrócił do swojego pokoju.

Zawieszenie zaczynało doskwierać mu coraz bardziej.



Za piętnaście czwarta mama pozwoliła mu opuścić biuro z przyczyn osobistych. Theo klepnął Asesora na pożegnanie, wskoczył na rower i pojechał. Było już po szkole i ulice Strattenburga wypełniły się młodzieżą w różnym wieku, świętującą nadejście weekendu. Theo też się cieszył, że ten nieszczęsny tydzień już się kończy. Wszystko zaczęło się w poniedziałek od przebicia przedniej opony i poleciało lawiną przez kolejne dni. Ale z oczywistych względów jego radość mieszała się z niepokojem. Jeśli się nie dowie, kto za tym wszystkim stoi, i nie zrobi tego szybko, nadchodzący tydzień może się okazać jeszcze gorszy.

Major Ludwig czekał w podziemiach budynku VFW, siedzibie drużyny skautów Nr 1440. Zbiórka miała się zacząć punktualnie o szesnastej, ale major wymagał od swoich skautów, by przychodzili co najmniej pięć minut wcześniej. Nienawidził wszelkich przejawów opieszałości i znany był z tego, że potrafi się rozedrzeć z powodu najdrobniejszego spóźnienia. Theo dotarł na miejsce o piętnastej pięćdziesiąt siedem, Brian i Edward – dwaj koledzy z klasy pana Mouna – już tam byli, podobnie jak trzej siódmoklasiści: Sam, Isaac i Bart. Cała szóstka zgłosiła się do zdobywania sprawności lotniczej i major Ludwig miał być ich doradcą. W młodości latał myśliwcami w korpusie Marines, obecnie pracował na pół etatu jako instruktor latania na miejskim lotnisku.

Z początku Theo czuł się trochę niezręcznie w towarzystwie Briana i Edwarda, kolegów z klasy. Nie bardzo wiedział, czy powinien czuć zawstydzenie czy dumę. Jak dużo plotek krąży po szkole pod jego nieobecność? Pewnie bardzo dużo. Major od razu wyczuł jego zmieszanie i natychmiast przystąpił do omówienia planów.

– Czeka was bardzo pasjonujące doświadczenie – zaczął. – Od

czterdziestu lat latam i wciąż Kocham to robić. Zapoznamy się z napędami samolotów – z silnikami tłokowymi, turbośmigłowymi i odrzutowymi. Zbudujemy model samolotu z napędem na baterie, który będzie mógł się wznieść na wysokość sześćdziesięciu metrów. Poznacie dzięki temu podstawowe terminy lotnicze – prędkość lotu, siłę wznoszenia, opór powietrza, parametry aerodynamiczne, a także różne elementy sterujące – lotki, stery wysokości i kierunku. Nauczycie się czytać mapy lotnicze i wyznaczać kurs prawdziwego lotu. Lotu, który odbędziecie na naprawdę świetnym symulatorze lotów. Zrobimy też sobie wycieczkę na lotnisko w Strattenburgu, obejrzymy różne typy samolotów i wejdziemy na wieżę kontrolną, żeby przyjrzeć się pracy kontrolera lotów, który kieruje ruchem w powietrzu. Ruch w rejonie Strattenburga nie jest zbyt intensywny, ale i tak będzie ciekawie przyjrzeć się, jak kontroler nim kieruje. I wreszcie ostatnim i równie ważnym punktem programu będzie lot prawdziwym samolotem. Za zgodą waszych rodziców wezmę was po dwóch do mojej małej cessny i polecimy na wysokości tysiąca pięciuset metrów, gdzie pozwolę wam na chwilę przejąć stery. Będę cały czas trzymał ręce na głównych sterach, ale i tak poczujecie, na czym to polega. Wykonamy kilka skrętów, wzniesiemy się i opadniemy. Wybierzemy naprawdę pogodny dzień, żebyście mieli wspaniały widok z lotu ptaka na nasze miasto i okolice. No to jak, panowie? Brzmi nieźle?

Chłopcy słuchali jak urzeczeni, przeżywając w wyobraźni czekającą ich przygodę. Cała szóstka skwapliwie pokiwała głowami i nawet Theo na moment zapomniał o nękających go problemach. Major rozdał broszurki z opisem trybu zdobywania sprawności lotniczej i wyznaczył zadania na kolejną zbiórkę, po czym wziął do ręki duży

model samolotu – ten sam, którym posługiwał się na kursach latania – i zaczął opisywać jego poszczególne elementy.

Theo – niepoprawny marzyciel – od razu zaczął sobie wyobrażać, jak by to było cudownie latać samolotami – wojskowymi myśliwcami i jumbo jetami 747. Cóż za wspaniałe życie. Najpierw walki powietrzne wysoko nad polem bitewnym w myśliwcach, potem przemierzanie świata za sterami luksusowego liniowca pasażerskiego. Zawsze chciał zostać prawnikiem, ale w tym momencie prawo straciło dla niego cały urok. Życie pilota wydało mu się czymś o wiele bardziej ekscytującym.

Punktualnie o siedemnastej major ogłosił koniec zbiórki, oświadczając, że spodziewa się, iż na następnej zbiórce w piątek wszyscy zameldują wykonanie przydzielonych zadań. Skauci zaczęli się żegnać i już wszyscy wychodzili, gdy major rzucił od niechcienia:

– Aha, Theo, mógłbym z tobą zamienić dwa słowa?

– Oczywiście, panie majorze. – Reszta chłopców powisała na rowery i odjechała, Theo zatrzymał się przy drzwiach.

– To nie moja sprawa – powiedział major – ale dochodzą mnie słuchy, że nie wszystko u ciebie idzie jak należy. Podobno masz kłopoty z policją w sprawie jakiegoś włamania. Nie myśl, że próbuję wtykać nos, Theo. Po prostu się martwię.

Theo skinął głową i przez chwilę milczał w przekonaniu, że lepiej będzie nic nie mówić. Potem jednak pomyślał, że skoro i tak jest go pełno w internecie, do jego nazwiska doczepiono przestępstwo, a wina uznawana jest za niemal pewną, głupio zachowywać się tak, jakby nie mógł o tym mówić.

– Tak, panie majorze – powiedział. – Wygląda na to, że jestem głównym podejrzanym.

– To znaczy, że miałeś już styczność z policją?

– Kilka razy. – Theo tak naprawdę nawet nie pamiętał, ile tego było. – Nie wierzą mi i chyba chcą oficjalnie oskarżyć mnie o to włamanie.

– Ależ to absurd, Theo.

– Też tak uważam.

– Posłuchaj, chłopcze. Udzielam się jako wolontariusz w sądzie dla nieletnich. Jeśli dzieciak w opałach potrzebuje pomocy, kogoś, kto go wysłucha i doradzi, to sąd wyznacza do tego mnie. Dzieciak oczywiście ma obrońcę, ale wiesz, jak zajęci są adwokaci. Współpracuję z obrońcą i ustalam, co dla oskarżonego będzie najlepsze. Mam na myśli to, że dobrze znam obu sędziów sądu dla nieletnich. Jeśli sobie życzysz, będzie mi miło wystąpić w twoim imieniu. Nie w roli wolontariusza, bo ty nikogo takiego nie potrzebujesz, ale jako ktoś, kto może prywatnie pogadać z sędzią. Oskarżanie cię o włamanie to absurd.

Theo poczuł drapanie w gardle, ale udało mu się wydusić:

– Dziękuję, panie majorze.

– Wiem, Theo, że jesteś niewinny, i zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

– Dzięki – szepnął Theo, starając się ukryć wzruszenie.

Rozdział 18

Major podał Theo rękę, poklepał go po plecach i zamknął za nim drzwi. Theo wyszedł z budynku, wsiadł na rower i ruszył, jednak od razu się zorientował, że coś jest nie tak. W przednim kole nie było powietrza.

Poczuł ukłucie w żołądku, nie wiedząc nawet, czy to ze złości, ze strachu czy jednego i drugiego. Szybko rozejrzał się na boki, potem przeniósł wzrok na oponę i zaczął myśleć, co powinien teraz zrobić, ale nic nie wymyślił. Był tak zły i ogłupiały, że w głowie miał sieczkę. Powoli zsiadł z roweru i przyjrzał się oponie. Niewielkie przecięcie wyglądało znajomo.

Postanowił nie zawracać głowy majorowi i ruszył przed siebie, pchając rower przez parking VFW i po chodniku. Im dłużej szedł, tym jaśniej mu się myślało. Ile osób wiedziało, że w piątek o szesnastej będzie na zbiórce skautów? Od razu przyszło mu do głowy pięciu głównych podejrzanych, kolegów z drużyny: Brian i Edward z jego klasy oraz Bart, Isaac i Sam z siódmej. Zostawili rowery w tym samym stojaku co Theo i gdy został na chwilę u majora, każdy miał okazję dziabnąć scyzorykiem jego przednią oponę.

Od kancelarii dzieliło go około dziesięciu przecznic i szybko poczuł zmęczenie. Zadzwoił na numer komórkowy ojca i ku jego zaskoczeniu, ojciec odebrał. Woods Boone nienawidził swojej komórki

i często ją ignorował.

– Tato, to ja.

– Tak, Theo. Jeszcze widzę literki na moim maciupkim wyświetlaczu. Co się dzieje?

– Znowu ktoś mi przebił przednią oponę. Mam zupełnego flaka. Zrobili mi to przed budynkiem VFW, kiedy byłem na zbiórce z majorem.

– Gdzie jesteś teraz?

– Na Bennington Street, koło skrzyżowania z Czternastą.

– Czekaj tam. Będę za dziesięć minut.

Theo oparł bezużyteczny rower o wiatę przystanku autobusowego, usiadł na ławce i zaczął rozmyślać o Edwardzie i Brianie. Obaj byli sympatycznymi chłopcami z dobrych domów, obaj mieli szafki blisko Theo i żaden nie miał powodu, żeby przecinać mu opony i wybijać szyby czy włamywać się do sklepów komputerowych i podrzucać mu skradzione łupy. Theo uważał ich obu za kumpli. Siódmoklasistów nie znał tak dobrze, ale wszyscy w drużynie chyba się lubili. Majorowi bardzo na tym zależało. Ojciec Sama był lekarzem, matka dentystką i Theo nie potrafił sobie wyobrazić, by ktoś z takiego domu mógł się zachowywać jak rzezimieszek. Bart miał od góry do dołu same piątki i był najfajniejszym chłopcem pod słońcem. Z całej piątki tylko Isaac Sheer mógł budzić wątpliwości. Był milczącym, nieco humorzastym chłopakiem, który często ponuro się zamyślał. Nosił nieco za długie włosy i chętnie słuchał heavy metalu. Theo wiedział, że rodzina Sheerów przeżywa kłopoty. Starszą siostrę Isaaca aresztowano za narkotyki, ich ojciec był najczęściej bez pracy i mówiło się, że się do niej nie pali, bo woli siedzieć na garnuszku żony.

Ale co najważniejsze, Isaac miał starszego brata w liceum.

Ponieważ na rodzinnej naradzie detektywistycznej doszli do wniosku, że sprawcami ataków na Theo są co najmniej dwie osoby, Isaac z bratem doskonale pasowali. Tyle że jak zwykle w procesie typowania sprawców Theo napotkał zasadniczą przeszkodę: brak motywu. Dlaczego Isaac z bratem – a właściwie ktokolwiek – miałyby wkładać tyle wysiłku w rujnowanie mu życia? To nie miało sensu.

Pan Boone podjechał swoim SUV-em, otworzył tylną klapę i ułożył rower Theo na swoich kijach golfowych. Asesor, który przyjechał na fotelu pasażera, został relegowany na tylną kanapę, Theo usiadł obok ojca, skrzyżował ręce na piersiach i wbił wzrok prosto przed siebie. Żaden nie odezwał się słowem i dopiero gdy Theo zorientował się, że nie jadą w stronę domu, spytał:

– Dokąd my jedziemy, tato?

– Do komisariatu.

– Aha. A dlaczego?

– Chcę, żeby detektywi sami zobaczyli to, co im cały czas powtarzamy. Że ktoś cię nęka i próbuje wrabiać w przestępstwa, których nie popełniłeś.

Theo spodobał się ten pomysł. Zaparkowali na ulicy obok posterunku policji.

– Zaczekaj w samochodzie – powiedział ojciec. Trzasnął drzwiami i wszedł do budynku. Mijały minuty i Theo umiłał sobie czekanie pogawędką z Asesorem, któremu wytłumaczył, co się dzieje. Wyglądało jednak na to, że pies nie bardzo rozumie. Wreszcie z komisariatu wyszedł ojciec w towarzystwie Vormana i otworzywszy tylną klapę auta, wyjął rower i oparł go o tylny zderzak. Theo wysiadł i przeszedł do tyłu, aby też uczestniczyć w rozmowie.

– Niech pan spojrzy – powiedział twardo ojciec, unosząc przednie

koło i pokazując przecięcie z boku opony. – To już trzecia w tym tygodniu.

Vorman przyjrzał się oponie i pomacał ją palcem.

– To niewątpliwie celowe przecięcie – stwierdził.

– Niewątpliwie – odrzekł pan Boone.

– I gdzie to się stało?

– Przed budynkiem VFW – wtrącił się szybko Theo. – W tym samym miejscu, w którym we wtorek przebili mi tylną oponę.

– I co ja mam z tym zrobić?

Pan Boone wrzucił rower do SUV-a i zatrzasnął klapę.

– Ma pan przyjąć do wiadomości, że ten, kto przecina opony roweru i wybija szyby w biurze, jest tym samym draniem, który próbuje wrabiać mojego syna we włamanie. To pan ma z tym zrobić. Ma pan sobie uzmysławić, że podejrzewając i oskarżając Theo o przestępstwo, tylko traci pan czas.

Dopadnij go, tato, załatw go, o mało nie wyrwało się Theo na głos.

– Skąd taka pewność, że te sprawy są z sobą powiązane? – rzucił Vorman i jak zwykle wrednie się skrzywił.

– Gwarantuję panu, że są, i póki pan tego nie zrozumie, nie wykryje pan prawdziwych sprawców włamania. Ale jeśli już pan musi tracić czas, to niech się pan przynajmniej odczepi od mojego syna. Jest niewinny.

– Dla pana niewątpliwie, tyle że pan jest jego ojcem – burknął Vorman. Widać było, że się zirytował. – Chciałbym mieć dolara od każdej matki i każdego ojca, którzy przysięgali na wszystkie świętości, że ich najdroższy skarb jest niewinny. Doprowadzimy to dochodzenie do końca bez pańskiej pomocy, panie Boone. I póki zebrany materiał dowodowy temu nie zaprzeczy, pański syn

pozostanie głównym podejrzanym. Wszystkie dowody wskazują na niego. – Vorman ze złością wymierzył palec w stronę Theo, obrócił się na pięcie i odszedł.

W drodze powrotnej do domu Theo czuł się jeszcze gorzej niż dotąd. Przypuszczał, że tata czuje się podobnie.

– Zagrasz jutro w golfa? – spytał.

– Jasne. – W głosie Theo nie było entuzjazmu.

– Podobno ma padać.

– I pewnie będzie. – Dlaczego okropny tydzień nie miałby się skończyć w sobotę ulewą, która uniemożliwi im rozegranie partii golfa?



W piątkowe wieczory zwykle chodzili na kolację do Maloufa, libańskiej restauracji znanej z pysznych owoców morza, jednak tym razem ani Theo, ani rodzice nie mieli ochoty nigdzie wychodzić. Wszyscy byli zmęczeni długim i szarpiącym nerwy tygodniem i nieustanne napięcie wpływało na ich nastroje. Theo od trzech dni myślał niemal wyłącznie o ciężącym na nim fałszywym oskarżeniu i o tym, że mogą go aresztować i wysłać do zakładu karnego dla nieletnich. Wiedział też, że rodzice są tym o wiele bardziej przejęci, niż dają po sobie poznać. Dzisiejsze przedziurawienie opony jeszcze pogorszyło nastrój wszystkich trojga.

Po zjedzeniu zupy i kanapki Theo podziękował i poszedł do siebie na górę. Ike już trzy razy dopytywał się SMS-ami, czy udało mu się zdobyć kod dostępu do archiwum firmy, ale Theo na żaden nie odpowiedział. Nie mógł się zdobyć na pogwałcenie niepisanych reguł obowiązujących w kancelarii. Potajemne wydobywanie hasła

z komputera Vince'a było nieuczciwością, i Theo już miał wyrzuty sumienia. Przekazanie tego hasła Ike'owi tylko zwiększy poczucie winy. Z drugiej jednak strony miał już dosyć bycia ofiarą precyzyjnie zaplanowanego spisku. Najwyższa pora zacząć walczyć. Wyglądało na to, że policja jest zdecydowana go dopaść. Zegar odmierzał czas, który działał na jego niekorzyść. Sytuacja bardzo szybko mogła ulec radykalnemu pogorszeniu.

Zadzwoił do Ike'a, który wciąż jeszcze siedział w biurze.

– No, wreszcie – powiedział poirytowany. – Masz to hasło?

– Tak, mam, ale musisz mnie najpierw przekonać, że postępujemy słusznie.

– Już ci to wyjaśniłem. Nie łamiemy prawa. My tylko wężymy, nic więcej. Spójrz na to tak, Theo: możesz się przejść po kancelarii Boone i Boone i wszędzie napotkasz sterty teczek z aktami, tak?

– Tak.

– Bo to jest firma prawnicza. Sterty teczek z aktami leżą na biurkach i na półkach szaf, rozrzucone na stole w sali konferencyjnej i w otwartych aktówkach, stosy akt czekają na posegregowanie i przeniesienie do archiwum. Akta, akta, wszędzie akta. Przyznaj się, zdarzyło ci się wziąć do ręki którąś z tych teczek i rzucić okiem na zawartość?

W głosie Theo można było wyczuć lekkie wahanie.

– Tak.

– Jasne, że tak. I robiąc to, nie złamałeś żadnych zasad etycznych, bo nie jesteś jeszcze prawnikiem. Po prostu byłeś wścibski, nic więcej. Troszkę powęszyłeś. I teraz też nic innego nie robimy, Theo. Wężymy. Część akt została zarchiwizowana w postaci cyfrowej po to, by ułatwić szybsze dotarcie do nich. Te same akta istnieją w wersji

papierowej i leżą rozrzucone po całej kancelarii. Takie jak te, do których zaglądałeś.

– Wszystko rozumiem, Ike, ale to chyba nie jest właściwe.

Ike westchnął ciężko i Theo przygotował się na ostrą reprimendę. Jednak głos Ike'a pozostał spokojny.

– Theo, ja ci jedynie próbuję pomóc. Spójrz na to tak: informacje, które zdobędziemy, pozostaną tylko do naszej wiadomości. Nikomu nie ujawnimy poufnych danych o klientce matki. Próbujemy tylko rozwiązać zagadkę i jeśli nam się uda, nikt nigdy się nie dowie, że grzebaliśmy w aktach.

– Ale jeśli wejdiesz do programu, w rejestrze zostanie ślad.

– O to się nie martw, Theo. Użyję zaszyfrowanego kodu, którego nie da się wyśledzić. W tych sprawach jestem lepszy od ciebie. Nie jestem na bakier z techniką.

– Nie powiedziałem, że jesteś.

– I założę się, że rejestr jest sprawdzany nie częściej niż raz na rok, prawda?

– Pewnie tak.

– Podaj mi to hasło, Theo.

– Lawina osiem osiem TeeBone trzy trzy.

– Przeliteruj.

Theo wolno przeliterował, potem podał jeszcze kod konta.

– Spisałeś się na medal, Theo. Zabieram się do pracy.

Theo wyciągnął się na łóżku i zapatrzył w sufit. Ike to inteligentny facet, który kiedyś był świetnym adwokatem, ale który miewa też dziwne pomysły. Jego teoria, że kłopoty Theo biorą się z jednej ze spraw rozwodowych matki, była trochę naciągana, ale przynajmniej stanowiła jakiś punkt zaczepienia. Theo myślał też o Isaacu Scheerze,

ale im więcej o nim myślał, tym bardziej jego udział w spisku wydawał się nieprawdopodobny.

Wysłał SMS do Griffa: Udało ci się ustalić nazwisko koleśia sprzedającego te 0-4?

Odczekał dziesięć minut i wyłączył komórkę.

Rozdział 19

W sobotę rano obudziły go grzmoty i szum walącej w szyby ulewy. Powoli wyczołgał się z łóżka i wyrztał przez okno. Na podwórzu błyszczały kałuże wody i o golfie można było zapomnieć. Zszedł z Asesorem do kuchni, gdzie zastał rodziców szykujących naleśniki z kiełbaskami i rozmawiających o pogodzie. Theo nie mógł zrozumieć, jak dorośli mogą tracić tyle czasu na rozmowy o pogodzie. Przecież i tak nie są w stanie nic zrobić, żeby ją zmienić.

Po mieście lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że Duffy'ego namierzono na międzynarodowym lotnisku O'Hare w Chicago. Próbował zapłacić gotówką za bilet w jedną stronę do Mexico City, ale kasjerce coś się w jego paszporcie nie spodobało i przeciągnąwszy transakcję, zawiadomiła zwierzchnika. Duffy się zorientował, zostawił paszport i wmieszał się w tłum pasażerów. FBI dokonała identyfikacji na podstawie odcisków palców na paszporcie, który okazał się fałszywy, i zapisu z kamer monitoringu. Na pierwszej stronie strattenburskiej gazety zamieszczono jego zdjęcie i zdaniem Theo Duffy był na nim zmieniony nie do poznania. Nosił dziwaczny beret, miał na nosie okulary w grubych oprawkach, na brodzie krótką szczecinę, a na głowie jasnoblond, niemal białe włosy.

– FBI dysponuje technologią pozwalającą przeanalizować fotografię czyjejs twarzy i wyciągnąć z niej szczegóły niewidoczne gołym okiem

– wyjaśnił tata takim tonem, jakby był ekspertem FBI. Siedząc przy kuchennym stole, jedząc naleśniki i podrzucając kawałki Asesorowi, Theo wpatrywał się w czarno-białe zdjęcie, czując wdzięczność, że pojawienie się Duffy’ego odwróci uwagę mediów od niego. Pewnie przez najbliższych kilka dni miasto zajmie się nim i zapomni o swoim drugim groźnym przestępcy, niejakim Theo Boonie.

– Ciekawe, gdzie się podziewał przez cały tydzień? – zastanowiła się matka, sącząc kawę i czytając nekrologi.

– Pewnie zajmował się swoim nowym wyglądem – odrzekł ojciec. – Farbował włosy, zapuszczał brodę. Ale ten beret? Daj spokój! Facet w berecie na głowie na O’Hare musi zwrócić uwagę.

– Nigdy bym go nie poznał – rzucił Theo.

– Ale to on – stwierdziła pewnym głosem mama. – Zmienił wygląd, załatwił sobie forszę, kupił nowe papiery, choć, jak widać, nie najlepsze, i o mało co nie zwiął.

– Też bym chętnie zwiął – bąknął Theo.

– Theo! – zachnęła się mama.

– Naprawdę, mam. Najchętniej bym stąd uciekł i gdzieś się zaszył.

– Wszystko będzie dobrze, Theo – pocieszył go tata.

– Tak myślisz? Ciekawe, skąd to wiesz? Bo ja wiem, że mam na karku gliniarzy, którzy tylko czekają, żeby zaciągnąć mnie do sądu dla nieletnich. A do tego jeszcze jakiś wariat biega za mną po całym mieście z nożem i przecina mi opony. Jasne, tato, wszystko będzie świetnie.

– Uspokój się, Theo. Jesteś niewinny i twoja niewinność zostanie udowodniona.

– Dobra, tato, to mam do ciebie pytanie. Czy naprawdę myślisz, że ten, kto obrabował Big Maca, i ten, kto przecina mi opony, rzuca

kamieniami w szyby i rozsyła te śmieci po internecie, to jedna i ta sama osoba?

Pan Boone przez chwilę gryzł w milczeniu kawałek kiełbaski, a potem skinął głową.

– Tak.

– A ty, mamo?

– Też tak sądzę.

– No to jest nas troje. Dla mnie to też dość oczywiste. Więc dlaczego nie możemy przekonać o tym policji?

– Myślę, że możemy, Theo – powiedział pan Boone. – Ciągłe jeszcze prowadzą dochodzenie w sprawie włamania i rabunku w sklepie. Ufam policji i wierzę, że złapią prawdziwych sprawców.

– A mnie się zdaje, że oni już uznali, że to ja. Ten cały Vorman uważa, że kłamię. Nie podoba mi się. Na jego widok czuję dreszcze.

– Wszystko będzie dobrze, Theo – pocieszyła syna pani Boone i poklepała go po ramieniu. On jednak dostrzegł, że rodzice popatrzyli na siebie wzrokiem zupełnie pozbawionym pewności siebie. Widać było, że są nie mniej od niego zaniepokojeni, może nawet bardziej. Po śniadaniu Theo pojechał z ojcem do sklepu Koła Gila po kolejną nową oponę. Na prośbę taty Theo Gil zniknął na zapleczu i po chwili wyniósł pierwsze dwie przecięte opony. Wręczył mu je, a on dołączył je do trzeciej. Zapłacił za opony numer dwa i trzy i zwrócił osiem dolarów niedopłacone przez Theo do pierwszej. Gil zapewnił obu, że w mieście nie ma epidemii przebijania opon i tak naprawdę w ciągu całego ubiegłego tygodnia miał tylko trzy takie przypadki, wszystkie dotyczące Theo.

Wyszli ze sklepu i stwierdzili, że deszcz przestał padać, ale niebo jest zaciągnięte gęstymi chmurami, które grożą ulewą. Przez chwilę

się naradzali, czy jednak pojechać na pole golfowe i poczekać na miejscu na poprawę pogody, ale doszli do wniosku, że trawa będzie strasznie namoknięta i jeśli nawet otworzą pole w późniejszych godzinach, zrobi się tłok. Zgodzili się, że lepiej nie grać, niż przepychać się na zatłoczonym polu golfowym, i zrezygnowali z pomysłu.

Theo odebrał rano dwa SMS-y od Ike'a z propozycją spotkania, więc po powrocie do domu trochę pokręcił się bez celu, powyglądał przez okna i w końcu oznajmił, że mu się nudzi i jedzie do Ike'a, który zaprosił go na lunch. Rodzice skinęli głowami, Theo wsiadł na rower i pojechał.



Ike wyglądał gorzej niż zwykle. Oczy miał przekrwione, zapuchnięte i mocno podkrążone.

– Nie spałem całą noc – wyjaśnił, gdy Theo usiadł przy biurku. – Nawet oka nie zmrużyłem. Przez całą noc czytałem akta rozwodowe i wiesz, co ci powiem? Świat jest pełen nieszczęśników, którzy muszą się rozwodzić. Nigdy w życiu nie byłem tak przygnębiony. Nie wyobrażam sobie, jak matka może się w tym babrać dzień po dniu przez cały tydzień. Żony oskarżają mężów o najgorsze rzeczy. Mężowie oskarżają żony o jeszcze gorsze rzeczy. Skaczą sobie do oczu i walczą o dom, samochody, konta bankowe, meble, o wszystko. Ale powiem ci, że gdy przychodzi do walki o dzieci, to się robi gorzej niż w klatce z dzikimi zwierzętami. To przerażające, Theo.

Theo siedział i w milczeniu słuchał. Ike był wyraźnie pobudzony wypitymi kawami i zapewne niejednym superenergetycznym napojem, gwarantującym nagły przypływ energii.

– I nadal obstaję przy swojej teorii – dodał. – A ty?

– Jasne, Ike. Jak dotąd to nasza najlepsza teoria.

– Dziękuję.

– Wczoraj znów przebili mi oponę. Po raz drugi przed budynkiem VFW.

Ike na moment się zadumał, łyknął kawy i powiedział z przekonaniem:

– Theo, musimy ich złapać.

– Policja mi nie wierzy, Ike.

– Trzeba działać szybko. – Ike wziął do ręki notatnik i przerzucił kilka kartek. – Znalazłem dwa przypadki, którym warto się bliżej przyjrzeć. Oba dotyczą toksycznych rozwodów z utajnionej wokandy, co oczywiście oznacza, że sąd położył łapę na całej dokumentacji i tylko pełnomocnicy stron mają do niej dostęp. Pierwszy dotyczy państwa Rockworth. Nie będę zwracał ci głowy szczegółami, ale można z całą pewnością stwierdzić, że pan Rockworth nie przepada za twoją matką. Mają dwójkę dzieci i toczą zażartą walkę o przyznanie praw do opieki, przy czym oboje zawzięcie przekonują, że drugie nie nadaje się do wychowywania dzieci. Po zaciętej walce na sali sądowej pani Rockworth przyznano opiekę nad dziećmi, a panu Rockworth prawa do bardzo rozszerzonych kontaktów z nimi. Pełnomocnicy obu stron zaskarżyli werdykt sądu. Sędzia nakazał Rockworthowi wpłacenie osiemnastu tysięcy dolarów firmie prawniczej Boone i Boone na pokrycie kosztów adwokackich. Znasz kogoś o nazwisku Rockworth?

– Nie. Ile lat mają te dzieci?

– Chłopiec dwanaście, chodzi do siódmej klasy gimnazjum i ma piętnastoletnią siostrę. Z akt wynika, że oboje chcieliby zostać

z ojcem. Rodzina mieszka w Strattenburgu dopiero od dwóch lat, więc mogłeś o nich nie słyszeć.

– To twój główny podejrzany?

– Nie, to tylko jedna z możliwości. Mam znacznie lepszych kandydatów, niejakich Finnów! Do rozwodu jeszcze daleko, termin ich rozprawy wyznaczono dopiero na przyszły miesiąc. Oboje wydają ostatni grosz na udowadnianie, że druga strona jest dużo gorsza. Pani Finn jest nieźle walnięta i nawet przebywała jakiś czas w wariatkowie. Pan Finn ani na chwilę nie trzeźwieje i jest nałogowym hazardzistą.

Po obu stronach dochodzi do mnóstwa strasznych zachowań. Trójka dzieci, ale najstarsza, osiemnastoletnia córka już wyfrunęła z domu. Są jeszcze dwaj chłopcy, dwanaście i czternaście lat, i naprawdę nie lubią matki, którą oczywiście reprezentuje twoja mama. Zła krew leje się strumieniami z obu stron i można śmiało przyjąć, że zarówno pan Finn, jak i obaj chłopcy nienawidzą twojej mamy i wszystkich Boone'ów. Bitwa rozwodowa toczy się już od ponad roku i jest strasznie zażarta. Oboje doprowadzają się wzajemnie do szaleństwa.

– Jak się ci chłopcy nazywają?

– Jonah Finn, lat dwanaście, siódma klasa, Jessie Finn, lat czternaście, dziewiąta klasa.

Theo przymknął oczy i spróbował przypisać do nazwisk twarze, ale bez rezultatu.

– Nie znam ich.

– Myślałem, że jesteś popularny w szkole. Czy ty w ogóle kogoś znasz?

– Chodzę do ósmej klasy, Ike. Rzadko zadajemy się z uczniami

z siódmej, tak jak ci z siódmej nie zadają się z chłopakami z szóstej i tak dalej. Mamy oddzielnie zajęcia, inne plany lekcji. Co jeszcze wiesz o tych chłopakach?

– Podstawowe rzeczy i niewiele więcej. W każdym razie o tym młodszym Jonahu. Sąd wyznaczył opiekuna, który ma dbać o ich interesy, i to jemu chłopcy powiedzieli, że zdecydowanie woleliby zostać z ojcem. Ich matka za pośrednictwem swojej błyskotliwej adwokatki utrzymuje, że to tylko dlatego, że ojciec na wszystko im pozwala, łącznie z paleniem papierosów i piciem piwa. Wyobrażasz sobie siódmoklasistę, który siedzi w domu i popija z tatusiem piwo?

– Nie, nie wyobrażam sobie. Pewnie niezłe z nich łobuzy, co?

– Mieli trudne życie, często się przeprowadzali, zmieniali domy i szkoły. Brakowało im poczucia stabilności. Tak, sądzę, że obaj chłopcy są dość rozwydrzeni i nikt się nimi nie zajmuje. W zeszłym roku przyłapano Jessiego na paleniu marihuany, co zaprowadziło go do sądu dla nieletnich. Dostał dozór sądowy. Trzy miesiące temu chłopców umieszczono w rodzinnym domu zastępczym, gdzie mieli przebywać do zakończenia sprawy rozwodowej, ale wciąż uciekali. Obecnie mieszkają z matką, która pracuje w szpitalu na nocnej zmianie. Wątpię, żeby się specjalnie o nich troszczyła. Wszystko to jest strasznie smutne, Theo, ale to oni są naszymi głównymi podejrzanymi. Wszystko pasuje. Jest ich dwóch. Obaj serdecznie nie znoszą twojej matki i rozciągają to też na ciebie. Po obu można oczekiwać wandalizmu, a nawet włamania do sklepu z komputerami. Musimy wiedzieć o nich więcej.

– Sądzę, że mama nie prowadzi sprawy rozwodowej państwa Scheer, co?

Ike zajrzał do notatek i przerzucił kilka kartek.

– Nie. A dlaczego pytasz?

– Tak mi tylko przyszło do głowy. W drużynie skautów jest trochę dziwny chłopak, nic więcej.

– W aktach mamy nie ma tego nazwiska.

Zapadło długie milczenie, bo obaj zamyślili się nad sytuacją. Ike upijał od czasu do czasu łyk kawy, Theo siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. W końcu odezwał się Theo:

– Muszę ci powiedzieć o moim koledze Griffie.

Opowiedział o jego siostrze Amy, jej przyjacielu Bennym i jego przyjacielu Gordym, a także o kimś bliżej nieznanym, kto na parkingu liceum proponował kupno nowego tabletu Linx 0-4 za pięćdziesiąt dolarów. Na wieść o tym przekrwione oczy Ike'a rozbliły.

– To może być bardzo ważne, Theo – sapnął.

– A jeśli się okaże, że to właśnie Jessie Finn?

– Trzeba doprowadzić do transakcji.

– Ale jak?

– Jeśli uda nam się kupić skradziony tablet, pójdziemy z nim prosto na policję, a oni sprawdzą numer fabryczny. Jeśli się okaże, że tablet pochodzi ze sklepu Big Maca, od razu o tobie zapomną i zajmą się cholernymi Finnami. – Ike wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel i odliczył dwie dwudziestki i dziesiątkę. – Masz tu pięć dych. Włóż je do kieszeni, znajdź Griffa i powiedz, żeby pogadał z siostrą. Theo, dopilnuj, żeby to doszło do skutku.

Theo wziął pieniądze, schował głęboko do kieszeni i usiadł.

– A jeśli się nie uda? A jeśli ten Gordy nie będzie chciał tknąć skradzionego tabletu albo jeśli tamten sprzedał go już komuś innemu?

– Jeżeli nie spróbujemy, to się nie dowiemy. Zajmij się tym, Theo. Doprowadź to do końca. A jednocześnie spróbuj się dowiedzieć

wszystkiego o obu Finnach.

– Dzięki, Ike.

– I nie przejmuj się, że grzebałem w aktach twojej mamy. Jeśli to naprawdę Finnowie i dzięki temu rozwiążemy zagadkę, sam powiem o tym twoim rodzicom i wszystko wezmę na siebie. Wierz mi, że robiłem znacznie gorsze rzeczy.

– Dzięki, Ike.

– Już to mówiłeś. A teraz zmykaj.

– A co z lunchem?

– Nie jestem głodny. Chce mi się spać. Do zobaczenia.

Rozdział 20

Deszcz przestał padać, ale niebo wciąż wyglądało groźnie. Theo przejechał przez miasto do parku Levi i wzdłuż skarpy nad korytem rzeki Yancey, na wschodnich krańcach Strattenburga. Pedałował z zapałem w nadziei, że deszcz nie wypłoszył sprzedających i kupujących z targu. Był ciekaw dalszych losów Lucy. Czy znów rzuciła się na Buca Bucka? A może na jego partnera Frankiego? Czy będzie musiał jeszcze raz stawić się w sądzie zwierzęcym i wyratować z opresji ukochaną lamę panny Petunii?

Wielu sprzedawców schroniło się pod dachami, kupujący kręcili się między straganami z parasolami, ale targ działał. Ziemia była mokra i oblepiała buty grubą warstwą błota. Lucy stała obok straganu panny Petunii, ociekając wodą, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Stańko przy niej dwoje małych dzieci, a ona obrzuciła je łagodnym spojrzeniem. Przy wejściu po drugiej stronie alei stał niewielki człowieczek w brązowym drelichu i pojadając popcorn, gawędził z kobietą sprzedającą hot dogi zapiekane w cieście kukurydzianym. Niewątpliwie Frankie. Bucka nigdzie nie było widać.

Theo pozdrowił pannę Petunię, a ta aż się rozpromieniła na widok swojego adwokata. Objęła go i jeszcze raz podziękowała za bohaterskie wystąpienie na sali sądowej. Z satysfakcją doniosła mu też, że Lucy jak dotąd sprawuje się bez zarzutu, podobnie zresztą jak

obaj ochroniarze. Żadnego plucia, żadnego gonienia, żadnych niezwykłych reakcji. I żadnych skarg od kogokolwiek.

Z jej straganem sąsiadowała budka z wyłożonymi na sprzedaż gomólkami koziego sera – dziełem rąk pani Finnemore, która siedziała na składanym taborecie i dziergała coś na drutach, podczas gdy jej czepiak Żaba zwisał z masztu podtrzymującego brezentowy dach nad budką. Nikt nigdy nie potrafił wytłumaczyć Theo przekonująco, dlaczego małąkę rodzaju męskiego nazwano Żabą. Kilkakrotnie pytał o to April, ale jej odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: „To pomysły mojej mamy, Theo”. Pomysły i wyczyny pani Finnemore często budziły zdumienie i nie dawały się racjonalnie wytłumaczyć i Theo zazwyczaj jej unikał. Zazwyczaj, ale nie dzisiaj. May wstała i objęła go niezgrabnie.

– April tu jest – bąknęła.

– Gdzie? – spytał Theo, uradowany, że się z nią zobaczy. April nie znosiła targu rolnego i rzadko towarzyszyła matce w sprzedaży jej okropnego sera. Theo parę razy wziął go do ust i za każdym razem od samego zapachu zbierało mu się na wymioty.

– Tam gdzieś poszła. – Pani Finnemore wskazała ręką.

– Dzięki. – Theo skinął głową i pośpiesznie się oddalił. Rozglądając się na wszelki wypadek za Bucem Buckiem, minął rząd straganów, których właściciele już pakowali niesprzedany towar i kończyli handel. April stała obok małego namiotu, pod którym starszy brodaty mężczyzna kończył ołówkowy portret nastoletniej dziewczyny, siedzącej przednim na odwróconej skrzynce. Za jedyne dziesięć dolarów „pan Picasso” w ciągu dziesięciu minut rysował dowolny portret. Miał wystawione na pokaz próbki swojego talentu – portrety Elvisa, Johna Wayne’a i paru innych.

Theo stanął obok April.

– Cześć – rzucił.

– Witaj, Theo – odrzekła z uśmiechem, po czym odwróciła się i przyciągnęła go do siebie, aby lepiej mu się przyjrzeć. – Myślałam, że masz rozciętą wargę.

– Miałem. Ale opuchlizna już zeszła.

April chyba była zawiedziona.

– A jak zawieszenie?

– Mocno przereklamowane. Głównie się nudzę. Właściwie to mi już brakuje szkoły. – Zaczęli iść wolno wzdłuż rzędu straganów. – Co ty tu robisz?

– Mama mnie uprosiła, żebym tu dziś przyszła. Powiedziała, że może być potrzebny dodatkowy świadek, gdyby Lucy znów zaczęła pluć na ludzi. Ale jak dotąd nie wykazała ochoty. Ale co ty tu robisz?

– Przyszedłem sprawdzić Lucy. Upewnić się, że nie grozi mi następny sąd zwierzęcy. Powiem ci coś, ale to tajemnica.

– Jasne. – April należała do małomównych dziewcząt, którym nieobce jest słowo „tajemnica”. Miała niełatwe życie i sama często powierzała Theo swoje sekrety, on zaś zawsze z uwagą ich wysłuchiwał. Teraz przyszła kolej na wysłuchanie jego. Usiedli przy małym stoliczku sprzedawcy lodów i upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, Theo wszystko jej opowiedział.



Sprzedawca lodów już zamykał swoją budkę i musiał spakować stolik, zaczęli więc znów spacerować, wolno kierując się w stronę wyjścia.

– To straszne, Theo – powiedziała. – Nie chce mi się wierzyć, że

policja może cię podejrzewać.

– Mnie też nie, ale pewnie wyglądam na winnego.

– A co na to twoi rodzice?

– Martwią się. Czuję, że więcej o tym rozmawiają, kiedy nie ma mnie w pobliżu. Wiesz, jacy są starzy.

– Nie bardzo. Ty masz normalnych starych, Theo. Ja nie.

Theo nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– I Ike sądzi, że to ma związek z jakimś rozwodem?

– Tak, taką wysnuł teorię i brzmi to całkiem rozsądnie. Nic innego nie mamy.

– Trochę znam tego Jonaha Finna.

– Naprawdę?

– Nie za dobrze, ale trochę.

– I co możesz o nim powiedzieć?

Przez chwilę się zastanawiała i kilka kroków zrobili w milczeniu.

– Rozrabiaka, odludek, odstaje od innych. Bystrzak z wiecznie słabymi stopniami. Zdaje się, że jego rodzina jest tak samo pokręcona jak moja.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Jego kolega z klasy, Rodney Tapscott, mieszka po drugiej stronie ulicy. Znasz Rodneya?

– Wiem, który to, ale właściwie go nie znam. Czy to nie on gra na bębnach?

– Próbuje. Słysząc go na całej ulicy.

– Możesz z nim pogadać?

– O czym?

– O Finnie. Muszę wiedzieć o nim jak najwięcej. W tej chwili jest moim jedynym podejrzanym i potrzebne mi informacje.

– Zobaczą, co da się zrobić.

– I posłuchaj, April, to wszystko jest ściśle tajne. Nie mogą mnie przyłapać na węszeniu i nie wolno nam nikogo o nic oskarżyć. To na razie tylko domysły.

– Jasne, Theo.



Poza April Theo miał jeszcze dwóch godnych zaufania przyjaciół, Woody’ego Lamberta i Chase’a Whipple’a. Pod pozorem spędzenia deszczowego sobotniego popołudnia na wspólnej nauce do zbliżającego się sprawdzianu z chemii Theo skrzyknął spotkanie w celu obmyślenia planu działania.

Bo tak naprawdę Chase był chyba ostatnią osobą na świecie, z którą Theo chciałby robić doświadczenia chemiczne. Chłopiec był wybitnie inteligentny, ale miał opinię szalonego naukowca, którego liczne eksperymenty kończyły się zwykle katastrofą. Wywołał już niejedną pożar i spowodował niejedną wybuch i żadna pracownia nie mogła być bezpieczna, jeśli on znajdował się w pobliżu. Doszło do tego, że wydano mu zakaz zbliżania się do pracowni, o ile nie było w niej nauczyciela, który miałby na niego oko. Woody był słaby z matematyki i nauk ścisłych, ale brylował na historii i WOS-ie.

Spotkali się w sali gier w piwnicy domu Whipple’ów i po półgodzinie gry w ping-ponga usiedli i zabrali się do rzeczy. Oczywiście przede wszystkim starali się odtworzyć przebieg bójki. Chase, któremu nigdy nie zdarzyło się uderzyć kogoś w złości, był świadkiem całego zajścia i bardzo się nim podniecił. Woody z kolei oświadczył, że matka najpierw strasznie go skrzyczała, a potem się rozplakała. Ojciec wzruszył tylko ramionami i mruknął: „Chłopcy jak

to chłopcy”.

Theo wymógł na nich przyrzeczenie, że dochowają tajemnicy, i nawet kazał im unieść prawe ręce i przysiąc, że nikomu nic nie powiedzą. Dopiero wtedy opowiedział całą historię. Z detalami.

O przedziurawionych oponach, o wybitej szybie, o włamaniu do szkolnej szafki i podrzuceniu skradzionych łupów, o spotkaniach z detektywami – po prostu wszystko. Potem przeszedł do Ike’a i jego teorii, choć nie przyznał się do wykradzenia hasła dostępu z komputera Vince’a. Opowiedział tylko, jak Ike przejrzał akta prowadzonych przez matkę spraw rozwodowych i wyłowił z nich potencjalnego sprawcę lub sprawców.

– Ale jazda – zachwycił się Woody.

– Ma to sens – przyznał Chase. – Stoi za tym ktoś, kto cię nienawidzi, a ty nawet o tym nie wiesz.

Theo przytaknął i zaczął opowiadać o braciach Finn i toksycznym rozwodzie ich rodziców.

– Mój brat jest w dziesiątej – powiedział Woody. – Ciekawe, czy zna tego Jessiego Finna.

– Sprawdźmy to – zaproponował Theo. – To nasze zadanie na teraz. Dowiedzieć się wszystkiego o tych chłopakach. – Chase poszedł na górę po swój laptop, Woody wyjął komórkę i zadzwonił do brata, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa. Theo zadzwonił do Griffa, który poinformował go, że jak dotąd nie udało się ustalić nazwiska chłopaka z dziewiątej klasy, który oferował czarnorynkowe tablety 0-4 po pięćdziesiąt dolarów. Obiecał, że nadal będzie próbował.

Pani Whipple, która też była prawniczką i dobrą znajomą pani Boone, zniosła na dół talerz kruchych ciasteczek i karton mleka. Spytała, jak im idą przygotowania do sprawdzianu z chemii,

i wszyscy trzej ją zapewnili, że doskonale. Po jej wyjściu Chase wszedł na stronę internetową gimnazjum w Strattenburgu i po paru minutach przeglądania zakomunikował:

– Do wszystkich dziewiątych klas chodzi łącznie trzysta dwadzieścia osób. Zgadnijcie, ilu chłopaków ma na imię Jessie?

– Czterech – powiedział Woody.

– Trzech – rzucił Theo.

– Dwóch – zakomunikował Chase. – Jessie Finn i Jessie Neumeyer. Musimy zdobyć to nazwisko od Griffa.

– Staram się – powiedział Theo.

– Ten Griff – prychnął Woody. – Kiedy dopadnę go następnym razem poza szkołą, to go załatwię. Nie mogę uwierzyć, że odważył się na mnie naskoczyć. Co za wypierdek.

– Przestań, Woody – obruszył się Theo. – Od teraz Griff jest po naszej stronie. A poza tym przeprosił. Baxter też.

– Mnie Baxter nie przeprosił. Chciałbym zobaczyć to jego oko. Pewnie sinoczarne.

Chase wszedł na stronę Google Earth i wpisał adres Finnów przy Edgecomb Street, nieopodal college'u. Zrobił zbliżenie i oznajmił: „To ich dom”. Theo i Woody stanęli za jego plecami i wpatrzyli się w ekran. Państwo Finnowie mieszkali w białym piętrowym domu przy ulicy zabudowanej rzędem identycznych domów i ich niczym się nie wyróżniał. Z tyłu widać było niewielki basen, a pod płotem stała szopa na narzędzia. Fajnie było na to popatrzeć, ale tak naprawdę nic z tego nie wynikało.

W kieszeni zawibrowała komórka Theo. Wyjął ją, otworzył, rzucił okiem na wyświetlacz i wykrzyknął:

– To Griff!

Griff doniósł, że siostrze w końcu udało się skontaktować z Bennym, a Benny'emu z Gordym, który z oporami wyznał, że chłopak handlujący tabletami 0-4 nazywa się Jessie Jakiśtam. Nazwiska nie zna i jego samego też właściwie nie. Griff zapewnił, że siostra nie wyjawiała powodu swojego zainteresowania tym chłopakiem, a Theo raz jeszcze powtórzył, że cała sprawa jest ściśle tajna.

– No, wreszcie krok do przodu – mruknął Woody.

– To może chodźmy z tym teraz na policję – zaproponował Chase. – Będą mogli przesłuchać obu Jessiech z dziewiątej i ustalić, który z nich handluje kradzionym towarem.

– Jeszcze nie – zaproponował Theo. – Bo przypuśćmy, że to Jessie Finn. Policja go namierzy i co dalej? Jessie się przyzna, że handluje kradzionymi komputerami i komórkami? Padnie na kolana i wyzna całą prawdę? W życiu! Wszystkiemu zaprzeczy i jeśli nawet gliniarze znajdą coś w jego plecaku, nic mu nie zrobią. A on się wystraszy i już nigdy niczego nie znajdziemy.

– Theo ma rację – przyznał Woody. – Trzeba to od niego kupić. Dopiero wtedy przekazemy to policji, a oni sprawdzą numer.

– Jak mamy to zrobić? – spytał Chase.

– Dobre pytanie – rzekł Theo. – Trzeba zacząć od Gordy'ego. Jeśli zgodzi się nam pomóc, będzie mógł porozumieć się z Jessiem Finnem i sfinalizować zakup.

– Nie znam tego Gordy'ego – powiedział Woody – ale nie sądzę, żeby był aż tak głupi. Po co ktoś miałby się pakować w takie szambo? Nie możemy oczekiwać, że kupi tablet, o którym wie, że pochodzi z kradzieży, a potem go nam przekaże, żebyśmy zanieśli na policję.

– Nie wpakuje się w żadne szambo – zapewnił go Theo. – Będzie

tylko pomagał w ujawnieniu przestępstwa.

– Nie sądzę – rzekł Woody.

– Zgadzam się z Woodym – potwierdził Chase.

– Woody, a gdybyśmy poprosili twojego brata Tony’ego?

– A jesteś pewny, że nie wpadnie w żadne tarapaty?

– Absolutnie pewny. Jeśli pomoże policji odzyskać skradzione przedmioty, to mu jeszcze podziękują i poklepią po plecach. Przypadkiem znam się na prawie, pamiętacie?

– Jak moglibyśmy zapomnieć? – mruknął Chase.

– Okay, Tony jest gotów zrobić wszystko. Ten idiota uwielbia pakować nos w cudze sprawy. To dobry pomysł, Theo. Tylko skąd weźmiemy pięćdziesiąt dolców?

– Mam je w kieszeni.

Woody spojrzał na Chase’a, a ten się skrzywił i powiedział:

– Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi?

– Zadzwoń do niego – powiedział Theo i Woody wyciągnął komórkę. Uśmiechnął się, słysząc sygnał, po czym się odezwał:

– Cześć, Tony, to ja.

Gadali przez dłuższą chwilę i Woody nawet nie wspomniał o wciągnięciu Tony’ego do sprawy. Powiedział tylko, że jest mu potrzebny jakiś hak na chłopaka z dziewiątej klasy, Jessiego Finna. Tony powiedział, że go nie zna, ale pogrzebie.

Przez pół godziny banda trzech przerzucała się pomysłami, jak dopaść braci Finnów, których wina wydawała się już bezsporna. Chase wyszukał ich fotografie w rejestrze szkolnym i wydrukował powiększone odbitki. Theo przyjrzał się obu braciom i doszedł do wniosku, że nigdy wcześniej ich nie widział. Jessie Finn miał swoją stronę na Facebooku (w przeciwieństwie do Jonaha) i Chase ją

przejrzał, ale nie znalazł niczego, co mogłoby ich zainteresować lub naprowadzić na jakiś trop. Woody, który leżał na kozetce i bawił się piłeczką pingpongową, coś sobie nagle przypomniał.

– Powiem wam, że to właściwie idealnie pasuje. Mam dwóch kuzynów niedaleko Baltimore i w zeszłym roku ich starzy z wielkim hukiem się rozwiedli. To było straszne. I pamiętam, że obaj mówili okropne rzeczy o adwokacie ich ojca. Naprawdę go znienawidzili, a on tylko wypełniał swoje obowiązki. Twoja mama przejmuję się takimi sprawami, Theo?

– Jestem pewny, że tak, ale nigdy o tym nie mówi.

– Bo to taka praca – mruknął Chase, syn prawniczki.

Rozdział 21

W niedzielny poranek Theo usiadł w kościele między rodzicami i starał się skupić na kazaniu wygłaszanym przez wielebnego Judda Kokera, okazało się to jednak nie lada wyzwaniem. Jak na ironię, tematem przewodnim był grzech kradzieży i Theo czuł się trochę tak, jakby słowa pastora były kierowane bezpośrednio do niego. Dostrzegł kilka znaczących spojrzeń, jakimi obrzucono go przed nabożeństwem, a gdy pani Phyllis Thornberry podeszła do nich i bąknęła, że „... modlą się za Theo”, niewiele brakowało, a zerwałby się i wybiegł z kościoła. Pani Thornberry była jedną ze starszych członkiń kongregacji i znaną plotkarą. Rodzice Theo z trudem powstrzymali się od zapewnienia jej, że u niego wszystko w porządku. I żeby zachowała swoje modlitwy dla naprawdę potrzebujących.

Theo lubił wielebnego Kokera, bo pastor był młody i pełen werwy, a jego kazania zawsze miłosiernie krótkie i okraszone humorem. Jego poprzednik, zwany przez wszystkich pastorem Patem, rządził tutejszą parafią przez trzydzieści lat i zdaniem Theo wygłaszał straszne kazania. Zawsze były okropnie długie i śmiertelnie nudne i w ciągu zaledwie paru minut potrafiły nawet najbardziej zagorzałego wyznawcę wprowadzić w stan bliski śpiączki. Koker posiadał sztukę wygłaszania krótkich, treściwych kazań i jego niedługie rządy w tutejszej kongregacji spotykały się jak dotąd z powszechną

akceptacją.

Myśl przewodnia kazania była osnuta wokół stwierdzenia, że można kraść na różne sposoby, ale wszystkie w oczach Boga są naganne. Przykazanie dane Mojżeszowi „Nie będziesz kradzieży czynił” i skrócone potem do „nie kradnij” znaczyło oczywiście, że nie wolno zabierać czegoś, co jest czyjąś własnością, jednak Koker rozszerzył to też na inne formy kradzieży. Mówił o kradzieży czasu Bogu, rodzinie i przyjaciołom. O okradaniu z daru zdrowia poprzez oddawanie się zgubnym nałogom. Okradaniu przyszłości poprzez niewykorzystywanie szans oferowanych przez teraźniejszość. I tak dalej, i tak dalej. Trochę to było mętne, Theo szybko się wyłączył i zaczął rozmyślać o braciach Finn, a szczególnie o tym, jak on i jego nieliczna banda mogą dobrać się do łupów, które Finnowie być może próbują sprzedawać.

Theo wiedział z doświadczenia, że pierwsze pytanie, jakie tata zada mu w samochodzie, będzie brzmiało: „Jak ci się podobało kazanie?”. I właśnie z tego, a nie żadnego innego powodu Theo starał się choć trochę słuchać słów pastora.

Rozejrzał się ukradkiem i uznał, że nie on jeden błądzi myślami gdzie indziej. To jednak nie było dobre kazanie i Theo znów zgubił wątek. Tym razem zaczął się zastanawiać, jak ci wszyscy ludzie zareagowaliby, gdyby „milutkiego małego Teddy’ego Boone’a” nagle aresztowano i postawiono przed sądem. I co by powiedzieli, gdyby nie mógł co niedzielę przychodzić na nabożeństwo, bo siedziałby zamknięty w ośrodku dla młodocianych?

To było zbyt straszne, by o tym myśleć. Raz jeszcze spróbował skupić się na słowach pastora, ale nie potrafił utrzymać myśli na wodzy i zaczął się tak wiercić, że mama go ścisnęła za kolano.

Zerknął na zegarek i pomyślał, że wskazówki chyba stoją w miejscu.



Była to druga niedziela miesiąca i ta świadomość wprowadzała niezbyt miły nastrój w rodzinie Boone'ów. Druga niedziela oznaczała, że Theo i rodzice nie wyjdą jak zwykle z kościoła i nie wrócą prosto do domu, gdzie usiądą do lunchu złożonego z kanapek, poczytają niedzielne gazety, obejrzą mecz w telewizji, zdrzemną się i generalnie rzecz biorąc, oddadzą leniuchowaniu. O, nie! W drugą niedzielę miesiąca obowiązywał rytuał tak okropny, że w rodzinie robiło się nerwowo i często dochodziło do wymiany ostrych słów. Boone'owie i trzy zaprzyjaźnione rodziny oddawały się tradycji comiesięcznych brunchów w jednym z czterech domów, a to znaczyło, że Theo będzie musiał przecierpieć długi posiłek przy wspólnym stole, podczas którego dorośli będą rozprawiali o rzeczach w ogóle go nieinteresujących. Rodzice Theo dość późno zdecydowali się na dziecko, a to znaczyło, że w każdą drugą niedzielę miesiąca był zdecydowanie najmłodszym uczestnikiem wspólnych biesiad.

Najstarszym był należący do grona seniorów kongregacji kościelnej emerytowany sędzia Kermit Lusk, człowiek wielkiej mądrości i obdarzony niezwykłym poczuciem humoru. Zbliżał się do osiemdziesiątki, tak jak jego żona, a ich dorosłe dzieci już dawno wyfrunęły z gniazda. Z grafiku wynikało, że dzisiejszy brunch odbędzie się właśnie u Lusków, w ciasnym i zagraconym starym domu, któremu zdaniem Theo przydałoby się odświeżenie. Niestety jego zdanie rzadko było brane pod uwagę podczas ciągnących się w nieskończoność posiłków.

Wsiedli do samochodu i jak zawsze po kościele ojciec zapytał:

– No, Theo, jak ci się podobało kazanie?

– Było nudne i dobrze o tym wiesz – burknął opryskliwie Theo. – Dwa razy przysnąłem.

– Istotnie, to nie było największe osiągnięcie pastora – przyznała mama.

Ruszyli w stronę domu państwa Lusków, a w miarę zbliżania się do celu napięcie w samochodzie rosło. Zaparkowali pod domem i Theo mruknął ze złością:

– Zaczekam w samochodzie. Nie jestem głodny.

– Idziemy, Theo – rzucił surowo ojciec. Theo trzasnął drzwiami i ruszył za rodzicami. Nienawidził tych niedzielnych spotkań i oni dobrze o tym wiedzieli. Pocieszające było tylko to, że wyczuwał u mamy pierwsze oznaki słabnącego uporu. Może zaczynała mu współczuć? Wiedziała, jak ciężko to znosi, i rozumiała dlaczego.

Po wejściu do domu Theo przywołał na twarz sztuczny uśmiech i przywitał się z państwem Garbowskimi, sympatyczną parą w wieku jego rodziców. Ich szesnastoletni syn Phil zagroził ucieczką z domu, jeśli będą go zmuszali do uczestniczenia w niedzielnych brunchach. Garbowscy się ugięli i Phil zostawał w domu. Theo go podziwiał i przemyślał nad zastosowaniem takiej samej strategii. Przywitał się też z państwem Salmonami. Pan Salmon był właścicielem firmy handlującej drewnem, pani Salmon uczyła w college'u. Mieli trójkę dzieci, wszystkie starsze od Theo i żadne z nimi nie przyszło.

No pięknie, mruknął do siebie Theo. Ośmioro starych i ja jeden.

Ponieważ nic nie wzmaga apetytu bardziej niż siedzenie w kościele i czekanie na lunch, towarzystwo szybko zasiadło do stołu. Sędzia Lusk wygłosił krótką modlitwę dziękczynną i z kuchni wyszła gospoia z pierwszym daniem. Sucha sałata, bez żadnego dressingu,

odnotował w myślach Theo. Przecież dressing nie jest chyba aż tak drogi, nie? Więc gdzie się podział? Ale był tak głodny, że żwawo zabrał się do jedzenia.

– Jak wam się podobało kazanie? – zagaił sędzia Lusk. Wszystkie cztery rodziny chodziły do tego samego kościoła, więc rozmowa przy stole zwykle zaczynała się od omówienia kazania. No świetnie, pomyślał Theo. Nie dość, że musiał je przetrwać na żywo i w kolorze, to jeszcze teraz będą go nim torturowali. W dodatku bez względu na to, jakie było okropne, przy niedzielnym stole nikt nie wypowiadał się o kazaniu inaczej, jak tylko w samych superlatywach. Dotyczyło to nawet kazań pastora Pata, choć w odniesieniu do nich padały czasem nieśmiałe uwagi w rodzaju: „No, może mogło być krótsze o jakieś piętnaście minut”.

Na główne danie podano pieczone kurczaki z sosem do polania i to było pyszne. Starając się zachowywać dobre maniery, bo mama zawsze zwracała na to uwagę, Theo rzucił się na jedzenie jak wygłodniały uchodźca. Z uwagi na podeszły wiek pani Lusk sama już nie gotowała, co nikomu nie przeszkadzało, bo gospościa była doskonałą kucharką. W następnym miesiącu gospodarzami mieli być państwo Garbowscy, po nich zaś przypadała kolej Boone’ów. Mama Theo nawet nie próbowała szykować jedzenia i zawsze zatrudniała do tego Turczynkę, która olśniewała gości pysznymi daniami orientalnej kuchni.

Ku zadowoleniu Theo rozmowa zeszła na Pete’a Duffy’ego i jego zeszłotygodniowe perypetie. Wywołało to ożywienie przy stole, bo każdy z biesiadników chciał wyrazić swoje zdanie i podzielić się najnowszymi pogłoskami. Werdykt był jednomyślny: wszyscy byli przekonani, że Duffy zamordował żonę, a jego ucieczka przed

wymiarem sprawiedliwości tylko to potwierdza. Pan Salmon stwierdził, że dobrze znał Duffy'ego i nie ma wątpliwości, że zamelinował gdzieś większą sumę pieniędzy i nigdy go nie znajda. Sędzia Lusk był innego zdania, stwierdzając, że pojawienie się na lotnisku w Chicago i uniknięcie w ostatniej chwili aresztowania każe przypuszczać, że Duffy prędzej czy później popełni kolejny błąd.

Theo jadł w milczeniu i z zainteresowaniem słuchał tej wymiany zdań. Rozmowy przy stole zwykle dotyczyły polityki i wydarzeń w Waszyngtonie, ale ta była dużo ciekawsza. A potem nagle pojawiła się dręcząca myśl: czy nadejdzie taki dzień, w którym on stanie się tematem rozmów przy stole? Czy ktoś z nich był kiedyś oskarżony o przestępstwo? Bardzo wątpliwe. Czy o Boone'ach i ich synu już szepczą za plecami?

Wymiótł do czysta talerz i zaczął czekać na deser, choć tak naprawdę czekał na czternastą, upragnioną chwilę rozejścia się do domów.



Późnym popołudniem Theo przejechał rowerem przez miasto i spotkał się z April w lodziarni w pobliżu Stratten College. April zamówiła mrożony jogurt, Theo swój ulubiony przysmak: lody czekoladowe posypane pokruszonymi ciasteczkami. Znaleźli ustronny stolik i usiedli.

– Widziałam się z Rodneyem Tapscottem – poinformowała ściszym głosem April. – Byłam u niego wczoraj w domu, oglądaliśmy telewizję.

Theo wpakował sobie do ust dużą porcję lodów.

– No i? – wymamrotał.

– Udało mi się sprowadzić rozmowę na Jonaha Finna tak, że się nie kapnął. Rodney wie, że się z tobą przyjaźnię, więc uważałam, żeby nie wyjść na wścibską. Rodney powiedział, że Jonah to dziwny koleś, który od czasu gdy jego rodzice postanowili się rozwieść, zachowuje się jeszcze dziwniej. Podobno ma zmienne nastroje, a czasami wręcz się wścieka. Nie ma zbyt wielu przyjaciół. Często naciąga Rodneya i innych kolegów na parę groszy na lunch. Ma coraz gorsze stopnie i właściwie jest nieźle odjechany. Powiedział, że któregoś dnia Jonah mu powiedział, że nie cierpi twojej matki. Spytałam dlaczego, a on odpowiedział, że jego ojciec obwinia twoją mamę o większość ich problemów. Że próbuje doprowadzić do tego, żeby Jonah i jego brat zamieszkali z matką, a oni wcale tego nie chcą.

– Właściwie już sam do tego doszedłem – mruknął Theo, rozglądając się na boki.

– Mówi, że stary Jonaha źle mówi o twojej mamie. Płaci wielką kasę za obsługę prawną, a do tego twoja mama próbuje jeszcze wyciągnąć od niego ogromne alimenty i forszę na utrzymanie dzieci. Rodney pytał, czy jesteś w porządku koleś, a ja go oczywiście zapewniłam, że tak.

– Dzięki.

– Nie ma za co. I tu mamy ciekawostkę. Rodney twierdzi, że nigdy wcześniej nie widział u Jonaha komórki. Zresztą siódmoklasistom nie wolno przynosić ich do szkoły. Ale w zeszłym tygodniu, Rodney myśli, że chyba we czwartek, podczas przerwy na lunch Jonah pokazał mu nowiutkiego smartfona Excell. Powiedział, że dostał go od ojca. Rodney mówi, że to trochę dziwne, bo facet nie śmierdzi groszem.

– Włamanie było we wtorek w nocy – rzekł Theo, zapominając na

chwilę o lodach.

– No właśnie. Wiesz, co tam wtedy ukradziono?

– Tyle, ile było w gazecie. Laptopy, tablety, komórki i trochę innych rzeczy.

– A smartfony Excell?

– Nie mam pojęcia. Policja nie ujawnia takich informacji.

– Ale to jeszcze nie wszystko. W piątek byli w bibliotece i Jonah usiadł w jednym z boksów obok pracowni komputerowej. Siedział pochylony nad blatem, skulony, jakby starał się zasłonić. Rodney to zauważył i się zaciekaWił. Udało mu się stanąć za jego plecami i dojrzeć, że gra w grę komputerową na tablecie z ośmiocalowym ekranem.

– Linx zero-cztery ma ośmiocalowy ekran.

– No właśnie. A mowy nie ma, żeby Jonaha było na niego stać.

Theo wziął do ust kolejną porcję, ale lody nagle straciły smak.

– Musimy jakoś zdobyć ten tablet.

– Masz pomysł jak?

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy. Myślisz, że Rodney byłby gotów pomóc?

– Wątpię. Nie jest z tych, co zakapują kumpla. Są z Jonahem zaprzyjaźnieni. Mówi, że Jonah jest dziwny i w ogóle, ale jednocześnie mu współczuje. Nie okazywałam zbytniego zainteresowania jego gadaniem, żeby nie budzić podejrzeń.

– Doskonale się spisałaś, April.

– A nie możesz po prostu pójść na policję i im o tym powiedzieć?

– Może, nie wiem. Muszę pomyśleć.

Omówili kilka planów działania, ale żaden nie gwarantował sukcesu. Wychodząc z lodziarni, Theo raz jeszcze podziękował April,

która zapewniła go, że zrobi wszystko, by mu pomóc, nawet jeśli byłoby to niezgodne z prawem.

Theo ruszył w stronę domu, jednak po chwili zmienił kierunek i pojechał odwiedzić Ike'a.

Rozdział 22

Zgodnie z warunkami zawieszenia Theo zameldował się u pani dyrektor punktualnie o ósmej piętnaście w poniedziałek. Usiadł przy jej biurku. Dyrektorka spokojnie przeglądała teczkę z papierami. Nie uśmiechnęła się do niego, jakby wciąż była zagniewana za czwartkową bójkę.

– Jak ci minął weekend? – W jej głosie nie było cienia szczerej troski.

– Chyba dobrze – odrzekł obojętnie Theo. Nie przyszedł tu rozmawiać o weekendzie. Miał co innego na głowie. W rzeczywistości weekend był dość okropny i Theo zaczynał zdawać sobie sprawę, że jego życie nie powróci do normy, póki nie zostanie całkowicie oczyszczony. Wciąż był oskarżonym i wisiało to nad jego głową jak czarna chmura.

– Zmienimy hasło do twojej szafki – powiedziała pani dyrektor. Dlatego kazała mu przyjść do siebie z samego rana, jeszcze przed lekcjami. – Masz nowy kod?

– Tak, pani dyrektor. Kod siedem siedem dwa dziewięć sześć (prawo).

Pani dyrektor zapisała go na kartce i sprawdziła w rejestrze.

– Tak, może być – potwierdziła.

Theo odchrząknął.

– Pani dyrektor, chciałbym jeszcze raz przeprosić za to, co się wydarzyło w czwartek, wie pani, za bójkę i w ogóle. Złamałem regulamin i za to przepraszam.

– Spodziewałam się po tobie lepszego zachowania, Theo. Bardzo mnie zawiodłeś i oczekuję, że to się już nigdy nie powtórzy.

– Obiecuję.

Zamknęła teczkę i na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Rozmawiałeś przez weekend z policją?

– Nie, pani dyrektor.

– Zakończyli już dochodzenie?

– Chyba nie. O ile wiem, nie wykryli jeszcze prawdziwych sprawców.

– Nadal cię podejrzewają?

– W piątek wciąż byłem ich głównym podejrzanym.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Theo przywołał w pamięci instrukcje Ike'a, poprawił się na krześle, odchrząknął i wydusił „hm”. Chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że to, co zaraz powie, nie jest dla niego łatwe.

– Pani dyrektor, gdyby się pani dowiedziała, że któryś z uczniów siódmej klasy przynosi do szkoły telefon komórkowy, to co by pani zrobiła?

Dyrektorka odchyliła się do tyłu i przygryzła koniec długopisu.

– No cóż, wezwałabym wychowawcę i poprosiła o sprawdzenie. Telefon komórkowy zostałby skonfiskowany. Dodatkowo ukarałabym takiego ucznia zawieszeniem na pół dnia. A dlaczego pytasz?

– Tak z ciekawości.

– Nie, to nie jest czysta ciekawość. Ty wiesz, że któryś z siódmoklasistów przynosi telefon do szkoły, prawda?

– Może.

Zamilkła i przez dłuższą chwilę uważnie mu się przyglądała, jakby czytając w jego myślach.

– Czy ten telefon może pochodzić z kradzieży?

Theo skinął głową.

– Może. Nie jestem pewny, ale może.

– Rozumiem. A czy ten telefon może mieć jakiś związek z włamaniem do sklepu Big Maca?

Theo znów lekko skinął głową.

– Może. Ale nie mam pewności i nie chcę nikogo oskarżać o kradzież.

– Kradzież to nie moja sprawa, Theo. Tym zajmuje się policja. Ale telefon komórkowy w siódmej klasie stanowi złamanie regulaminu szkolnego, a to już jest moja sprawa. Więc skupmy się przede wszystkim na tym.

Theo patrzył na nią w milczeniu.

Pani Gladwell odczekała dłuższą chwilę, wreszcie spojrzała na zegarek i oświadczyła:

– No dobrze, więc jeśli chcesz, żebym ci pomogła, podaj mi nazwisko. Jeśli nie, jest poniedziałek rano i mam tysiąc innych spraw na głowie.

– Czuję się jak donosiciel – wyznał Theo.

– Po pierwsze, Theo, on czy ona nigdy się nie dowiedzą, że mi to powiedziałeś. Po drugie i znacznie ważniejsze, jesteś głównym podejrzanym o przestępstwo, które popełnił ktoś inny. Na twoim miejscu zrobiłabym wszystko, żeby wykryć prawdziwego sprawcę. Więc albo podaj mi to nazwisko, albo zmykaj do klasy.

Theo jeszcze przez chwilę udawał wahanie, aż w końcu wydusił:

– Jonah Finn.

Ike mu wytłumaczył, że nie ma wyjścia i musi to nazwisko ujawnić.



O ósmej pięćdziesiąt zabrzmiał dzwonek na pierwszą lekcję i pan Krauthammer zakończył sprawy bieżące w swojej siódmej klasie. Chłopcy ruszyli hurmem do drzwi, by udać się na zajęcia, a on przeszedł w głąb klasy i położył rękę na ramieniu Jonaha Finna.

– Zostań na chwilę w klasie – powiedział.

Wychowawca zamknął drzwi za ostatnim uczniem i zwrócił się do chłopca:

– Wydawało mi się, że dziesięć minut temu widziałem cię na korytarzu z telefonem komórkowym w ręku. – W rzeczywistości wcale go nie widział i pytanie było tylko częścią obmyślonego planu.

– Nie – burknął Jonah i zrobił krok do tyłu, ale jego mina i cała postawa aż krzyczały „winny”.

– A co masz w kieszeni? – Pan Krauthammer zrobił krok do przodu.

Jonah niechętnie wyciągnął komórkę i podał wychowawcy. Półdniowe zawieszenie nie stanowiło dla niego problemu. W jego życiu bywało już gorzej. Wychowawca spojrzał na smartfon Excell 7.

– Bardzo ładny – powiedział. – Chodź ze mną.

Po krótkiej rozmowie w gabinecie pani dyrektor zaprowadzono go do kącika cichej nauki w bibliotece, gdzie miał spędzić następne cztery godziny pod czujnym okiem pani Dunleavy, bibliotekarki, która rozłożyła przed nim podręczniki w nadziei, że w ramach pokuty zajmie się nauką. Jednak Jonah oparł głowę o blat stołu i już po chwili smacznie usnął.

Pani dyrektor zadzwoniła do detektywa Vormana i przekazała mu

numer fabryczny telefonu.



Druga godzina zajęć w liceum w Strattenburgu kończyła się o dziesiątej trzydzieści, po czym następowała dwudziestominutowa przerwa. Tony Lambert, brat Woody'ego, wypatrzył z daleka Jessiego Finna i nie spuścił z niego oka, obserwując, jak Jessie opuszcza budynek szkoły i wychodzi na dziedziniec, gdzie wielu uczniów spędzało międzylekcyjne przerwy i południową przerwę na lunch. Jessie usiadł samotnie przy jednym z drewnianych stołów i już miał zajrzeć do swojej komórki, gdy z nienacka pojawił się Tony.

– Ty, koleś, słyszałem, że masz do opchnięcia tablety zero-cztery w dobrej cenie – zagadnął go, rozglądając się czujnie na boki, jakby chodziło o kupno prochów.

Jessie obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– A ty kto?

– Tony Lambert z dziesiątej. – Tony wyciągnął rękę na przywitanie.

Jessie z ociąganiem podał swoją i spytał:

– Taa? A od kogo to słyszałeś?

– Wiadomości szybko się rozchodzą. Ile za to chcesz?

– Za co?

– Za zero-czwórkę. Mam pięć dych.

– Kto ci powiedział, że coś sprzedaję?

– Nie ściemniaj, Jessie. Wiadomości się rozchodzą. Naprawdę chcę mieć ten tablet.

– Nic nie mam, koleś. Już sprzedałem.

– Możesz zdobyć następny?

– Może, ale cena poszła w górę. Siedemdziesiąt pięć dolców.

- Będę tyle miał. Kiedy możesz go mieć?
- Jutro. O tej samej porze, w tym samym miejscu.
- Stoi.

Podali sobie ręce i Tony odszedł. Wszedł do budynku i wysłał SMS do Woody'ego. Nic z tego, może jutro.



Poniedziałkowe przedpołudnie minęło Theo bez żadnych zdarzeń. Na początku spraw bieżących pan Mount uroczyście zaanonsował powrót jego i Woody'ego do szkoły, niektórzy dorzucili kilka uszczypliwych uwag, ale większość wydawała się dumna z dwójki bohaterów, którzy odważyli się postawić. Na hiszpańskim madame Monique spytała Theo, jak się czuje, sprawiając wrażenie bardzo przejętej całą sprawą. Theo potraktował jej troskę dość obcesowo i zapewnił, że u niego wszystko w porządku. Na drugiej godzinie mieli geometrię i prowadząca lekcję pani Garman zachowywała się tak, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. Theo dużo bardziej to odpowiadało. Podczas przerwy April przekazała mu wieści od Rodneya – Jonah Finn pojawił się rano w klasie, ale potem gdzieś zniknął i nie wiadomo, co się z nim stało.

Podczas gdy Jonah drzemał w kąciku nauki w bibliotece, do szkoły przyjechał detektyw Vorman i zamknął się z panią dyrektor w jej gabinecie. Potem oboje wolno podeszli do rzędu szafek siódmoklasistów – w pobliżu szafki Theo – i pani dyrektor wpisała kod na szyfratorze szafki Jonaha. Wewnątrz znajdowała się typowa zbieranina podręczników, zeszytów i różnych szpargałów oraz wetknięte w gruby kołonotatnik dwa fabrycznie nowe tablety Linx 0-4. Zanieśli je do gabinetu pani Gladwell, detektyw Vorman zdjął tylne

osłony i spisał ich numery fabryczne. Potem wrócili do szafki Jonaha i włożyli tablety do kołonotatnika.

Detektyw Vorman podziękował pani Gladwell i wróciwszy do komisariatu, porównał zapisane numery z wykazem od Big Maca. Jak można było oczekiwać, numery się zgadzały. Przekazał wiadomość detektywowi Hamiltonowi i po krótkiej naradzie postanowili wystąpić o sądowy nakaz przeszukania w domu Finnów. Vorman wypełnił odpowiedni formularz i odręcznie sporządził oświadczenie, w którym opisał znalezione dowody rzeczowe. Dołączył też oddzielne oświadczenie, że brat podejrzanego, Jessie Finn, „rzekomo” oferował koledze z klasy okazjone kupno tabletu 0-4. Podpisał wniosek i przystąpił do pisania dwustronicowego nakazu przeszukania. Zaznaczył, że należy przeszukać wszystkie pomieszczenia w domu Finnów i przylegających do niego budynkach. Potem przeszedł Main Street cztery квартаły do gmachu sądu i złożył całą dokumentację w sekretariacie Daniela Showaltera, sędziego Wydziału Pierwszego Sądu dla Nieletnich. Sekretarka poinformowała go, że sędzia jest zajęty przesłuchiowaniem podejrzanego i mogą upłynąć dwie godziny, nim będzie mógł zająć się wnioskiem o nakaz przeszukania.

Detektyw Vorman wrócił do komisariatu w przeświadczeniu, że udało mu się rozwikłać jeszcze jedno, niestety tylko drobne przestępstwo. Osobiście wolałby poświęcać się ściganiu dealerów narkotykowych i poważnych złoczyńców.

Rozdział 23

O piętnastej piętnaście detektyw Vorman znów zjawił się w szkole i wszedł do gabinetu pani Gladwell, po czym został w nim, czekając, aż pani dyrektor pójdzie do klasy na piętrze i zabierze Jonaha Finna z ostatniej lekcji. Finn, którego zawieszenie już się skończyło, na widok dyrektorki wymamrotał tylko pod nosem „Co znowu?” i wyszedł za nią z klasy.

– Chodź ze mną – powiedziała i ruszyli w milczeniu do jej gabinetu. Oczekali przy biurku sekretarki, aż wybrzmi ostatni dzwonek i uczniowie wysypią się z budynku szkoły, po czym weszli oboje do gabinetu i pani dyrektor zamknęła za nimi drzwi.

Na ich widok Vorman wstał, błysnął odznaką i oficjalnym tonem zapytał:

– Ty jesteś Jonah Finn?

– Tak – odrzekł chłopak i spojrzał na panią Gladwell, szukając u niej pomocy.

– Siadaj – rzucił Vorman. – Chcę ci zadać kilka pytań.

– Coś się stało?

– Może.

Jonah usiadł i położył sobie plecak na kolanach. Był wyraźnie wystraszony i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

Vorman przysiadł na krawędzi biurka i spojrzał na niego z góry.

Nie była to równa potyczka. Twardy gliniarz w ciemnym garniturze, wlepiający groźne spojrzenie w wątego wystraszonego smarkacza z kosmykami włosów na oczach. Vorman wiedział dokładnie, w czym rzecz, a Jonah wcale nie był tego pewny.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie włamania w ubiegłym tygodniu do sklepu komputerowego Big Mac's Systems – zaczął Vorman. – Mam w związku z tym tylko kilka rutynowych pytań.

Jonah o mało się nie zakrztusił, westchnął głęboko, spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę i otworzył usta. Vorman pomyślał, że chyba nigdy nie widział takiego obrazu winy.

– Ten telefon komórkowy, który zabrano ci dziś rano. Skąd go miałeś?

– Mmm, kupiłem go.

Vorman otworzył notatnik, liznął długopis i spytał:

– Dobra, od kogo?

– Mmm, od jednego chłopaka. Od Randy'ego.

Vorman zapisał coś w notatniku.

– Ile zapłaciłeś?

– Mmm, pięćdziesiąt dolarów.

– To telefon ukradziony ze sklepu Big Maca. Wiedziałaś, że pochodzi z kradzieży?

– Nie, proszę pana. Przysięgam.

– Jak ten Randy ma na nazwisko?

– Mmm, nie jestem pewny.

– Wiesz, gdzie mieszka? Gdzie go mogę znaleźć, żeby z nim porozmawiać?

– Nie, proszę pana.

– Dobra, więc ten nieznajomy Randy nagle cię zaczepia i proponuje

kupno nowego smartfona za pięćdziesiąt dolarów. W sklepie taki kosztuje trzysta, ale tobie nie przychodzi nawet do głowy, że może być kradziony, tak?

– Nie, proszę pana.

– To niezbyt rozsądne, nie sądzisz?

– Chyba nie.

– Próbujesz mnie okłamać?

– Nie, proszę pana.

– Bo jeśli mnie okłamiesz, to tylko pogorszysz swoją sytuację.

– Nie kłamię, proszę pana.

– A ja myślę, że kłamiesz.

Jonah pokręcił głową i kosmyki włosów spadły mu na oczy.

Vorman zjadł zęby na przesłuchiwanie zatwardziałych przestępców, którzy patrząc prosto w oczy, umieli kłamać jak najęci. Po tym dzieciaku widać było, że kłamię.

– Złodziej lub złodzieje, którzy włamali się do Big Maca, wynieśli też trochę tabletów i laptopów. Czy ten Randy proponował ci też kupno nowego tabletu lub laptopa?

– Nie, proszę pana.

– Wiesz, jak wygląda tablet Linx zero-cztery?

Nie odrywając wzroku od podłogi, Jonah pokręcił głową.

– Wiesz, że szkoła ma prawo sprawdzać zawartość twojej szkolnej szafki? – Vorman szykował się do zadania ostatecznego ciosu. –

Wiadomo ci o tym?

– Chyba tak.

– Świetnie. Zajrzyjmy zatem do twojego plecaka.

– A czego pan szuka? – bąknął Jonah.

– Reszty ukradzionych rzeczy. – Vorman sięgnął po plecak, chłopak

odruchowo przycisnął go do siebie, ale zaraz puścił. Vorman położył plecak na biurku i powoli odsunął suwak. Wyjął ze środka kilka podręczników, kilka zeszytów, pismo o grach komputerowych i tablet Linx 0-4. Uniósł go i obejrzał.

– Jonah, okłamałeś mnie. Skąd to masz?

Jonah pochylił się, oparł łokcie na kolanach i nisko spuścił głowę.

– Jonah, skąd to wzięłeś – powtórzył Vorman.

– Dostałeś od brata?

Cisza.

– No dobrze. Zajrzyjmy teraz do twojej szafki.



Mniej więcej w tym samym czasie, w oddalonym o niecałe dwa kilometry budynku liceum, detektyw Hamilton przedstawił się Jessiemu Finnowi. Było kilka minut po dzwonku kończącym lekcje, znajdowali się w gabinecie dyrektora szkoły, zamknięty plecak Jessiego leżał na biurku dyrektora.

– Chciałbym ci zadać kilka pytań – zaczął Hamilton z przyjaznym uśmiechem. Dyrektor szkoły, pan Trussel, siedział za biurkiem, w milczeniu obserwując całą scenę.

– W jakiej sprawie? – prychnął Jessie. Miał już wcześniej do czynienia z sądem dla nieletnich i nie kochał gliniarzy ani sędziów, ani nawet adwokatów.

– Masz brata Jonaha?

– To łatwe pytanie.

– To na nie odpowiedz.

– Tak.

– Tak myślałem. Jonah został zatrzymany. Przyłapaliśmy go

z kradzionym smartfonem Excell siedem i trzema tabletami Linx zero-cztery. Jeden miał w plecaku, dwa, jeszcze w fabrycznych opakowaniach, w szkolnej szafce. Wiesz może, skąd je wziął?

Jessie drgnął, choć usilnie starał się udawać obojętność. Krew odpłynęła mu z twarzy i zbladł, ale mimo to pokręcił głową.

– Tak też myślałem, że nie będziesz wiedział – rzekł Hamilton. – Sprawdziliśmy ich numery fabryczne i wiemy, skąd pochodzą. A ty, Jessie?

– Nie.

– No cóż, w tej chwili twój braciszek jest śmiertelnie przerażony i zaczął sypać. Śpiewa jak ptaszek. Twierdzi, że włamanie do Big Maca to był twój pomysł. Mówi, że on tego nie chciał, ale ty go zmusiłeś, bo potrzebna ci była pomoc w wynoszeniu tych wszystkich laptopów, telefonów komórkowych i tabletów. Co ty na to, Jessie? Nie jest z niego wielki twardziel, co? Twój brat, a mimo to zaczął cię sypać, zanim zdążyliśmy wyjąć kajdanki.

– Kajdanki? – powtórzył ochryplym głosem Jessie. Widać było, że jest wystraszony.

– No, dla ciebie też mam parkę. Tylko chwilę poczekaj. Twój braciszek mówi, że w zeszły wtorek wieczorem włamaliście się do sklepu przez tylne okno i zabraliście z tuzin telefonów komórkowych, sześć piętnastocalowych laptopów i dziesięć tabletów Linx zero-cztery. Twierdzi, że w środku byliście nie więcej niż pięć minut, bo wcześniej rozglądaliście się po sklepie i wiedzieliście, gdzie co leży. Wiedzieliście też, jak uniknąć kamer monitoringu. Coś ci się może przypomina, Jessie?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Och, myślę, że dobrze wiesz. Mogę zajrzeć do twojego plecaka?

– Proszę bardzo. – Jessie szurnął plecakiem w stronę Hamiltona, a ten otworzył suwak i wolno wyjął z niego podręczniki, zeszyty, butelkę z wodą, kilka pisemek – nic, co by wyglądało na kradzione. Hamilton wzruszył ramionami i włożył wszystko z powrotem.

– To zajrzyjmy teraz do twojej szafki – powiedział.

– Nie może pan tego zrobić.

– Ach tak? A czemuż to?

– Bo to będzie pogwałcenie mojej prywatności.

– Spokojnie, Jessie – wtrącił się pan Trussel, biorąc do ręki jakąś kartkę. – To jest umowa najmu szafki, którą podpisałeś na ten rok szkolny. Nie wymagamy, żeby uczniowie korzystali ze szkolnych szafek, ale gdy się na to decydują, muszą najpierw podpisać tę umowę. A tu jest wyraźnie napisane, że masz obowiązek udostępniać szafkę do kontroli przez władze szkolne lub policję.

– Idziemy – rzucił detektyw Hamilton.



Detektyw Vorman i pani Gladwell wrócili do jej gabinetu w towarzystwie Jonaha, który wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozpłakać. Na biurko dyrektorki trafiły dwa tablety, które wcześniej znaleźli w jego szafce.

– Twój brat został zatrzymany przez policję i już zdążył zeznać, że podrzucenie trzech tabletek do szafki Theodore'a Boone'a było twoim dziełem. Twierdzi, że włamałeś się do szkolnego systemu informatycznego, zdobyłeś kod i w środę rano włożyłeś tablety do szafki Theo, żeby go zrobić w to włamanie. Tak było?

– Jessie tak powiedział?

– O tak, i dużo, dużo więcej. W tej chwili siedzi w kajdankach

w ciasnym pokoiku w liceum i wszystko wyśpiewuje. Według mnie to trochę przykre, że tak sypie młodszego brata, ale tak już bywa, kiedy się bierze współnika do robienia głupot.

– Nie wierzę.

– Jest mi obojętne, w co wierzysz, a w co nie, synu. Wpadłeś w gorsze tarapaty, niż możesz to sobie wyobrazić. Mówimy o włamaniu, kradzieży, nękanii, spiskowaniu i aktach wandalizmu. Brat zeznał, że to ty dziurawiłeś opony w rowerze Theo i rzuciłeś kamieniem w szybę w jego pokoju w biurze.

– Nie! To on to zrobił! –wykrzyknął Jonah, ale zaraz się opanował. Wstrzymał oddech i spojrzał na detektywa, który tylko się uśmiechnął. Pod naciskiem oskarżeń chłopak nie wytrzymał i wydusił ważkie wyznanie. Vorman spojrzał na panią Gladwell, która też się uśmiechnęła. Zagadka została rozwiązana.



Zawartość szafki Jessiego została rozłożona na podłodze szkolnego korytarza. Detektyw Hamilton w lateksowych rękawiczkach ostrożnie dołożył ostatnie dowody – dwa tablety Linx 0-4.

– O rany, ciekawe, skąd się tutaj wzięły – powiedział z uśmiechem.
– Jonah mówił nam, że pewnie je tu znajdziemy. Niech zgadnę, Jessie, nie masz zielonego pojęcia, jakim cudem te dwa cudeńka trafiły do twojej szafki. Mam rację?

Jessie milczał.

Weszli we trzech do pustej klasy i pan Trussel zamknął za nimi drzwi.

– Siadaj tam – warknął Hamilton, wskazując jeden ze stolików. Jessie bez słowa spełnił polecenie. Nie było w nim już woli walki. –

Na razie zależy mi głównie na odzyskaniu reszty skradzionego towaru. – Hamilton pochylił się nad siedzącym i huknął na niego tak, jakby za chwilę miał mu przywalić. – Gdzie jest cała reszta?

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział słabym głosem Jessie. Splótł przed sobą dłonie, położył na stole i wbił w nie wzrok.

Hamilton sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złożonych kartek.

– Jesteś bystry chłopak, Jessie, prawda? Powiedz mi więc, co to jest sądowy nakaz przeszukania?

Jessie pokręcił głową.

– Nie wiesz? To może wcale nie jesteś taki bystry.

Jessie potrząsnął głową.

– Nakaz pozwala policji pojechać do twojego domu i dokładnie wszystko przetrząsnąć. Każde pomieszczenie, każdą szufladę, szafę, schowek, pudło, torbę, worek, każdą stertę rupieci na strychu i każdy grat w garażu. W ramach poszukiwań reszty rzeczy skradzionych przez ciebie i twojego braciszka ze sklepu Big Mac daje nam prawo wywrócenia domu do góry nogami. – Hamilton rzucił nakaz na stolik i kartki wylądowały na złożonych rękach Jessiego. Chłopak nawet nie drgnął, żeby je przeczytać.

– Matka w domu, Jessie? – zapytał Hamilton.

– Śpi. Jest po nocnej zmianie w szpitalu.

– No to jedźmy ją obudzić.

Rozdział 24

Linda Finn była pogrążona w głębokim śnie w sypialni na parterze, gdy o piątej po południu wyrwał ją ze snu natarczywy dzwonek do drzwi. Nigdy nie miała dosyć snu. Pracowała od ósmej wieczorem do ósmej rano przez cztery dni w tygodniu, ale by dorobić, brała też często dyżury w weekendy. Taki rytm dobowy powodował, że jej zegar biologiczny był rozregulowany i wiecznie chciało jej się spać. Mimo to często nie mogła zasnąć, leżała wtedy, rozmyślając o swoim strasznym rozwodzie, okropnym mężu i jego aroganckim adwokacie, i o dwóch synach ze źle wróżącymi nawykami. Linda miała się czym martwić.

Dzwonek nie przestawał dzwonić, narzuciła więc stary szlafrok i boso ruszyła do drzwi. Otworzyła je i stanęła oko w oko z detektywem Vormanem, swoim synem Jonahem i dwoma umundurowanymi policjantami. Za ich plecami widać było dwa policyjne radiowozy z błyskającymi lampami i wszystkimi policyjnymi ozdóbkami. Na podjeździe pod domem stał też jakiś nieoznakowany samochód. Linda zakryła dłonią usta i o mało nie zemdląła.

Z ociąganiem otworzyła siatkowe drzwi i wymamrotała:

– O co chodzi?

Vorman mignął jej policyjną odznaką.

– Detektyw Scott Vorman, policja miejska w Strattenburgu. Mogę wejść?

– Jonah, o co chodzi? – spytała przerażonym szeptem.

Jonah wbił wzrok w swoje buty.

– Musimy porozmawiać – powiedział Vorman, otwierając szerzej siatkowe drzwi. Linda cofnęła się i dla przyzwoitości ciaśniej otuliła szlafrokiem. Vorman puścił przodem Jonaha, wszedł za nim i zamknął za sobą drzwi. W samochodzie na podjeździe został detektyw Hamilton z Jessiem na fotelu pasażera.

– A my nie wejdziemy? – spytał chłopak.

– Może – mruknął Hamilton. Stojący przed domem dwaj mundurowi zapalili papierosy i zaczęli kręcić się po podwórku. Po drugiej stronie ulicy kilku sąsiadów wyległo na ganki, z zaciekawieniem obserwując całą scenę.

Vorman usiadł na starym fotelu z przetartym na wylot obiciem, a Linda i Jonah na kanapie z postrzępionymi poduszkami.

– Od razu przejdę do rzeczy, pani Finn. W ubiegły wtorek włamano się do sklepu komputerowego przy Main Street. Złodzieje ukradli kilka laptopów, telefonów komórkowych i tabletów. Towar o łącznej wartości około dwudziestu tysięcy dolarów. Głównymi podejrzanymi w tej sprawie są Jonah i Jessie.

Linda poderwała głowę i wlepiła wzrok w Jonaha, który siedział wciąż zafascynowany swoim obuwem.

– Przeszukaliśmy ich szkolne szafki i plecaki i jak dotąd znaleźliśmy pięć tabletów i jeden telefon komórkowy. Podejrzewamy, że reszta może być ukryta gdzieś w tym domu i dlatego wystąpiliśmy o sądowy nakaz przeszukania, który pozwala nam wszystko sprawdzić.

– Wszystko? – sapnęła zduszonym głosem Linda. Przed oczami od

razu stanęły jej sterty brudnych naczyń w zlewie i brudnych ciuchów w pralni w piwnicy, nieposłane łóżka, niestarte kurze z mebli i półek, zapuszczone łazienki, niewyrzucone śmieci w przedpokoju, brudne szklanki i kubki w pokoju, a to wszystko tylko na dole. Piętro, gdzie mieszkali chłopcy i gdzie w ogóle bała się zaglądać, wyglądało jak po trzęsieniu ziemi.

– Tak, wszystko – potwierdził Vorman, wyciągając nakaz przeszukania. Rzuciła tylko okiem i pokręciła głową. – Każdy pokój, każdą szafę, każdą szufladę – dodał, by jeszcze bardziej ją pogłębić. Wiedział, że każda kobieta aż cierpnie na myśl, że policja lub ktokolwiek obcy może panoszyć się w jej domu.

– To prawda, Jonah? – Jej oczy wypełniły się łzami. Jonah nie odpowiedział.

– Tak, to prawda – wyręczył go Vorman. – Jessie właściwie się przyznał, ale nie chce nam powiedzieć, gdzie jest reszta ukradzionych rzeczy. Tak więc nie mamy wyboru. Musimy przekopać cały dom i sprawdzić, czy towar jest tutaj.

– Jest tu, Jonah? – rzuciła w stronę syna, ale on obrzucił ją tylko wystraszoną spojrzeniem.

– W tej sytuacji wykazanie się chęcią współpracy jest bardzo ważne – dodał przyjaźnie Vorman. – Sędzia na pewno weźmie to pod uwagę.

– Jeśli to tu jest, powiedz im – rozkazała ze złością. – Nie ma sensu, żeby policja rozgrzebywała nam cały dom.

Zapadło milczenie i dopiero po chwili Vorman powiedział:

– Proszę pani, nie mam czasu siedzieć tu cały dzień i całą noc. Wezwę posiłki i zaczniemy od przekopania pokoi chłopców na górze.

– Odezwiąj się, Jonah! – warknęła pani Finn. Jonah skrzyżował ręce na piersi, przygryzł dolną wargę i wreszcie przemówił.

– Na stryszku nad garażem.



Siedząc w samochodzie Hamiltona, Jessie ze zgrozą przyglądał się, jak policjanci wynoszą z garażu naręcza laptopów, tabletów i komórek.

– Proszę, proszę, chyba wszystko znaleźli – parsknął Hamilton. – Zostań tu. – Wysiadł z samochodu, żeby się lepiej przyjrzeć. Jessie otarł łzę z policzka.

Linda Finn szybko się ubrała i pojechała swoim małym vanem za policją. Jessie jechał w nieoznakowanym samochodzie tuż przed nią, Jonah i detektyw Vorman wsiedli do jednego z radiowozów z przodu. Prowadziła, cały czas płacząc i zadręczając się pytaniami. Jak to się mogło stać? Co zrobiła źle jako matka? Co zrobią jej chłopcom? Jak to wpłynie na rozwód i jej walkę o przyznanie praw do dzieci? Co z prawem do opieki, jeśli dokądś ich wyślą? Jechała ulicami Strattenburga, a w jej głowie kłębiły się setki pytań.

Usiedli wszyscy w niewielkim pomieszczeniu w podziemiach komisariatu i po raz pierwszy tego ranka Jonah i Jessie stanęli twarzą w twarz. Jessie miał taką minę, jakby zamierzał rzucić się na młodszego brata. Jonah myślał o starszym bracie: ale kapuś z niego. Żaden nie mógł się odezwać.

Dowodzenie przejął detektyw Hamilton.

– Sprawa włamania została wyjaśniona, a wy obaj nieźle za to bekniecie, nie ma co ukrywać. Nie wróćcie dziś do domu i ten stan może potrwać dość długo.

Linda znów zaczęła płakać.

– Dokąd ich zabierzecie? – wydusiła, szlochając.

– Kawalek stąd mamy izbę zatrzymań dla młodzieży. Pojutrze staną przed sądem dla nieletnich i wtedy sędzia zdecyduje, co z nimi zrobić na czas do procesu, który odbędzie się mniej więcej za miesiąc. Jakies pytania?

Miała tysiące pytań, ale żadnego nie zadała.

– Poproszę teraz detektywa Vormana, żeby wyjaśnił wam prawa Mirandy² – powiedział Hamilton. – Wysłuchajcie go uważnie.

Vorman przesunął po stole dwie kartki, po jednej dla każdego z chłopców.

– Treść obu jest identyczna. Po pierwsze: Macie prawo zachować milczenie. Po drugie: Wszystko, co powiecie w czasie tego przesłuchania, może zostać użyte przeciwko wam w sądzie. Po trzecie: Macie prawo do obrońcy, a jeśli was na niego nie stać, sąd przydzieli wam obrońcę z urzędu.

– Jak w telewizji – mruknął Jessie.

– Otóż to – potwierdził Vorman. – Jakies pytania? Dobra, podpiszcie obaj na dole strony. Pani jako matka podpisuje się pod nimi.

Troje Finnów z ociąganiem złożyło podpisy. Vorman zebrał kartki, Hamilton spojrzął na chłopców i oświadczył:

– Robiłem to już tysiąc razy i mogę was zapewnić, że najlepsze, co możecie zrobić, żeby jakoś sobie pomóc, to okazać pełną chęć współpracy. Jesteście winni. Wiemy to. Możemy dowieść, że jesteście winni. Więc zapomnijcie o wskazywaniu palcem kogoś innego. Sędzia, od którego będzie zależało, czy zamkną was w ośrodku karnym dla młodocianych i na jak długo, spyta mnie podczas rozprawy, czy wykazaliście chęć współpracy. Jeśli odpowiem twierdząco, sędziemu się to spodoba. Jeśli odpowiem przecząco,

sędzia zmarszczy czoło i będzie bardzo niezadowolony. Rozumiemy się?

– Chcę prawnika – burknął Jessie.

– Oczywiście możemy ci go sprowadzić – odrzekł Hamilton. – Scott, zaprowadź go do aresztu.

Vorman zerwał się na nogi, wyszarpnął kajdanki z za pasa i złapał Jessiego za kark. Zmusił go do wstania i skuł mu ręce na plecach. Otworzył drzwi i już go miał wyprowadzić, gdy Linda uderzyła ręką w stół i wykrzyknęła:

– Chwileczkę! Najpierw chcę poznać prawdę! Macie mi obaj powiedzieć prawdę! Siadaj, Jessie! Siadaj i mów, co się stało.

Vorman puścił Jessiego, którego zaskoczyła szybkość, z jaką został skuty. Chłopak usiadł na brzeжку krzesła, trzymając skute ręce za sobą.

Wszyscy głęboko zaczerpnęli powietrza, pierwszy odezwał się Jonah:

– Zrobiliśmy to, bo potrzebowaliśmy kasy.

Rozdział 25

Theo siedział nad lekcjami, gdy z głośnika biurowego interkomu popłynął głos ojca:

– Hej, Theo.

– Tak, tato?

– Mógłbyś wpaść na chwilę do sali konferencyjnej?

– Oczywiście.

Przy stole siedzieli oboje rodzice, po mamie było widać, że płakała.

– Co się stało? – spytał Theo.

– Mammy dla ciebie dobre wiadomości – odrzekł ojciec.

– To dlaczego mama płacze?

– Nie płaczę, Theo. Już nie.

– Przed chwilą rozmawiałem z detektywem Vormanem – powiedział ojciec. – Aresztowali dwóch chłopaków, braci Jonaha i Jessiego Finnów, za włamanie do sklepu Big Maca. Policja znalazła w ich domu większość skradzionych przedmiotów.

– Ich matka jest moją klientką, Theo – dodała ze smutkiem mama.

Też mi niespodzianka, pomyślał Theo, ale nic nie powiedział.

– Chłopcy przyznali się do wszystkiego – ciągnął tata. – Łącznie z próbami nękania cię. Wygląda na to, że rozwód rodziców wywołał u nich przypływ agresji.

– Tak mi przykro, Theo – odezwała się mama. – Powinnam była na

to wpaść.

Theo odetchnął głęboko, uśmiechnął się i pomyślał o Ike'u. Jego zwariowany stryjek rozwiązał zagadkę na długo przed tym, nim ktokolwiek na to wpadł.

– To wspaniale – powiedział. – Przebite opony, wybita szyba, kłamstwa w internecie, wszystko?

– Wszystko – potwierdził tata. – Wszystko się wydało, kiedy ktoś w szkole doniósł, że młodszy z braci, siódmoklasista, ma przy sobie telefon komórkowy. Jak wiesz, szkolny regulamin tego zabrania. Okazało się, że telefon był na liście przedmiotów skradzionych w sklepie. Od tego się zaczęło, potem w szafkach szkolnych znaleziono kilka innych przedmiotów i policja uzyskała sądowy nakaz przeszukania domu.

Theo czuł się tak, jakby ktoś powierzał mu tajemnice, które sam wymyślił. Przywołał na twarz uśmiech i rozradowany pokiwał głową. Ale tak naprawdę wcale nie musiał udawać. Czuł radość, że koszmar wreszcie się skończył.

– Co się z nimi stanie? – spytał.

– Zdecyduje o tym sąd dla nieletnich – wyjaśniła mama. – Starszy Jessie jest już notowany, więc chyba zamkną go w zakładzie karnym. Jonah pewnie dostanie dozór.

– A co to będzie znaczyło dla ciebie i ich matki, jako twojej klientki? – chciał wiedzieć Theo.

– Nie mogę już jej reprezentować, Theo. Zrezygnuję jutro. Jej synowie zwrócili się przeciwko tobie z mojej winy, a ja powinnam była to przewidzieć. Jest mi bardzo przykro.

– Mamo, proszę, przecież o niczym nie wiedziałaś.

– Mama musi tak postąpić, Theo – wtrącił tata. – Być może

będziemy musieli pojawić się w sądzie i zeznać, co ci zrobili. Mama nie może reprezentować pani Finn w sytuacji, gdy być może będziemy musieli zeznawać przeciwko jej synom. Wiem, że to trochę nieładnie brzmi, ale innego wyjścia nie ma.

Theo wzruszył ramionami. W głębi duszy był szczęśliwy, że wszyscy Finnowie raz na zawsze znikną z pola widzenia kancelarii Boone i Boone.

Nie krył radości, że oboje rodzice wyraźnie odetchnęli i nawet Asesor wyglądał jakoś weselej.

– Dziś poniedziałek – zauważył Theo. – Pojadę odwiedzić Ike’a.



Ze stereo płynęły łagodne dźwięki muzyki Boba Dylana, kłęby niebieskiego dymu z fajki Ike’a snuły się po pokoju. Theo przez cały dzień słał mu SMS-y, żeby stryjek mógł być na bieżąco. Ostatni brzmiał:

Finnowie aresztowani. Do wszystkiego się przyznali. Juhuu!

– Gratuluje, Ike – powiedział, kładąc na zagraconym biurku pięćdziesiąt dolarów. – Udało ci się.

Ike uśmiechnął się radośnie. To nie był właściwy moment na udawanie skromności.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem geniuszem.

– Cudownie, Ike. Po prostu cudownie.

– W jakim nastroju jest Marcella?

– W nie najlepszym. Obwinia o to siebie.

– Powinna była na to wpaść, Theo. Twoja matka jest za inteligentna, żeby nie pomyśleć, iż to mogło mieć związek z jedną

z jej spraw.

– Nie wiń jej, Ike. I tak już wystarczająco to przeżywa.

– Dobra, ale skoro ja na to wpadłem, ona też powinna.

– Zgadzam się. Przyznamy się do grzebania w jej papierach?

Ike odchylił się z fotelem i położył nogi na biurku, strącając przy okazji kilka teczek z dokumentami.

– Wiesz, Theo, zastanawiałem się nad tym. To chyba nie jest właściwy moment na taką szczerłość.

– A kiedy?

– Nie wiem. Oczekajmy trochę. Wszyscy są teraz trochę podminowani. Rodzice się o ciebie zamartwiali. Niech najpierw wszystko ucichnie, potem o tym pogadamy, my dwaj.

– Czułbym się lepiej, gdybyśmy o wszystkim im powiedzieli.

– Może tak, może nie. Posłuchaj, Theo. Uczciwość to ogromna zaleta. Powinieneś zawsze dążyć do tego, żeby być człowiekiem uczciwym i godnym zaufania. I dlatego jeśli mama spyta cię dziś wieczorem przy kolacji, czy wykradłeś jej hasło dostępu i dałeś mnie, umożliwiając mi w ten sposób dostęp do jej spraw rozwodowych, powinieneś powiedzieć „tak”, prawda? Bo tak jest uczciwie, zgoda?

– Zgoda.

– Ale ona o tym nie wie i może się nigdy nie dowie. Więc czy niemówienie jej jest nieuczciwością?

– Mnie się to wydaje nieuczciwe.

– Masz trzynaście lat. Czy przyznałeś się mamie do wszystkich grzeszków, jakie ci się kiedykolwiek przydarzyły?

– Nie.

– Oczywiście, że nie. Nikt tego nie robi, Theo. Wszyscy mamy swoje małe tajemnice i dopóki nie cierpią przez nie inni, nie ma sprawy.

Z czasem większość się przedawnia i przestaje liczyć.

– A jeśli ktoś zajrzy do rejestru InfoBrief i stwierdzi, że do systemu wszedł ktoś spoza biura?

– No cóż, jeśli ktoś wprost zada ci pytanie, powiesz prawdę. I wtedy ja się włączę i też powiem prawdę, i wezmę całą winę na siebie.

– Nie możesz wziąć na siebie całej winy, Ike, bo to ja wykradłem hasło.

– Ale okoliczności w pełni to uzasadniały. Pogadam z twoimi rodzicami i wyjaśnię, że to ja się uparłem, żeby zajrzeć do akt mamy. Pokłócimy się jak zwykle, ale i tak już od lat się kłócimy. Jednak czasami trzeba zawalczyć, pamiętasz?

– Chyba tak, ale mimo to nie jest mi z tym dobrze.

– Zróbmy tak. Nie poruszajmy tego tematu przez miesiąc. Zapisuję datę. Równy od dziś za miesiąc znów o tym porozmawiamy.

Theo zastanawiał się przez chwilę, a potem bez entuzjazmu powiedział: „No dobrze”. Czuł jednak, że to wcale nie jest „dobrze” i że będzie go to dręczyło, póki nie przyzna się do wszystkiego.

– Mama kazała przekazać, że jesteś zaproszony na dzisiejszą kolację u Robilio.

– Przekaż mamie, że dziękuję.

– Muszę wracać. Nie wiem, co ci mam jeszcze powiedzieć. Jesteś najlepszy.

– Nie najlepszy, Theo. Ale może w pierwszej piątce.

Theo zbiegł po schodach, wskoczył na rower i ruszył w stronę kancelarii Boone i Boone. Pędził ulicami, z całej siły naciskając pedały. Wszystko wydawało mu się lżejsze – powietrze, nastrój, rower.

Theodore Boone, już nie oskarżony.

-
- ¹ Veterans of Foreign Wars – organizacja kombatancka Weterani Zagranicznych Wojen.
 - ² Termin „prawa Mirandy” funkcjonuje w amerykańskich procesach karnych od roku 1966, kiedy to decyzją Sądu Najwyższego USA uznano, że prawa Ernesta Artura Mirandy zostały naruszone, ponieważ w chwili aresztowania nie poinformowano go o możliwości odmowy zeznań.